

ADRIANNA TRZEPIOTA

*Sekretna  
zima Fałsminy*

*Mazurska opowieść pewnej wilczycy*



ADRIANNA TRZEPIOTA

# *Sekretna zima Fałsminy*

*Mazurska opowieść pewnej wilczycy*





---

*Wilki przemierzyły niebo i piekło,  
nie zatrzymując się w żadnym z tych miejsc.*

*Wybrały życie z ludźmi – pośrodku.*

Helen Grimaud

---

*MOJEJ SIOSTRZE GABRIELI*

ORAZ PRZYJACIÓŁCE

JOANNIE NICEWICZ

– NAJDZIELNIEJSZYM Z WILCZYC.

OBU PRZYSZŁO ŻYĆ POŚRODKU



Ostatnie miesiące utwierdziły mnie w przekonaniu, że nie wszystko jest takie, jakie nam się wydaje. Nie możemy zaplanować sobie życia od początku do końca. Myślenie, że można przejść przez nie bezpiecznie utorowaną ścieżką, jest błędem. Moja babcia zawsze mi powtarzała: „Chcesz rozśmieszyć Pana Boga? Opowiedz mu o swoich planach”.

Wypadek motocyklowy, w którym mój mąż złamał nogę, unieruchomił go na kilka miesięcy. Mam wrażenie, że również jego mózg został poważnie uszkodzony. Z dnia na dzień stałam się służącą, która źle wykonywała wszystkie swoje obowiązki. Nasze małżeństwo już przed tym przykrym incydentem zaczynało przypominać poligon wojskowy. Wieczne kłótnie tylko potęgowały cały związany z wypadkiem problem. Zaczęłam się gubić w tym wszystkim. Nie było mi dobrze, czułam wieczny niepokój, strach, a nawet wewnętrzny brud. Nie chciałam tak żyć. Poszukiwałam dźwięku własnego ciała, aż w końcu coś zawyło i któregoś dnia przyszła wilczyca.

Kim jest? Moim wewnętrznym głosem, intuicją kierującą mnie w różne strony, wolnym, nieskrępowanym elektronem pojawiającym się w chwilach zagrożenia. Kiedy nie wiem, co mam zrobić, szukam ciszy. Jej szukam. Siadam na polanie w lesie, albo na podłodze w pokoju, opierając plecy o ścianę. Zamykam drzwi na klucz i zadaję pytanie. Wtedy zawsze słyszę jej głos. Wyje z podświadomości, cichutko niczym szmer łagodnej rzeki, a niekiedy jest słyszalna już z kilku kilometrów, jak rwący górski potok. Niektórzy nazywają ten głos współczesnym programowaniem społeczności, ego, tożsamością, wewnętrznym dzieckiem... Dla mnie jest to po prostu moje drugie ja – to nieujarzmione cywilizacyjnie. Na początku myślałam, że zwariowałam, słysząc te nawoływania, ale dałam im szansę, poszłam drogą, na której były najmocniej słyszalne. Aby ich siła nie osłabła, starałam się jak najczęściej pracować nad sobą i nie udawać, że jestem szczęśliwa. Wtedy nie byłam.

Kiedy wyjechałam na kilka dni do Warszawy, żeby pomóc rozwiedzionej przyjaciółce Zosi w przeprowadzce, poznałam jej kolegę z pracy. Władek zawładnął moją duszą i ciałem. Pozwoliłam mu poznać siebie do tego stopnia, że prawie oszalałam z tej miłości. Oczy mi błyszczały niczym rozżarzone węgle, a każdy krok prowadził do niego. Uczucie do niego drżało niespokojnie w moim sercu. Kiedy sumienie przestało szeptać morały, poddałam się temu, co i tak miało nadejść. Noc spędzona z kochankiem okazała się jednym z najpiękniejszych i najdziwniejszych przeżyć. To była jedna wielka, piękna, niewiadoma...

Miłość jest jak śmierć, przychodzi zawsze nieproszona. Z romansów mogą się narodzić rzeczy dobre, jak i złe. Ci, którzy udawali pozorne szczęście, zaczynają żyć prawdziwie, a ci, którzy mieli życiowy bałagan, porządkują swoje sprawy. Są na świecie różni chłopcy i mężczyźni: ładni, brzydki, zarośnięci i wymuskani jak laleczki. Ale ten z romansu zawsze jest wyśniony, wymarzony, jedyny.

Czeka się na niego, robiąc zakupy, odbierając dziecko z przedszkola, a najczęściej zasypiając w małżeńskim łóżu. Chciałam być uczciwa, a z drugiej strony myślałam: Boże, wybacz, ale jeszcze nie teraz, nie chcę być święta właśnie teraz! To Władek słodkimi słowami rozbudził we mnie dawno uspioną kobiecość. Nalegał, abym zgłębiła tajniki tarota marsylskiego, którego talie znalazłam w mazurskim lesie. Motywował do spełnienia moich pisarskich marzeń. On po prostu był wtedy, kiedy go potrzebowałam. Jednak los miał dla nas zupełnie inny scenariusz. Nigdy nie spodziewałabym się, że z dwojga zakochanych można sobie tak zadrwić. Skoro ktoś zesłał na nas tę miłość, to znaczy, że był w tym jakiś głębszy sens. Może dostałam go w nagrodę, albo za grzechy, których jeszcze nie popełniłam, a może miał mi pomóc poznać głębiej siebie?

Po wspólnie spędzonej nocy nie było nam wcale do śmiechu. Ucięłam tę znajomość jednym surowym spojrzeniem. Chłód, który został po mnie, gdy wychodziłam z hotelowego pokoju, nie pozostawiał złudzeń. Nawet za mną nie wybiegł, czuł, że nie ma już po co. Od czasu do czasu napisze do mnie SMS, ale kiedy pewnego dnia zobaczyłam trzydzieści pięć nieodebranych maili, przestałam odpowiadać.

O tej historii wie tylko moja przyjaciółka Zosia. Druga przyjaciółka, Lena, jest artystką i maluje piękne obrazy. Cały czas w rozjazdach pomiędzy plenerami a wystawami. Jej życiowym credo są harmonia i czystość. Mogłaby tego mojego rozdwojenia nie zrozumieć. Im więcej osób wie, tym gorzej, nawet jeżeli to jest przyjaciółka.

Joachim, mój mąż, niczego się nie domyślał. Pochłonięty grami komputerowymi i pić piwa, leżąc z nogą w gipsie, nie zauważył, jak powoli odchodziłam z jego życia.

Kiedy wygrałam konkurs i podpisałam umowę na wydanie mojej debiutanckiej książki, wstąpiła we mnie nowa energia i wiara, że wszystko, o czym marzymy, naprawdę może się spełnić. Bardzo szybko pojawił się kolejny problem. Nowa dyrekcja szkoły, w której uczę języka polskiego, od razu zapowiedziała, że jeżeli powieść, a ma być to romans, ujrzy światło dzienne, zostanę zwolniona. Nikt nie będzie trzymał w szkole nauczyciela demoralizującego młodzież. Stracić dobrowolnie pracę w małym mazurskim miasteczku, to jak wydać na siebie wyrok. Nie wiedziałam, co zrobić. Lena podpowiedziała mi pewne rozwiązanie, ale i tak się bałam podjąć decyzję. I wtedy znowu przyszła do mnie wilczyca. Zawsze przychodzi w trudnych życiowych momentach, tylko nie chcemy albo nie mamy czasu jej słuchać. Wyłania się z nas samych. Zaczynamy wyc tak jak ona, patrzeć, biegać, podążamy jej tropem, aż do upragnionego celu. Kiedy chciałam odzyskać kontakt z instynktem, musiałam być sama. To Ona, to ta druga Ja zawyła we mnie i dodała odwagi, żeby podjąć wyzwanie. Przecież mam tyle, na ile się odważyć? Teraz już nie ma odwrotu. Zawarłam umowę z wydawnictwem, muszę napisać i wydać ten romans. Chcę być szczęśliwa, chcę robić to, na co mam ochotę, chcę być wolna i czysta. Chcę czuć się tak lekko jak wtedy, gdy podlaska szeptucha, babcia Marzeny, naszej przewodniczki po stadninie koni w Janowie Podlaskim, odprawiła rytuał zmawiania nad moim ciałem. Kiedy paliła len nad moją głową, coś pękło. Wszystkie, nawet te najdrobniejsze zdarzenia wyszły ze

mnie potokiem słów. Miałam w sobie dwa magazyny pamięci. Jeden przechowywał opowieść o Jaśminie, która była zwykłą nauczycielką, drugi – historię kobiety, która, wiedzioną wilczym instynktem, próbowała odnaleźć swoją watahę. Słowa, które wypowiadałam, nie były przemyślane, spadały gdzieś z zakamarków świadomości, nie były mądre, ale dojrzały do tego stopnia, że musiały opuścić drzewo pamięci. Upuściłam milion maleńkich, króciutkich zdań. Były krwią przeszłości. Kiedy szeptucha ze swoją wnuczką Marzeną usłyszały już wszystko, poczułam ulgę. Jakby ktoś zdjął ze mnie duży ciężar.

Nie znałam ich prawie wcale. Połączyła mnie z tymi kobietami stara księga, która należała do moich dziadków. Znalazłam ją na strychu mojego mazurskiego domu. Nasze drogi przecięły się dość niespodziewanie. Trafiłam do miejsca, gdzie przez pewien czas mieszkał mój dziadek. Szeptucha opowiedziała, w jaki sposób do niej trafił, i potwierdziła, że mam białoruskie korzenie. Dała mi jeszcze coś, co do niego należało. Mały kolorowy kartonik. Jedną z kart tarota, tę, której brakowało w znalezionej przeze mnie talii. Dotykałam rzeczy, której właścicielem był mój przodek. Przebywałam w pokoju, w którym i on gościł. Czułam jego milczącą obecność.

Życie snuło swoją nić bardzo pokrętnie, znów pokazało mi, że zatacza krąg. Styka się w miejscu początku i końca. Nawet jeśli nie dostrzegamy tych drobnych nici zdarzeń na co dzień, to przychodzi taki moment, kiedy stajemy w osłupieniu, zatrzymujemy się na chwilę, czując, jakby coś lub ktoś dotykał naszego ramienia i mówił: „byłeś już tu”, „to nie przypadek”, „daj się prowadzić”. Jedziesz autobusem, czytasz książkę, dokonujesz kolejnego trudnego wyboru i po prostu TO czujesz. Ta świadomość błyska z prędkością światła i tak samo szybko znika.

Jak wygląda zwilczona kobieta? Przede wszystkim słucha. Jak przeciągle świszcze wiatr pomiędzy konarami drzew, o czym mruczy kot wczesnym świtem, co opowiadają skrzypiące drzwiczki wiekowego kredensu. Słucha siebie. Bo to w niej cały czas drzemie duchowa wilczyca, która wie, czego chce. To zwierzę słyszy najcichsze dźwięki i nawoływania. Jest łącznikiem pomiędzy intuicyjną, dziką naturą a logiką dnia powszedniego. Nie ogranicza swoich talentów, stara się je wydobyć choćby z najciemniejszej jaskini. Wie, że tam są i czekają na nią gotowe ujrzeć światło dzienne. Czasem musi okaleczyć swoje dobre imię, żeby zacząć nowe życie, ale to inni mogą mieć problem z jej odmiennością, bo odbiega od utartego schematu. Ona wie, że to, co zrobi dziś, będzie miało wpływ na kolejny dzień, miesiąc, rok. Dlatego stara się odzyskać swoją duchową watahę i podążyć razem z nią w ciemny, głęboki las swojej psychiki. Ze stadem wilków jest łatwiej. Kiedy zasłabniesz, to obronią, kiedy jesteś głodna, przyniosą pożywienie. Przyjmują hierarchię wartości, która przechodzi z pokolenia na pokolenie, nigdy nie zostawią ciebie samej. Kiedy się zgubisz, to wyjdą. Im głośniejsza będzie twoja pieśń, tym szybciej cię odnajdą. Bronią granic swojego terytorium. Kiedy wejdzie na nie wróg, najpierw ostrzegają, czekają, przygotowują się do obrony. Niekiedy intuicyjnie wiedzą, że nie ma co atakować, trzeba przeczekać.

Zwilczona kobieta słucha, ale jest niepokorna. Spaceruje wśród drzew, zbiera leśne melodie

i chowa je w zakamarkach swojego domu. Nocami wyje do księżycy, wysyłając w ten sposób energię, niech i wszechświat o niej usłyszy. Kiedy ją w sobie odkryjesz, nie będziesz chciała jej wypuścić. Będzie odchodziła i wracała tyle razy, na ile jej pozwolisz. Nie oswoisz jej całkowicie. Będziesz mogła ją tylko poczuć, tak jak wyczuwa się nadchodzące zmiany albo złowrogą ciszę przed burzą. Nawet jeżeli wpadniesz w wir pracy, obowiązków, ona nie zginie. Kiedy zobaczysz jej odbicie w swoich zmęczonych oczach, wiedz, że właśnie przyszła.

Zwilczonej psychiki należy bronić. Zawsze może pojawić się ktoś, kto będzie chciał ci wmówić, że najcenniejszą wartością jest milcząca uległość. W ten sposób możesz ją stracić. Szukaj podobnych tobie. Z racji swojej odmienności będziesz krytykowana, oceniana, będą chcieli ujarzmić dziwną kobietę, a ty nie daj się i strzeż jej. Nie wolno godzić się i ulegać. Ty sama wiesz, co jest dla ciebie najlepsze, jakie rozwiązanie pasuje do tej układanki. Nie staraj się przystosować, bądź zawsze odrobinę inna. Tajemniczość przyciąga, jest jak magnes. Lgną do niej ludzie dobrzy i źli. Bierz sito i przesiewaj ich słowa. Zostawiaj zawsze te mądre myśli, schowaj je w sobie i wyciągaj w te gorsze dni. O reszcie zapomnij.



# Zimny powrót

Wyszliśmy z domu razem. Mgła i ja. Teraz ścielą się przede mną jej zasłony. Oplatają moje ciało i dzikie, leśne krzewy. Panuje półmrok. Pośród tej szarej ciemności rośliny wyglądają jak zaczarowane. Nie jestem w stanie dostrzec własnych stóp. Kiedy wyciągam ręce przed siebie, nie widzę koniuszków palców. Kiedy zaciskam pięść, próbując złapać mgłę w dłonie, ucieka. Nie słucha mnie. Robi, co chce, a potem znika. Delikatnie się porusza, jak dym z papierosa. Próbuję ją rozproszyć. Nabieram powietrza w płuca i dmucham... nieśmiało faluje. Rozsnuwa się, zajmuje coraz większą powierzchnię, gęstnieje, nie widzę już lasu. To jest mgła poranna, która wstała tuż po nocnym deszczu, wchodzi na miękkie czuby modrzewi. Pachnące igiełki łagodnie przyjmują ciecz, mgła powoli zaczyna się skraplać.

Kiedy umrę przez chwilę będę mgłą, a potem zmienię stan skupienia i opadając maleńkimi kropelkami, trafię tam, skąd przyszedłam, do ziemi. Posilą się mną rzeki i drzewa, wyjdę z maleńkich listków jak tlen, wymieszam się z powietrzem i znów zacznę się skraplać. Czy będę wiedziała, że jestem mgłą? Czy oddycham duszami przodków, podlewam nimi kwiaty, połykam je? Woda jest we mnie, wodę piję, wydalam, woda jest w drzewie, w owocach, w mięsie, w pocałunkach. Śluz jest wodą, ciało składa się z wody, wszystko jest wodą. Z wody powstałeś i w wodę się obrócisz.

Mokre powietrze staje się coraz zimniejsze, niesie dźwięki ze wsi. Kogut pieje jak zwykle o wpół do siódmej. Powtarzalny rytm życia mojej małej wioseczki. Kogut. Lubię go słuchać. Jego dźwięk przypomina o prostym, dobrym życiu. Kojarzy mi się ze starą babuleńką, która na wszystko ma czas, a najwięcej ma go dla kur.

Dzwoni telefon. To znowu Władek. Jeszcze dzień się nie zaczął, a on wykręcił mój numer już trzy razy. Mówiłam, że nie chcę już tej znajomości, żeby się odczepił, dał mi spokój, że nic z tego nie będzie. Spróbowaliśmy tej miłości, nie wyszło, i koniec. Jego męska duma nie pozwala mu dać za wygraną. Zaczynam się obawiać, że mąż przypadkiem zobaczy te nieodebrane połączenia. Władek przysłał SMS: „Jaśmina, proszę cię, odbierz, muszę się z tobą spotkać! Umówmy się jeszcze raz, porozmawiaj ze mną!”. Zaczynam się go bać. Minął miesiąc od naszego ostatniego spotkania. Teraz jest zimny listopad i ja razem z nim też ostygłam. Niczego bardziej nie pragnę niż świętego spokoju. Jestem potrzebna tylko sobie. Nikogo więcej bym do tego świata nie wpuściła, no chyba że Marysię, moją córkę. Jej życie to moje życie. Muszę zmienić numer telefonu, i to jak najszybciej. Wtedy go

kochałam, był mi potrzebny, ja jemu zresztą też. Teraz, kiedy już wszystkie elementy układanki do siebie pasują i wiem, po co przyszła duchowa wilczyca, chcę żyć w zgodzie ze sobą, a do tego nie jest mi potrzebny żaden mężczyzna. Tym bardziej kochanek. Nie uleczy mojej duszy, tylko pogłębi brak szacunku do siebie. Wtedy wszystko miało podtekst erotyczny. Ruch, jakim odgarniał włosy, sposób, w jaki mówił, brew, którą w chwili wahania lekko unosił. Uczucie wybuchło natychmiast i bezwarunkowo. Na to, co mnie spotkało, często czeka się całe życie. Nie wyszło. Teraz ryzykuję znacznie więcej, miłości już nie ma, a historia tej, która minęła, nie może się wydać.

Kiedy wchodzę na zamglone podwórko, podbiega do mnie koza, zaraz obok niej pojawia się druga. Skubią spodnie, dzwonią im dzwoneczki na szyjach. Są jak koty. Kręcą się przy nogach, odpychają od siebie, drepczą ze mną do drzwi:

– Dzień dobry! – krzyczę od progu.

– Aaa, dobry, dobry! Chodź, kochana jajka już czekają. Przez ostatnią noc tak dużo ich zniosły, chyba wiedziały dla kogo. Poranki już takie chłodne, w powietrzu czuć zimę. Lada dzień spadnie śnieg.

Wchodzimy do sieni, ja i dwie kozy. Mogą tu przebywać, ale tylko gościnnie i przez chwilę. Mietek nauczył je załatwiać się na dworze.

– Tylko nie stawiaj koszyka z jajkami na podłodze, bo zaraz ci wszystko zjedzą! One są sprytne i cholernie ciekawskie, a żółtko wypiją od razu. Potrafią z kurnika wynieść wszystkie jajka! Wystarczy, że furki nie domknę, a rano nie mam czego zbierać. Znajduję tylko łupiny w ich zagrodzie. Lepiej dogadują się z kurami niż człowiek z człowiekiem. Przynoszą im liście z drzew i gałęzie, a te kury nawet nie gdaczą, jak wleżą im do kurnika!

Mój sąsiad od razu poprawia mi humor. Odkąd wspólnie dokarmialiśmy wilczycę z lasu, nasze relacje jeszcze bardziej się zacieśniły. Jest już taki staruteńki, ale dalej pracuje na pół etatu. Jak to mówi: „Bez pracy człowiek umiera, najgorzej być starym w środku”.

– Jaśminko, siadaj, kawy zaparzę, sam też chętnie wypiję.

Wsypuje ziarna do starego, drewnianego młynka. Przy każdym ruchu korbką słycać zgrzytanie. Dom powoli wypełnia się energetyzującym zapachem. Wcześniej w moździerzu ucieram drobniutko skrojony kardamon. Ciepło wymieszanych ze sobą zapachów otula duszę na jesień. Latem szukamy cytrusów, a chłodniejszą porą bliższe są nam ciężkie nuty. Tajemniczy, orientalny zapach jest pikantny, a zarazem słodki. Szczypie w język. Ma łagodny aromat i intensywny korzenny smak z wyraźną nutą kamfory, pieprzu cytrynowego i jeszcze czegoś nieuchwytnego. Kiedyś kardamon był wykorzystywany jako kadzidło. Kto teraz o tym pamięta? Drobinki kurzu i zmielonej przyprawy unoszą się w powietrzu, świdrują w nozdrzach, kicham. Przez ciało przebiega dreszcz. Mam gęsią skórkę. Mietek metalową łyżką dokładnie odmierza porcje, brązowy miął wsypuje do srebrzystej kafeterki, którą stawia na palniku gazowym.

W brudnej szybie widać wschodzące słońce. Promienie wpadają do pomieszczenia, bez pytania zajmują miejsce na moich kolanach. Jest naprawdę zimno. Już słyszc, jak woda bulgoce. Mietek przed podaniem kawy parzy wrzątkiem duże filiżanki. To taki przedwojenny zwyczaj, moja babcia też tak robiła. Parzę sobie ręce, gdy przykładam je do filiżanki, w niej kawa tak szybko nie wystygła. Z każdym łykiem rozlewa się we mnie spokój. Napar łagodnie koi. Mam wrażenie, że połykam mgłę, która mnie tu przyprowadziła. W ciągu tygodnia stale gdzieś pędzę, oddaję energię światu, nie trzymam jej w sobie. Dziś rano czułam, że nie mam siły tak wcześnie wstać. Zmuszałam się, ale gdy tu przychodzę, to pomimo obecności Mietka jestem sama ze sobą. Lubię tu być razem z nim. On o nic nie pyta, niczego nie wymaga, po prostu jest. Mądry stary człowiek. Rozgrzesza mnie swoim milczeniem.

– Wczoraj w nocy jakiś dziwny samochód kręcił się po naszych drogach. Jakiś młody mężczyzna pytał o ciebie. – Wyraźnie daje do zrozumienia, że coś wie.

– Kto? O mnie? Ale jaki? Jak on wyglądał?

– A ty sama nie wiesz, jak wyglądał? Dziecko drogie, ja nic nie chcę wiedzieć, ale głupi nie jestem. Powiedziałem, że w naszej wiosce nie mieszka żadna Jaśmina Szeretucha, i zniknął. Dobrze, że u was było ciemno, to nie zajechał.

Filiżanka wypada mi z rąk, rozlewam kawę. Gdzieś w środku rośnie, podchodzi do gardła nieopisana złość i wstyd. Spuszczam wzrok. Szybko wycieram plamę.

– Nikt nie jest święty, ale musisz z nim to jakoś załatwić, bo jak Joachim się dowie, to przegna cię na cztery wiatry.

– Wiem.

– Wyglądał na bardzo zdeterminowanego. Wcześniej czy później i tak tu wróci. Drugiego Wałpusza nigdzie nie ma. Załatw to, zanim będzie za późno. Mogę ci jakoś pomóc?

– Nie. Sama sobie muszę pomóc. Proszę tylko o dyskrecję.

– Człowiek nigdy nie pozbędzie się tego, o czym myśli, a czego nie wypowie. Porozmawiaj z nim, wytłumacz mu, nie uciekaj przed problemem. To tylko potęguje strach.

– Wiem. – Czuję, jak znowu telefon wibruje w kieszeni. Ręce mam mokre ze strachu.

– Odbierz. Przecież słyszę, że dzwoni.

Zabiera kozy i szurając nogami, wychodzi na podwórze. Idzie do kurnika. Widzę przez okno, jak jedna z kur wskakuje mu na ramię. Obskakują go z każdej strony, rzuca im ziarno i głaszczę po głowach.

– Słucham.

– Jaśmina! Do cholery, czemu nie odbierasz?! Musisz ze mną porozmawiać! To, co się wtedy stało, to był zupełny przypadek. Ja nie mam z tym problemów, rozumiesz?! Jestem na Mazurach, jeśli się ze mną dobrowolnie nie spotkasz, to i tak cię znajdę! Muszę ci wszystko wytłumaczyć, to się nie

może tak skończyć! Nie teraz! Proszę, daj mi jeszcze jedną szansę! Jesteś tam?

– Jestem. Jak mogłeś tu przyjechać! Sąsiad mi powiedział! A jakby to był mój dom?! Zdurniałeś?!

Co ja powiem mężowi?! Zaczynasz się zachowywać jak psychopata! Daj mi wreszcie spokój!

– Wtedy jakoś spokój nie był ci do niczego potrzebny! Nie można się do ciebie dodzwonić, na maile nie odpowiadasz, to co mam zrobić!

– Mówiłam ci już tysiąc razy, że nic z tego nie będzie!

– Prowadzę szkolenie w Olsztynie, jeśli się ze mną teraz nie spotkasz, to do ciebie przyjadę. Już wiem, w którym domu mieszkasz.

Boję się, ręce mi drżą. Wszystko, tylko nie to! Serce mocniej bije, ciśnienie wzrasta, ze złości mam już czerwone policzki. Oczy nie wiedzą, na czym się skupić. Wstałam i teraz chodzę od okna do okna. Patrzę, czy Mietek nie wraca.

– Dobrze, spotkajmy się, ale ostatni raz.

– Może być o szóstej w Szczytnie? W restauracji nad jeziorem?

– Nie, ciebie tutaj nikt nie zna, a mnie wszyscy. Tam jest za dużo ludzi. Jeszcze ktoś nas zauważy. Przyjadę do Olsztyna, tam będzie bardziej anonimowo. O której kończysz?

– O czwartej.

– Będę o wpół do piątej pod wielką bramą na starówce. I nie dzwoń już do mnie więcej!

– Nie wierzę, że tak łatwo i szybko przestałaś mnie kochać, Jaśmina...!

Nie słyszę, co mówi dalej. Wyłączyłam telefon. Patrzę w ekran jeszcze chwilę, sprawdzam, czy nie oddzwoni. Telefon milczy. Zabieram jajka, nogi mam jak z waty. Mózg już wysyła sygnał do kończyn, chcę wstać, ale one nie są w stanie się w ogóle poruszyć. Z trudem się uspokajam, biorę kilka głębokich wdechów i wychodzę. Nie patrząc w stronę kurnika, macham Mietkowi i już jestem za ogrodzeniem.

Wchodzę do domu zdenerwowana. Joachim robi śniadanie dla Marysi. Szybko idę zamknąć się w łazience, nie chcę, żeby coś zauważył. Opieram się plecami o ścianę, powoli osuwam się na podłogę. Przecież mój dom to moja twierdza, nikt nie może zbezczęścić tego miejsca! Tu jest moje najukochańsze dziecko, przedmioty, w których jest kawałek duszy, miejsca, które są przeznaczone tylko dla gości albo domowników, święty bałagan i błogosławiony porządek! Tu jest mój maleńki świat, może być nieistotny dla reszty ludzkości, ale dla mnie jest najważniejszy! Ten dom nie może kojarzyć się ze złą energią, nie mogę czuć się tu źle. Cały ten męczący świat ma pozostać za drewnianymi drzwiami domu. Tu odprawiam własne rytuały radości, piję herbatę z ulubionego kubka, czytam książki, głaszczę koty. Tu jest prywatna strefa, do której nikt nie ma wstępu! I chociaż sama na siebie zesłałam tego psychopatę, to przecież musi być na niego jakiś sposób! Nie mogę się bać tu żyć!

– Jaśmina, gdzie jest cukier? Nie mogę znaleźć cytryny – słyszę męża.

Ochlapuję zimną wodą twarz. Odrzucam wszystko co złe, wychodzę.

– Cukier jest w dolnej szafce. Nie mogłeś sam sobie go wziąć? Przecież już nie masz gipsu. Rozleniwiłeś się przez ten wypadek.

– Ale mnie boli. Kiedy próbuję stanąć całym ciężarem na tej chorej nodze, to mam taki rwący ból, że bez podpierania się na kuli nie wystoję. Teraz też próbowałem. Ukląknę, żeby ten cukier wyciągnąć, ale z kolana też mi promieniuje.

– A robisz regularnie ćwiczenia na nogę? Tak jak ci kazali w szpitalu?

– Tak. Ale sam się nie schylę, żeby porządnie wymasować palce, bo ciągle jest ten ból od uda.

– Mówiłeś już o tym kilka razy. Trzeba załatwić fizjoterapeutę. Ktoś musi cię fachowo masować. Mnie całymi dniami nie ma w domu, ta szkoła mnie kiedyś wykończy. Zadzwoń dziś do szpitala, zapytam, czy mogliby kogoś polecić, a ty przejrzyj Internet. Przed trzecią będę musiała wyjść, umówiłam się z koleżanką.

– A kto zostanie z Marysią? Przecież ja jestem chory!

– Proszę, nie rób z siebie kaleki, możesz już chodzić. Nie mam siły się z tobą kłócić. Jesteś ojcem tego dziecka, więc proszę cię, żebyś się zajął córką. Czy to aż takie trudne?!

– A idź sobie. Jak wrócisz, to przejmiesz małą, a ja pojedę do Darka.

– Przed chwilą mówiłeś, że nie możesz się schylać, ale do Darka to nawet samochodem możesz pojechać, tak? Zastanów się, co robisz. Nie podoba mi się to.

– Jaśmina, tobie wiecznie się coś nie podoba! Cały czas trajkoczesz i zrzędzisz!

– Pomoc w opiece nad dzieckiem to jest zrzęczenie? To jest obowiązek.

– Dobra, skończ już. Powiedz, gdzie jest ten cukier, i podaj mi jeszcze cytrynę. A wstawiłaś pranie, bo znowu nie mam co włożyć, o skarpetach nie wspomnę. Pewnie te twoje koty gdzieś je wynoszą.

– Jak ty się do mnie odzywasz? Jak możesz zrzucać winę na Bogu ducha winne koty? Nie wstyd ci?

Mam łzy w oczach. Ze wszystkiego potrafimy zrobić awanturę. Nie dogadam się z nim, nie umiem. Mam wrażenie, że od pewnego czasu symuluje. Wszystkie zdania Joachima zaczynają się od słowa „gdzie”. Gdzie są moje spodnie, gdzie są moje dokumenty... Gdyby podsumować te wszystkie pytania, to wyszłoby na to, że pół życia mnie o coś pyta, a drugie pół je. Wyszłoby na to, że rozmawialiśmy ze sobą dwa miesiące, a kolejnych dziesięć lat było tylko „gdzie”. Nie ma tego spoiwa, które buduje, umacnia. Te wszystkie wypowiedane zdania są jak z waty cukrowej, nasiąkają, rwą się, aż w końcu znikają. Zostają tylko po nich lepkie usta i ręce, trzeba się szybko umyć. Strasznie się denerwuję takimi sytuacjami. Zostają we mnie już na cały dzień. Nie umiem tego od siebie oddzielić, wyrwać ze środka i normalnie żyć od wschodu do zachodu. Teraz będę cały czas myślała o tych naszych kłótniach i rozbierała tę sytuację na czynniki pierwsze. Chciałabym się od tego

uwolnić, przeciąć jak ostrym nożem, zostawić to za sobą i dalej iść do przodu. Mężczyźni to potrafią, kobiety niestety nie. Mój mąż jest pozbawionym naturalnego wdzięku facetem, który chce osiągać kolejne cele. Powinien zdobywać świat, choćby jednym drobnym wyjściem poza granice swojego umysłu. Nie widzę tego. Czuję od niego powolne gnicie i obumieranie ducha. Nie chcę, żeby mnie tym zaraził, żebym stała się tak toksycznie zrządzająca, nie chcę cały czas uprawiać tych potyczek słownych.

Ale przecież to nie ty – odezwała się zwilczona psychika. – Nie zjadaj się od środka. Wymyśl sposób, dzięki, któremu będziesz ponad tym wszystkim. Wyobraź sobie, że jest wokół ciebie przezroczysta ochronna tarcza, która odbija każde jego słowo. Nie podnoś głosu, zamknij oczy, albo patrz w jeden punkt i staraj się zobaczyć tarczę. Te brzydkie słowa odbijają się i trafiają z powrotem do niego. A co będzie za tą osłoną? Co tam zobaczysz, czym się otulisz?

Joachim tym razem próbuje skłócić nas już mocniej. Teraz nie pasje mu, że garnki stoją nad zmywarką, a nie nad zlewem. Coś we mnie rośnie, coś czerwonego i wściekłego. Patrzą w jeden punkt. Co jest wewnątrz tarczy, co sprawia mi radość, daje ukojenie, relaksuje, pomaga się rozluźnić, gdzie chciałabym być, co robić? Zamknęłam oczy i głęboko oddycham, widzę tarczę: jest przezroczysta, utkana ze źródlanej wody. Gdzieś w tle słyszę jakiś głos, ale nie chcę, żeby zakłócał moją harmonię. Czuję miękkie, ciepłe mech pod stopami. Jest zielony, pachnie grzybnią i lasem. Łaskocze stopy, delikatnie zapadam się w nim. Otula przyjemnie jak kołdrą. Opuszkami palców dotykam rozwidlonych liści paproci. Ich ażurowa zieleń kłuje w dłonie, rzuca cień na łydki i kolana. Tam, gdzie go nie ma, są ciepłe promienie słońca.

# Listopadowe dreszcze

Wiatr wieje w twarz, idę nierównym chodnikiem. Co chwila się potykam. Granatowa gula strachu rośnie. Widzę ją w sobie, jak uciska mi płuca, przeponę, struny głosowe, idzie coraz wyżej, zajmuje głowę. Rozgościła się tam na dobre, całkowicie nieproszona. Plecy i ramiona napięte, zęby zaciśnięte. W miarę jak zbliżam się do olsztyńskiej Górnej Bramy, moje ręce robią się coraz bardziej mokre i zimne. Dreszcz zdenerwowania biegnie od nóg po czoło. Razem ze mną idzie mój strach i wściekłość. Czekam. Nie ma go. Ukradkiem się rozglądam. Widzę go w twarzy każdego obcego przechodnia. Boję się. A jak nie przyjdzie? Tylko chce mnie śledzić? Może schował się za którąś z kamienic i obserwuje, a potem pojedzie za mną i kiedy wysiądę przy domu, zaciągnie mnie do ciemnego lasu... a nawet jak nie zaciągnie, to będzie wiedział, gdzie mieszkam. Wtedy przez telefon na pewno kłamał, bo niby kto mu powiedział?

– Aaa! – Podskoczyłam zdenerwowana i zaskoczona.

– Jaśmina?

– Nie dotykaj mnie, weź ręce z ramion! Przestraszyłeś mnie! Czego chcesz?

– Chodź gdzieś do knajpy. – Gdy mówił, powietrze na powrót zaczęło wibrować, taki miał niski i aksamitny głos.

Miałam przed oczami chwile, o których chciałam zapomnieć. Przy całej sympatii do niego zaczynało mnie to brzydzić.

– Nigdzie nie idę, gadaj, czego chcesz. Po co przyjechałeś do Wałpusza? Wiesz, jak to mogło się skończyć? Jestem wściekła. Umawialiśmy się, że ta sprawa już jest zakończona.

– Jak możesz tak mówić? Wtedy byłem ci potrzebny, a jak nam w łóżku nie wyszło, to mam zniknąć z twojego życia? Ja cię nadal kocham.

– Ale ja ciebie nie! Nie możesz tego zrozumieć?

– Jesteś najważniejszą rzeczą, jaką w życiu mam!

– Nie jestem rzeczą! I nie jestem twoja! Władek, zrozum to. Mamy rodziny! Nie chcę swojej stracić. Córka jest dla mnie najważniejsza, przecież ty masz dwóch synów. Myślisz, że ci kiedyś wybaczą, jak się dowiedzą, co ojciec matce nawywijał?

Zaczęło śiąpić. Drobnny kapuśniaczek spadał z nieba, ukryliśmy się pod sklepieniem bramy. Było wilgotno i zimno.

– Kochasz go?

– Kogo?

– Męża, czy kochasz?! Widzisz, znowu się zastanawiasz.

– Oczywiście, że tak! Nie wmawiaj mi czegoś, czego nie ma! Władek, my wtedy byliśmy sobie potrzebni, byliśmy innymi ludźmi. Nasze drogi przecięły się, a teraz ja poszłam w swoją, a ty w zupełnie inną stronę. Nie idziemy razem! Zrozum to, bo wszystko rozpieprzysz!

– Chcę spróbować znowu. Tym razem cię nie zawiodę, daj mi szansę! – W jego oczach pojawił się obłęd. Ogniki skakały rozgrzane do czerwoności. Nawet przez chwilę miałam wrażenie, że źrenice stały się purpurowe. Na wydatnych, sinych ustach błąkał się uśmiech. Położył ręce na moich przedramionach. Przypominał drapieżnego ptaka gotowego do ataku. Powoli zaciskał szpony. Próbowałam wydostać się z morderczego uścisku, ale był silniejszy.

– Władek, puść, to boli!

– Mnie też bolało! Jak zostawiłaś mnie wtedy w hotelowym pokoju, jak nie odbierałaś telefonów, jak skrzynka odbiorcza była pusta, bolało mnie jeszcze bardziej, rozumiesz!

– Zostaw, bo zacznę krzyczeć!

Powoli z każdym słowem zaczynałam podnosić głos. Jakiś młody chłopak obejrzał się na nas i poszedł dalej.

– Diablico! Rzuciłaś na mnie urok, a teraz co! Myślisz, że dam ci tak łatwo odejść?! – Testosteron wrzał w nim. Wyglądał, jakby miał wybuchnąć. Puścił moje ręce, ale cały dygotał z wściekłości. Wiedziałam, że tylko spokój może nas uratować. Siła spokoju jest najważniejsza.

– Władek. Ja wtedy byłam tym wszystkim zaskoczona. Tobą byłam zadziwiona. Zanim wydarzenia nabrały takiego tempa, my już na samym początku, kiedy się pierwszy raz spotkaliśmy w mieszkaniu Zośki, oboje wiedzieliśmy, jak to się skończy. Gdyby ktoś mnie wtedy o ciebie zapytał, na pewno powiedziałabym, że nie, że tu nic nie ma i nie będzie, ale już wiedziałam, że powiem ci tak. Jesteś taki męski, mógłbyś mieć każdą kobietę, ktoś to wszystko tam na górze zaplanował. Ja nie mam do ciebie żadnych pretensji, wierzę ci, że jesteś w pełni sprawnym mężczyzną, przecież wiedziałam to wielokrotnie. Gdybyśmy się związali na stałe, to byłby koniec nie dla nas, tylko dla pięciu innych istot. Teraz o nich chodzi, nie o nas. Dobrze, że tak wyszło. To nie jest niczyja wina. Proszę cię, uspokój się i jedź do żony. Spędziliśmy ze sobą naprawdę za mało czasu, żeby móc stwierdzić, że to była prawdziwa miłość. To było zauroczenie. Ty sądzisz, że naszym problemem stał się brak fizycznego spełnienia. Ja tak do tego nie podchodzę, bo jestem kobietą – powiedziałam najłagodniej, jak tylko potrafiłam.

– Jak możesz o tym tak mówić? Przecież taka miłość zdarza się raz na całe życie! Ominęło nas to



co najpiękniejsze!

– Wszędzie tam, gdzie myślisz, że coś straciłeś albo ominąłeś, zostało nam coś oszczędzone, jakiś ból, rozumiesz, co mam na myśli? Raz na całe życie to są nasze dzieci. Ich nie możemy stracić w tym całym szaleństwie!

Marzyłam, żeby już zakończyć cały ten cyrk. Dookoła panował mrok jak w horrorze. Byliśmy całkowicie przemoczeni. Kurtki zwilgotniały i zaczynały ciążyć. Nie dołożyłam starań, żeby ładnie wyglądać. Nie chciałam stać przed nim i się wdzięczyć. Krople deszczu zaczynały kapać mi z włosów. W powietrzu czuć było nadchodzącą zimą. Wiatr wiał coraz mocniej. Zbierał ze wszystkich miejskich zakamarków liście, jakby chciał sprzątnąć chodniki i parki przed nadejściem zimy. W powietrzu czuć było chłód północnych wiatrów. Lubiłam te jesienne zmiany.

Nieproszone zimno zaczynało zakradać się pod kurtkę. Rozmawialiśmy jeszcze pół godziny. Im spokojniej do niego mówiłam, tym bardziej jego wściekłość dawała się ujarzmić. Na koniec rozplakał się jak dziecko. Nie chciałam go pocieszać ani przytulać. Stałam i patrzyłam, jak łzy płyną po policzkach. Tu nie chodziło tylko o mnie, ale o coś jeszcze. W jego słowach czaił się nieopisany ból. Mówił: „Jaśmina, kocham cię!”, a tak naprawdę krzyczał: „Chciałbym pokochać siebie samego!”, mówił: „Nie zostawiaj mnie!”, a tak naprawdę szukał swojej duszy, bo gdzieś ją zgubił. Mówił: „Jesteś taka piękna”, a myślał: „Brzydzą się sobą”. To on sam musiał wrócić do siebie. Ja byłam spokojna, a przynajmniej tak mi się wydawało. Kiedy odchodziłam, zmroziło mnie jego spojrzenie pełne jadu i rozpacz. Na odczepne obiecałam, że jeszcze się spotkamy, ale tym razem to ja odezwę się pierwsza. Miał nie złamać tej zasady.



– Joachim załatwiłam fizjoterapeutkę! Ma przyjść do ciebie już w poniedziałek. Na początku nie chciałam, bo uważam, że kobiety mają mniej siły w rękach niż mężczyźni, ale twój doktor mówił, że jest bardzo dobra i co najważniejsze, jest ze Szczytna! Nie trzeba będzie jej płacić za dojazdy. Joachim?! Słyszysz?

Postawiłam torby z zakupami na podłodze, w domu było podejrzenie cicho. Obeszłam wszystkie pomieszczenia. Na końcu zajrzałam do pokoju Marysi, a tam na fotelu pod ścianą drzemał Mietek! Szybko się obudził i powiedział, że mąż prosił go o pomoc przy dziecku, bo sam musiał gdzieś wyjechać. Marysia słodko spała w łóżeczku. Nie chciałam panikować, opanowałam emocje. Podziękowałam sąsiadowi i odprowadziłam go do drzwi. Gdy tylko wyszedł, szybko złapałam za telefon. Po drugiej stronie nikt nie odbierał. Zadzwoiłam jakieś dziesięć razy. Gdzie on może być? Co musiało się stać, że zostawił dziecko? Wybrałam numer kolegi:

– Darek? Halo, Darek?

– Tak?

W tle było słycać głośną muzykę, ledwo słyszałam, co mówił.

– Jest u ciebie Joachim? Nie mogę się do niego dodzwonić.

– Tak, jest! Joachim, to do ciebie żoneczka dzwoni! – Usłyszałam gromki śmiech.

– Słucham. Przecież ci mówiłem, że idę do Darka. Miałem całą noc czekać, aż wrócisz?

– Joachim, jak mogłeś, przecież nie jest późno! Trzeba było poczekać na mnie, a nie zostawiać dziecko z obcym. W głowie mi się to nie mieści! Mogłeś do mnie zadzwonić, wysłać SMS, martwiłam się.

– Daj spokój, znowu robisz problem.

– Przecież nie masz sprawnej nogi, wzięłeś samochód?

Odpowiadając, beknął do słuchawki. Zaskoczona tym z pozoru drobnym upokorzeniem, nieświadomie na chwilę odsunęłam słuchawkę od ucha.

– O przepraszam, ha, ha, sorry, wymknęło mi się. – Byłam załamana. – Tak, wzięłam samochód, a co, nie mogę?

Ta rozmowa nie miała sensu. On był już podchmielony.

– Kiedy wrócisz?

– Jak wrócę, to będę. Nie martw się, przecież wiesz, gdzie jestem, idź spać. Dobra, Jaśmina, nie mogę gadać. Nie zrzedź już. Pa. – Rozłączył się.

Ręka z telefonem bezwładnie opadła na drewniany blat w kuchni. Wbiłam wzrok w srebrny garnek, który stał na kuchence. W zlewie piętrzyły się brudne naczynia. Zaczęłam płakać. Nie chciałam tak żyć. Miałam go już dosyć. Przez głowę przebiegały mi różne myśli, że są na tej imprezie u jakiejś kobiety, że nie wróci do domu na noc, że po pijanemu będą jeździć samochodem i spowodują wypadek. Wszystkie przeraźliwe scenariusze kłębiły się we mnie, a najgorsze było to, że wyszedł i mi nic nie powiedział. Tętno przyspieszyło, serce zaczęło mocniej bić, zdenerwowanie rosło. Znów poczułam w sobie tę czarną kulę strachu podchodzącą do gardła. Ręce mi się trzęsły. Już wiedziałam, że ta wojna nerwów będzie trwała całą noc. Dopóki nie wróci, nie zasnę. Znam ciężar tego domu, opieki nad obojgiem, ogniskiem domowym, znam ciężar macierzyństwa i małżeństwa, nie chcę poznać ciężaru, jaki nosi żona alkoholika. Chwyciłam za telefon, chciałam znowu z nim porozmawiać, przecież tak nie można robić! To nie pierwszy raz. Niedawno całą noc prosiłam, żeby wrócił.

„Zostaw to i nie ruszaj. Bądź ponad to. Nie kompromituj się. Czy on kiedyś prosił, żebyś wróciła? – słyszę, jak mówi ktoś bardzo podobny do mnie. – To jest jego upodlenie, nie twoje. On się zjada od środka, a nie ty. Przekrocz własne ograniczenia. Zauważyłaś, jak trudno jest zrobić coś inaczej niż dotychczas? Zajmij się sobą i odzyskaj spokój. Taki prawdziwy, nie udawany. Czy byłaś kiedyś ze sobą tak naprawdę szczerą? Czy pozwoliłaś sobie na prawdziwą miłość do siebie? Co zrobiłaś, żeby otulić się nią jak kocem? Ukołysałaś swoje problemy? Jaka jesteś poza mężczyznami? Do tej pory to oni definiowali ciebie. Pozwoliłaś sobie na bycie nieperfekcyjną? Pochwaliłaś się za coś? Ile razy mówiłaś sobie, że jesteś warta wszystkiego, co najlepsze? Kiedy zrobiłaś sobie coś zdrowego do

jedzenia? Kiedy pomyślałaś o sobie tylko w samych superlatywach? Wysłałaś do wszechświata podziękowanie za to, że jesteś? Jesteś swoimi własnymi myślami, karm się nimi. Bądź teraz PRAWDZIWA. Więc co zrobiłaś dzisiaj dla siebie?”

Odłożyłam telefon. Zamknęłam oczy. Głęboko oddychając przeponą, powtarzałam jak mantrę: wdech – radość, wydech – spokój. Powtarzałam to tak długo, aż się uspokoiłam. Do całkowitego wyciszenia potrzebowałam wysiłku fizycznego. Nie pójdę biegać, bo nie zostawię Marysi. Wzięłam książkę z ćwiczeniami jogi. Dawno nie ćwiczyłam, zapomniałam już o wielu asanach. Skupiając się na poprawnym wykonaniu pozycji, na chwilę zapomniałam o zdenerwowaniu i o tym, że Joachima nie ma. Mój mózg się wyłączył. Byłam całkowicie zeszywniała. Nie mogłam, nawet stojąc, opuszkami palców dotknąć podłogi. Przy skłonach próbowałam mieć proste kolana, ale ból towarzyszący rozciąganiu mięśni ud był nie do wytrzymania. Praca w szkole i dojazdy do niej nie zostawiały mi wolnego czasu dla siebie. Miałam wrażenie, że moja świętej pamięci babcia była bardziej wysportowana niż ja. Ogarnęło mnie lekkie przerażenie. Jak można doprowadzić się do takiego stanu? Ciało i dusza idą obok siebie. Trzeba o nie dbać tak samo i nie dać się upływającemu czasowi. Tylko ruch na świeżym powietrzu i regularne ćwiczenia mogą pomóc. Przewracałam kartki książki i wykonywałam asany tak, jak umiałam. Już po krótkim czasie poczułam ulgę. Wzięłam długi ciepły prysznic, ale woda nie zmyła ponurych myśli.

Kolej na olejkowy rytuał. Odkąd naczytałam się na temat toksycznych składników w kremach, postanowiłam wrócić do najprostszych sposobów dbania o urodę. Jak wiadomo, skóra, aby się nie starzeć, potrzebuje odpowiedniego nawilżenia i witaminy C. W owocach dzikiej róży jest jej wyjątkowo dużo, dlatego postanowiłam, że będę masowała twarz olejem z owoców dzikiej róży. Mietek ma prasę do oleju i każdego roku, kiedy tylko dojrzeją owoce dzikiej róży, chodzimy je zbierać. Nie jest to wcale takie łatwe, bo z kilograma ziaren oleju wychodzi tyle, co kot napłakał. Już samo chodzenie po lesie i łąkach przez kilka godzin dziennie odmładza. Ale to Mietek wieczorami oddziela pestki od owocu. Zmieszenie nie jest trudne, tym bardziej że ma nowoczesną maszynę. Sam robi oleje z lnu czy orzechów. Jak na takiego staruszka jest dość dobrze obeznany w prozdrowotnych trendach. Jeśli udaje nam się wycisnąć pięćdziesiąt mililitrów olejku, to jest sukces. Pewnego lata sama uzyskałam aż sto mililitrów. Wydaje się, że to mało, ale jest bardzo wydajny i wystarcza na rok, aż do następnych ciepłych dni. Olej różany można również kupić w sklepie, ale ja tak bardzo pokochałam ten coroczny rytuał letniego zbierania, że nie potrafię z niego zrezygnować. O dziwo, prawdziwy olejek nie pachnie wcale różami, może odrobinę\*. Początkowo ma głęboki żółty kolor. Potem z dnia na dzień staje się pomarańczowy. Smarując się nim, trzeba uważać, bo brudzi, i to dosyć mocno. Skóra przybiera odcień marchewkowy, dlatego smaruję się tylko na noc i zanim pójdę spać, długo wmasowuję go w twarz.

Najpierw wygładzam lwie zmarszczki, potem masuję czoło, skrzydełka nosa, okolice ust, kreślę koła na policzkach i wokół oczu. Modeluję kontur twarzy i rozciągam poprzeczne zmarszczki na szyi.

Wkładam w to niewiele wysiłku, a efekt jest widoczny już po kilku tygodniach. Pewna sławna polska aktorka została zapytana, jakich kosmetyków używa, żeby tak młodo wyglądać. Odpowiedziała, że wystarczy jej jeden. Ten najdroższy, czyli sen. Postanowiłam, że zachowam się inaczej niż dotychczas. Przychodziło mi to z wielkim trudem, cały czas zerkałam na ekran telefonu, myśląc, że Joachim się odezwie. Nic się nie działo. Zanim się położyłam, usiadłam pod ścianą i przez kilka minut znowu głęboko oddychałam, powtarzając: wdech – radość, wydech – spokój. Nie wiedzieć czemu, wystarczyło, że przyłożyłam policzek do poduszki, by zasnąć. Szkoda mojego zdrowia na to wszystko. Szkoda.

Obudził mnie głośny łomot. Ktoś stoczył się ze schodów. Odruchowo spojrzałam na zegarek, było wpół do szóstej. Mietek wybiera jajka z kurnika, a mój mąż przewraca się pijany na schodach. Ciekawe, czy teraz też go boli noga? Poczekaliśmy, aż wgramoli się do naszej sypialni, dzisiaj spałam w pokoju Marysi. Zrobiłam to celowo w myśl zasady: zrób coś inaczej niż dotychczas. Nie chciałam obudzić się obok śmierdzącego alkoholem faceta. Już na schodach poczułam jakiś smród, dosłownie jak z obory. Zgniłe jabłko i fermentujący kompostownik. Zapach przychodził falami. Kiedy weszłam do jego sypialni, poczułam to samo, ale jakby delikatniej. Leżał na łóżku w ubraniach, nawet nie zdjął butów. Podeszłam cicho i szturchnęłam go w ramię:

– Joachim! Gdzie byłeś tak długo?! Martwiłam się, porozmawiaj ze mną, bo nie wytrzymam! Jak mogłeś się tak uchlać?

– ...yyym – usłyszałam w odpowiedzi.

Był potwornie pijany. Spał jak zabity. Do moich oczu napływały łzy. Wdech – radość, wydech – spokój, wdech – radość, wydech – spokój. Patrząc na jego czerwoną i spuchniętą z przepicia twarz, myślałam, jakim kiedyś musiał być człowiekiem, że się w nim zakochałam? Innym? Oprócz twarzy i ciała zestarzała się jego dusza. Jak mógłby zauważyć szczegóły mojego romansu, kiedy nie dostrzegał, jak mu chleb piekłam z miłością, skarpety cerowałam, obiad podawałam do pięknie nakrytego stołu? Wysprzątanego mieszkania też nie zauważał. To jak wobec tego mógł zobaczyć, że nocami oczy mi się świecą do komputera, a w szafce leży nowa koronkowa bielizna? Nie widział modnej w tym sezonie czerwieni na ustach, nie rozpoznawał kolejnego wylanego na siebie flakonu perfum. Jak mógł dostrzec, że chodziłam spać rozanielona, z wypiekami na twarzy, dyskretnie pilnując telefonu. Jak? Wyglądał jak spuchnięta ryba, żyjąca gdzieś w głębinach przy samym zamulonym dnie. Przez otwarte usta wydobywały się bliżej nieokreślone dźwięki. Pochłaniał całe świeże powietrze w pokoju. Wyszłam.

Niepokoił mnie jednak ten smród. Zeszłam na dół zaparzyć kawę. Przecież i tak już bym nie zasnęła. Chciałam wywietrzyć mieszkanie, gdy nagle w przedpokoju bosą stopą wdepnęłam w jakąś dziwną maź. Teraz już wiedziałam. Ten smród to jego wymiociny. Były wszędzie: na ścianie, butach, dywaniku. Drżały mi ręce. Staralam się jakimś cudem opanować, ale nie było to łatwe. Miałam ochotę

przypieprzyć mu czymś ciężkim w łeb. Gdzieś w tyle głowy przelatowały te wszystkie dowcipy i żarciki, w których okropne żony, najczęściej pod osłoną nocy, wałkiem do ciasta albo patelnią unieszkodliwiały mężów. Z oczu nie płynęły łzy, tylko niczym gorąca lawa buchała wściekłość. Żądza odwetu i zniszczenia. Wyła we mnie rozjuszona do granic możliwości wilczyca. Wściekła, szczyrzyła zęby i szczekała tak głośno, aż sama zaczynałam się bać tych emocji. Instynktownie nie godziłam się na to, żeby ktoś rzygał na moją czystą podłogę! W pierwszej chwili pomyślałam o dziecku, które zaraz się obudzi, o zwierzętach, które się w tym wytarzają i rozniosą dalej. Chciałam sprzątnąć, ale znowu usłyszałam w sobie głos: „Co na twoim miejscu zrobiłoby dzikie zwierzę? Gdyby weszło na nieznany i odrażający teren? Gdyby wyczuło z oddali kłusownika zakładającego wnyki na jego dzieci?”. Szybko usłyszałam odpowiedź: „Uciekłoby czym prędzej”.

Bez chwili namysłu poszłam spakować rzeczy swoje i Marysi. Nie będę tego sprzątać, niech sam się tarza w tym łajnie, ale beze mnie. Coś mnie tknęło, żeby sfotografować przedpokój w takim stanie. Pstryknęłam zdjęcie i już nas nie było.

---

\* Jeżeli chce się uzyskać pachnący olejek, trzeba zebrać płatki kwiatów róży, włożyć je do naczynia z wodą (najlepiej drewnianego) i wystawić na działanie promieni słonecznych. Po dłuższym czasie można zaobserwować, jak olej oddziela się i pływa po powierzchni wody. Należy go zebrać i delikatnie przelać do niewielkich flakoników.

# Legenda o szlachciance i wilczycy

Dawno temu, u stóp gór Owernii\* w pięknym i niebezpiecznym miejscu, w pobliżu porośniętych gęstym lasem wulkanów mieszkało bogate szlacheckie małżeństwo. Wielka dama nigdzie nie mogła chodzić sama w obawie przed złoczyńcami. Otoczona płaszczącymi się doradcami i służkami, nocami patrząc daleko ponad horyzont, marzyła o wolności. Najczęściej nad ranem w blasku słońca, złota i klejnotów czuła, że nic nie zdoła wypełnić jej oczu życiodajnym blaskiem. Próżne kaprysy nie kołły bólu serca. Z dnia na dzień zatruwała umysł posępnym bezruchem. Rósł w niej gniew, szaleństwo z poczucia pustki przybierało na sile. Pewnego dnia podczas kolejnego napadu szału kazała przyprzewodzić do zamku czarownicę.

– Zrób coś, wiedźmo, bo nie wytrzymam! Bliżej mi do krzyku niż do milczenia! Mój umysł zatruwa posępne szaleństwo bezruchu. Nie mam nikogo, komu mogę ufać, z kim mogłabym tańczyć i biegać! Bo mnie nie wolno tańczyć! Ani nawet śmiać się! Wiem, że przychodzą do ciebie różni mężczyźni. Mnie nikt nie może dotknąć. Nienawidzę cię, wiedźmo, za to, że jesteś obłądnie samowystarczalna! Albo zrobisz, o co cię proszę, albo stracisz życie. Chcę być wolna i dzika! Przemień mnie w wilczycę!

– Szlachetna pani, ale to niebezpieczne. Mogłabyś biegać tylko pod osłoną nocy, a gdy spotka cię jakiś myśliwy, możesz stracić życie.

– Nic nie jest warte takiego życia! Chcę, żeby się mnie bano, chcę tarzać się w trawie, marzę, aby zagryzać zwierzęta, chcę czuć krew na swoich zębach, wyć do księżyca, chcę być wolna, rozumiesz?! Chcę zakradać się pod domy, straszyć ludzi, a nade wszystko w szaleńczym pędzie biegać wśród drzew! Chcę, żeby blask gwiazd odbijał się w moich wściekłych źrenicach, chcę czuć pot strachu i walki. Albo sama się zabiję, albo padnę z rąk myśliwego, czy to wielka różnica?

– Nie mogę tego uczynić... twoje życie jest zbyt cenne.

– Wydam cię w ręce dostojników kościelnych, jeśli tego nie zrobisz! Spalą cię na stosie! Osobiście przebiję ci serce osinowym kołkiem! Nie zaznasz spokoju!

– Dobrze. Wypij tę miksturę tuż przed zaśnięciem. Za kilka dni przyniosę nowy wywar.

Szlachcianka jednym haustem opróżniła niewielką buteleczkę. Jeszcze tego samego wieczoru na swych nowych, szybkich czterech łapach, przemierzyła dwadzieścia kilometrów przez lasy i pola.

Zzajana wbiegała na zbocza wygasłych kraterów, podziwiając zieloną otchłań doliny.

Jednak którejś nocy pewien myśliwy wymierzył z broni i trafił w łapę wilczyca tak celnie, że pocisk ją oderwał. Wilczyca uciekała, kulejąc, pozostawiając za sobą ślady krwi.

Tymczasem myśliwy jeszcze tej samej nocy udał się do pobliskiego zamku prosić o gościnę. Kiedy przestąpił próg zamczyska, zaciekawiony historią gospodarz poprosił myśliwego o pokazanie dowodu jego bohaterskiego czynu. Jakież było ich zdziwienie, kiedy z torby wyjął zakrwawioną damską rękę z jarzącym się ametystem na wilczym pazurze. Cztery palce przypominały ludzką dłoń, a tylko jeden wyglądał jak fragment łapy zwierzęcia. Władca od razu rozpoznał pierścień swojej żony. Udał się do komnaty i zastał ją półżywą na zakrwawionym łożu. Przyłożył dziwny twór do jej nadgarstka i przekonał się, że to jest jej ręka. Nazajutrz wezwał inkwizytora i jednogłośnie stwierdzono, że kobieta miała konszachty z diabłem. Spalono ją na stosie. Wśród pozostałych zgliszczy czarownica dostrzegła fioletowy błysk pierścienia. Wygrzebała pierścień z popieliska, założyła go na palec i odeszła w ciemny las.



Postacią już nie legendarną, lecz historyczną, kobietą, która na przekór społecznym konwenansom starała się realizować swoje pasje i ambicje, i także zapłaciła za to ogromną cenę, była siostra słynnego kompozytora Feliksa Mendelssohna, Fanny.

Fanny w wieku trzynastu lat grała utwory Bacha z taką wirtuozerią, że Goethe powiedział o niej, że „gra jak mężczyzna”. Nocami siadywała przy biurku, stukając palcami o blat w poszukiwaniu dźwięków. Rankami siadywała przy pianinie i zapisywała to, co zapamiętała przez noc. Chodziły pogłoski, że postradała zmysły i jest opętana. Mówili tak ci, którzy widzieli, jak pasja już w późniejszych latach odbiera rodzinie matkę i żonę. Ojciec jeszcze małej Fanny zapowiedział, że komponowanie nie będzie jej przyszłością. Brat Feliks doceniał talent siostry i wydał dzieła Fanny (za jej zgodą) pod swoim nazwiskiem. Zostały bardzo dobrze przyjęte przez krytyków. Kobieta grywała na koncertach swoje utwory, ale wola umierającego ojca była jednoznaczna. Feliks miał przejąć cały dorobek muzyczny siostry i skutecznie pozbawić jej chęci do samodzielnego tworzenia.

Fanny popadła w depresję. Przez kolejnych jedenaście lat pisała muzykę „do szuflady”. Tymczasem pogłębiły się jej chorobliwe stany lękowe. Pewnego dnia pojawił się wydawca z propozycją nie do odrzucenia. Chciał opublikować wybór jej najlepszych utworów. Kobieta długo się wahała, na szali znalazło się jej małżeństwo i przyjaźń z bratem oraz opinia mieszczańskiego społeczeństwa. Mimo że spełniła jedno z najważniejszych marzeń, stale idąc pod prąd życiowej rzeki, wiedziała, że tym posunięciem zawiodła ojca i bardzo dla niej ważnego, już wtedy słynnego brata.

Wewnętrzne rozgoryczenie spowodowało nawrót depresji, permanentne zmęczenie, wszechobecny smutek. Fanny przestała tworzyć. Umarła w wieku zaledwie czterdziestu czterech lat, w dniu premiery *Pierwszej nocy Walpurgii*, wielkiego scenicznego dzieła Feliksa\*\*.

Jeżeli czujesz, że twoja intuicja wzywa cię do podjęcia bardzo ważnej decyzji, czy do jakiejś formy tworzenia – idź i rób to! Osiągniesz wewnętrzne poczucie spełnienia i wszechogarniający spokój, poczujesz się bezpiecznie sama ze sobą. Jeśli blokujesz przepływanie daru na zewnątrz, blokujesz świadomy rozwój, który nie tylko jest twórczym działaniem, ale również przejawia się w postaci dobrego zdrowia, poczucia humoru, świeżego wyglądu. Wiele naszych frustracji może być spowodowanych właśnie brakiem twórczego życia. Każdy z nas ma ukryte źródło, które chce się rozlać w nas spokojem i harmonią. Fanny popadała ze skrajności w skrajność, z szaleństwa tworzenia w nostalgię i depresję. Zniszczyły ją ograniczenia kulturowe, wśród których przyszło jej żyć. My, w wolnej Europie, nie mamy sztywnych ram, one są wyłącznie w naszych głowach. Jedynymi zagrożeniami dookoła są głosy, które nie należą do duchowej wilczycy: strach przed opinią, przed tym, że mnie się nie uda (nawet nie próbuję), zrobię to jutro, nie mam czasu.

Rozejrzyjcie się dookoła, może cały czas nosicie na palcu pierścień z ametystem? A jeśli go nie ma, pewnie znajduje się tam, gdzie się tego najmniej spodziewasz. Próbuje nowych rzeczy, może coś przyciągnie twoją uwagę na dłużej. Coraz bardziej oddalając się od ametystu, możesz stać się przezroczysta jak mgła, a nawet zniknąć. To ogromne błogosławieństwo usłyszeć gdzieś w podświadomości głos zwilczonej kobiety, duchowej wilczycy, który mówi prawdę o tobie: ja też oceniam innych, szczególnie tych, którym czegoś zazdroszczę, i nakłania: spróbuję, nie mam nic do stracenia; zawsze znajdę w ciągu dnia chwilę dla siebie; jutro to dziś.

Czym jest ten głos? Jest tobą i jest tak osadzony w świadomości, że nawet jeśli będziesz ignorowała znaki, które tobie posyła, nawoływania, to i tak przyjdzie. Kobiety potrzebują wilczyc jak chleba. Pragną być wolne, dzikie, piękne, opiekuńcze, tajemnicze i niebezpieczne. Twój głos może być inny, ale na pewno usłyszysz go w głowie, a tym bardziej w sercu, i będzie towarzyszyło temu rozdarcie. Pozostawienie czegoś i zrobienie miejsca nowemu. Zawsze takim zmianom towarzyszy strach, może on sparaliżować albo nawet osaczyć, ale pamiętaj, że każdy boi się tego, czego jeszcze nie zna. To jest naturalny mechanizm obronny, więc postaw krok naprzód i zamiast znajdować kolejną wymówkę, zrezygnuj z czegoś na rzecz nowego. Masz czas na oglądanie ulubionych seriali, a nie masz czasu na czytanie książek? Zrezygnuj z czegoś, a otworzy się przed tobą nowa perspektywa patrzenia na siebie i swoje otoczenie. Jeżeli cały czas pracujesz zawodowo, nawet w domu, zdaj sobie sprawę z tego, że twoje istnienie nie musi być usprawiedliwiane wieczną pracą. Niech myślą przewodnią będzie pytanie: „Co jest mi teraz potrzebne? Czego chce ten głos?”.



\* Legendę opowiedziała mi Isabelle, starsza kobieta, mieszkanka Owernii, regionu w centralnej Francji. Matka Isabelle była Polką (pochodziła z Mazur), ojciec – Francuzem. Spotkałyśmy się przypadkiem podczas spływu Krutynią. Isabelle przyjechała do Polski w podróż sentymentalną po śmierci matki.

\*\* H. Grimaud, *Dziki wariacje*, Warszawa 2007, s. 174–175.

# Babuszka

Zaparkowałam tuż przed jej domem. Na domiar złego znowu wydzwaniał do mnie Władek. Wolałabym widzieć na ekranie telefonu migające imię męża, ale ten pewnie jeszcze nie odzyskał w pełni świadomości. Całą drogę powstrzymywałam cisnące się do oczu łzy, nie chciałam, żeby Marysia widziała płaczącą mamę. Nawet nie zauważyłam, że przez cały czas kurczowo trzymałam kierownicę, palce mi zesztyniały, skostniały nadgarstki, noga wciskająca sprzęgło przykurczyła się do tego stopnia, że ułożeniem przypominała wygięty ptasi szpon. Nie mogłam wyjść z samochodu. Przecież miałam sparaliżowany mózg, nie ciało! A jednak jest tak, jak piszą w mądrych książkach: bóle psychosomatyczne są jednymi z najgorszych, bo jeśli można wyćwiczyć niesprawną nogę czy rękę, to jak poradzić sobie z mózgiem? Jak go ujarzmić?

Zastałam ją w kuchni, jak ucierała pieprz w moździerz. Obok na blacie były już ułożone mniejsze kupki innych przypraw. Jeden usypany stożek wyglądał jak ziele angielskie, drugi zdecydowanym i mocnym zapachem zdominował całe pomieszczenie. Suszony rozmaryn był wyczuwalny w promieniu kilkunastu metrów. Lewą ręką trzymała korbkę od metalowej, starej maszynki do mięsa. Chrobotąło i świszczało na cały dom, kiedy mieliła suchy chleb, zamieniając go w bułkę tartą. Obok stała drewniana miseczka, a w niej jakieś korzenie. Dookoła pojemnika siedziały koty, ślepo wpatrując się w ususzoną roślinę. Od czasu do czasu pomrukiwały, ocierając się o naczynie. Szeptucha co rusz próbowała je odgonić, ale jak zaklęte wracały na to samo miejsce. Musiał tam leżeć kozłek lekarski, niezastąpiony w leczeniu nerwicy i jedyny mi znany koci afrodyzjak. Moje też tak reagowały na kocią trawę. Marysia schowała się za mną, nie wiedziała, co się dzieje, przed chwilą smacznie spała w samochodzie, a teraz znalazła się w jakimś obcym miejscu, które nie przypominało jej pokoiku, ale raczej domek baby jagi.

– Wiedziałam, że ktoś przyjdzie – babuszka nagle przemówiła, cały czas zwrócona w stronę ziół, plecami do nas. Dziś nie miała na nadgarstkach dzwoniących bransoletek, przeszkadzałyby jej w pracy. Głowa szczelnie owinięta kwiecistą chustą, tak aby ani jeden siwy, a może raczej już biały włos nie wpadł do naczyń. Dom pachniał zbożem i ziemią. Wyglądał jak jej szara spódnica. Był nieco mroczny, ale ciepło kaflowego pieca skutecznie promieniowało na całą izbę.

– Widelce mi od wczoraj z rąk wypadają, a rosół na ogniu cały w płomieniach stanął! Toż na Boga, przestraszyłam się, bo w płomieniu twoją twarz widziałam! Jakby mi ktoś wiadomość chciał

przekazać, tak wszystko wyraźnie widziałam! Aż miałam po Marzenę wołać, żeby zadzwoniła do ciebie, a tu masz ci los! Stoicie przede mną jak dwa łyse drzewa. Im jestem starsza, tym więcej widzę, cholera jasna, nigdy się od tego nie uwolnię, póki Pan Bóg po mnie nie przyjdzie. A to twoja pociecha? Siadajcie, Jaśmino. I co, znowu przez nich spać nie możesz? Jeden lepszy od drugiego?

Skąd ona to wszystko wiedziała? Kiedy byłam tu ostatnim razem, też wyciągnęła ze mnie wszystkie informacje. To znaczy ja sama przed nią pękłam. Słowa wypłynęły jak kryształki lodu, szybko, pięknie i boleśnie. Wystarczy, że spojrzy komuś w oczy i dusza sama się otwiera, chce spocząć w jej spokojnym umyśle otoczona wiedzą i czarami.

– Nie przy dziecku. Teraz nic nie powiem. Proszę o gościnę przez kilka dni, nie mogę tam wrócić. Nie wiem, co zrobić, nie miałam dokąd pojechać.

Znów rozległ się dzwonek telefonu komórkowego. Tylko spojrzałam szeptusze w oczy. Wystarczyło.

– Ten drugi dzwoni, łoj?

– Tak... – odpowiedziałam załamana, bujając Marynię na kolanach.

– Łoj, spokoju nie daje?

– Tak... – Schowałam twarz w dłonie. Żołądek przyklejał się do kręgosłupa. Od rana nic nie jadłam. Matka zawsze nakarmi dziecko, a o sobie zapomina. Drobną łza spłynęła mi po policzku.

– Pomóc ci?

– Tak – odpowiedziałam, zaciskając zęby, przed oczami miałam zarzygany przedpokój, a w nim twarz zdesperowanego Władka. To za dużo jak na dwa dni. Gubię się w tym. Jak ona mi nie pomoże, to już nikt.

– Ale to nie będzie łatwe. Wierzysz w te moje mikstury, hi, hi, hi? – roześmiała się, zacierając powykęcane od reumatyzmu ręce.

Kiwała się na drewnianym stołeczku z lewej na prawą. Marysia, z główką wtuloną w moje piersi, obejmowała mnie czule. Jeszcze nigdy nie słyszałam śmiechu szeptuchy. Było w nim coś przerażającego, bo zobaczyłam z bliska jej złote zęby.

– Nie bój się, dziecko, nie wiem, czy jeszcze umiem odczarować, ale na mokradła pójdziem dziś jeszcze i coś poradzim na niego. Ale szczęście! Dom wesoły od dzieci i gości, bo tak to tylko ludzie z chorobami tu do mnie przyłazą. Poradzimy sobie z nim! – Spojrzała na czarnego kota, mówiąc: – Po Marenice leć, niech tu do nas szybko przychodzi, dzieckiem trza się zająć. – I jednym skinieniem palca pokazała mu drzwi. Ten zeskoczył z blatu kuchennego i jakby wszystko zrozumiał, pobiegł co sił w łapkach, przeciskając się przez niedomknięte drzwi.

Siedziałam w osłupieniu. Szeptucha dała mi najpierw mleko z płatkami owsianymi, a potem kazała żuć przez cały dzień korzeń kozłka lekarskiego. Napięcie opadało, rosła bezsilność i smutek. Nie miała w izbie kolorowych zabawek. Wyciągnęła gdzieś z kąta konika na biegunach, jakieś kołatki

i drewniane klocki. Nie były to lego, ale zwykłe klocki, z których w dawnych czasach dzieci budowały zagrody i domki. Marysi bardzo się spodobały.

O dziwo, po chwili przysła Marzena z kotem na rękach. Oczy wytrzeszczałam z wrażenia, nie mogąc w to uwierzyć, ale czemu miałam się dziwić, w końcu moimi dobrymi znajomymi były najprawdziwsza szeptucha i jej wnuczka. Szeptucha kazała mi się ciepło ubrać, nie miałam czapki, więc dostałam od niej staromodną kwiecistą chustkę na głowę i gumiaki z filcem. Wyglądałam jak siedem nieszczęść.

– Największą moc, moje drogie dziecko, mają zioła z bagien, szczególnie te, które zerwiesz własną ręką. Szeptuchy ze swoją wiedzą nie powinny się mieszać do uroków miłosnych, ale ty jesteś moja, swoim trzeba pomagać. Tak to jest. Najpierw chcą, żeby się który w nich zadurzył, a potem po czary na odpędzenie chłopą przychodzą. Chodź szybciej, po drodze wszystko opowiesz. Pora roku nam nie sprzyja, ale może jeszcze coś znajdziemy.

Nie protestowałam. W końcu i tak nie miałam nic do stracenia. Musiałam za wszelką cenę uwolnić się od Władka, bo inaczej rozbije moje małżeństwo, a może ono już jest rozbite? Kiedy wyszliśmy na podwórko, zaczął prószyć drobny śnieg. Przyklejał się do twarzy, mroził wargi. Pierwszy w tym roku. Otworzyłam oczy i usta, spoglądając na niebo. Jadłam płatki prosto z metalicznej misy nieba. Delikatne i puchate. Temperatura spadła poniżej zera, ale było dosyć przyjemnie. W takiej aurze zawsze czuję się zdrowsza niż zwykle. Lubię, jak szczypie w nos. Natura wie, jak sobie dogodzić.

Za domem babuszki jest las. Wchodzimy w niego. Nie ma tu wytyczonej żadnej ścieżki. Skąd ona wie, którądy iść? Gałęzie uderzają w twarz, szarpią za ubranie, jakby chciały odwieść nas od tego pomysłu. Odgarniam je, gumofilce stukają o skostniałe poszycie. Drobne gałązki trzaskają pod ciężarem moich stóp. W oddali słychać dźwięczne, charakterystyczne, gardłowe krakanie. Kruki pilnują swoich terytoriów, obserwują nas, czuję to. Las jest całkowicie nieruchomy, tylko płatki śniegu wirują jak subtelne baletnice. Ogarnia mnie coraz większa cisza. Tu nie ma ludzi, są tylko szmery mieszkańców boru. Z wolna otacza nas coraz gęstsza mgła. Bagniste wyziewy dają znać, że jesteśmy już blisko. Wśród dziwacznych obłoków sięgających jedynie do pasa, gdzieś w oddali słychać dźwięk kościelnych dzwonów. Babuszka nagle chwyta mnie za rękę. Staje i nasłuchuje. Niczego nie tłumacząc, rusza dalej.

Dookoła bagnistego stawku rosną brązowe krzaki i wyschnięte trawy. Kępy żółkłej paproci czepiają się wyblakłych pni drzew. Wszystkie są zamrożone i chropowate, widać na nich ścielącą się biel mrozu. Babuszka nie pozwala mi wejść na trzęsawisko. Jego wierzchnia część jest delikatnie zamrożona, ale pod nierówną taflą czai się muliste bagno. Jeden nieostrożny ruch i można ugrzęznąć po kolana. Muszę uważać. Nawet nie wiem, czego szukać. Kobieta co rusz schyla się, rozgrzebując metalową łopatką skostniałą ziemię. Nagle podaje mi ją i samej każe wykopać kilka korzeni jakiegoś ziała.

– To bulwa żywokostu lekarskiego. Jest trujący, ale bezpieczny, jeśli się wie, jak go użyć. Bulwa jest najlepsza na wywar. Musimy jeszcze znaleźć czarcie ziele. No, co się tak patrzysz? Kop! Twój kłopot, to i twój korzeń! Skup się i myśl o tym, na co ma pomóc. Nie rozpraszaaj się.

– Kręci mi się w głowie, niedobrze mi – odpowiadam nerwowo, czuję, że zaraz zemdleję. Mimowolnie przysiadam na ziemi. Odgarniając włosy spod chusty, próbuję się podnieść.

– O matulu kochana! Jakie te miastowe dzieci wrażliwe! Zasłoń usta i nos szalikiem albo chustą. Nie wiesz, że mokradła żyją swoim rytmem, wydzielając trujące opary? Wczesną zimą też można się nawdychać. Tutejsza ludność mówi, że to są „czady biesów”, dlatego zioła stąd mają największą moc. No już, już, szybciotko wykopuj, przecież nie będziemy tu cały czas marzły.

Zrobiłam, o co prosiła. Byłam na tyle otumaniona, że przez chwilę zapomniałam o mężu i Władku. Telefon zostawiłam w izbie. Ciekawe, czy Joachim dzwonił. Wykopałyśmy ostatni korzeń i miałyśmy ruszać w drogę powrotną, gdy babuszka znowu stanęła, nasłuchując.

– Słyszysz? Kruki gdzieś tu niedaleko krążą. – Spojrzała w górę, okręcając się wokół własnej osi. Zmrużyła oczy i powiedziała: – Idziemy tam, gdzie ich najwięcej.

Przemierzyłyśmy jeszcze kilometr, zbliżając się do celu. O nic już nie pytałam. Czasami czuje się, że słowa zupełnie nie mają sensu. Dzieje się to, co powinno, a logika jest zbędna. Cieszyłam się, że w końcu mrok lasu rozświetliły promienie słońca. Nie było cieplej, ale poczułam się bezpieczniej. Szeptucha szła przede mną różnym krokiem, nucąc jakąś prostą piosenkę. Z tyłu wyglądała jak mała, wychudzona dziewczynka. Nagle stanęłyśmy obie jak wryte. Czarne ptaki poderwały się do lotu, a naszym oczom ukazała się maleńka polanka, na której leżała jakaś padlina: ogryzione kości jakiegoś dużego zwierzęcia. Miejsce rzezi było dosyć świeże. Pomiędzy żebrami wisiały kawałki skóry, dookoła porozrzucane szczątki wnętrzości i zamrożone połacie krwi.

– Wiedziałam! – z zadowoleniem syknęła szeptucha. – Kruki zawsze zlatują się w lesie nad padliną. Albo to pies, albo wilk. Wolałabym wilka, przydałby się. Dobrze, że zmroziło, to przynajmniej aż tak nie śmierdzi. Jak nie możesz na to patrzeć, nie podchodź. Poradzę sobie sama.

Z kieszeni doszytej pod spódnicą wyciągnęła duży scyzoryk i poszła na łowy. Widziałam, jak zeskrobuje ze skóry tłuszcz zwierzęcia i wkłada do szklanego słoiczka. Skąd ona wzięła słoiczek? Pewnie trzymała go w innej ukrytej kieszonce. Zastanawiała się nad jakimiś wnętrzościami i również je schowała, ale do jakiegoś woreczka. Potem zaczęła dłubać w paszczy wilka. Mamrotała przy tym, szeptała, wydawała dziwne dźwięki. Mocowała się z nim, rzucając w przestrzeń białoruskie przekleństwa. Próbowwała coś wyciągnąć. W końcu uradowana krzyknęła: „Mam!”. I zaczęła wszystkie zdobycze chować w kieszonki pod spódnicą. Ręce umyła w niewielkim źródółku, które napotkałyśmy w drodze powrotnej.

Jesień już była coraz głębsza, drzewa wycofały soki do podziemnych korytarzy, magazynowały życiodajny płyn na czas mrozów. Światło migotało pomiędzy drzewami. Promienie co rusz chowały

się, żeby znów za chwilę się pokazać. Igrały ze strukturą ciemnego lasu. Wydawał się przez to lekki i przyjazny, a pomimo to gałęzie drzew jakby broniły wejścia bardziej w głąb, mówiąc, że ludzkim spojrzeniom wstęp wzbroniony! Chciałabym tu zostać na zawsze. Zamieszkać w chacie szeptuchy, nakryć się pierzyną i tak przeczekać zły czas. Nie miałam siły na walkę z mężem. Jakby ktoś wyszał ze mnie miłość i zrozumienie. Nie miałam energii do pracy z uczniami, jakby cały jej zapas został wyczerpany. Pragnęłam spokoju i ciszy, nie wiedziałam, że to, co najgorsze, miało dopiero nadejść. Jedyne, czego możesz być w życiu pewien, to zmiany, których nigdy nie zdołasz przewidzieć.

W domu babuszka zaparzyła herbatę, podkasła rękawy i od razu wzięła się do pracy. Miała dziwny wyraz twarzy: lekkie zdenerwowanie z dozą szelmowskiego uśmieszku. W ogóle się nie przejmowała moją sytuacją, jakby jej pasowało, że jestem tutaj i proszę o pomoc. Miałam wrażenie, że ona wie wszystko wcześniej, zanim na człowieka spadnie choroba czy inna przykrość. Usiadłam naprzeciwko niej, po drugiej stronie stołu. Kazała mi zapalić świece stojące na parapecie, mówiąc:

– Jaśmina, to nie będzie takie łatwe, jak ci się wydaje. Zrobimy wywar ze wszystkiego, co nazbierałyśmy, dodamy do tego odrobinę wilczego tłuszczu i parę innych składników, ale żeby Władek całkowicie przestał zwracać na ciebie uwagę, będą potrzebne jego paznokcie...

– Paznokcie...? Ale skąd ja wezmę jego paznokcie? – Całkowicie tym zaskoczona, uznałam, że to jest bardzo głupi pomysł. Kto w dwudziestym pierwszym wieku rzuca czary na kochanka! Chyba tylko taka wariatka jak ja! Przecież to i tak nie zadziała!

– Będziesz musiała się z nim jeszcze raz zobaczyć i coś wymyślić. Nie ma innego wyjścia. Albo paznokcie, albo małżeństwo. Wybieraj. – Rzuciła groźne spojrzenie, jakby starała się przeszyć moje myśli na wylot. – Czy ty w ogóle w to wierzysz?! – dodała jeszcze ostrzej i głośniej.

– Babuszko, nie wiem, czy jest sens odstawiać takie szopki. Wierzę, że zioła mogą wyleczyć ciało z pewnych fizycznych dolegliwości, ale na to, kto za mną chodzi, nie ma rady.

Jej drobniutkie ciało bezradnie opadło na krzesło. Wznosząc ręce ku niebu, stanowczo rzekła:

– Jaśmina! Przecież jak zginie wiara w nadprzyrodzone moce, to ich nie będzie! Jak zginie twoja wiara w Boga, to też się go pozbędziesz! Jak zginie nadzieja na polubowne załatwienie sprawy, to będziesz się całe życie z tym szarpać. Przecież tu chodzi o to, żeby wierzyć! My, szeptuchy, jak i inne znachorki, tak rozwinęłyśmy w sobie intuicję i moc, że potrafimy robić z nich użytek. Nie sprzeciwiamy się religii, jesteśmy łącznikami między tym, co na ziemi, a tym, co w niebie! Ktoś, kto czuje w sobie taką moc, musi za wszelką cenę ją rozwijać! Jeżeli nie włożysz całej siebie w przygotowanie tego naparwu, to na nic moje starania. Ty tu grasz pierwsze skrzypce! To jest twoje życie, ja już swoje przeżyłam. Odrzuć od siebie tę rezygnację. Odkładam robotę na później. To nie ma sensu. Przejdź się, nakarm koty, zrób coś ze sobą, może ujrzysz jakiś znak. Jak już będziesz gotowa, to mi powiedz. Szkoda mojego czasu, wracam do modlitwy, w końcu dziś niedziela. Zajmijcie się czymś z Marzeną.

Włożyła wełniany kożuch, trzasnęła starymi drzwiami i podreptała do cerkwi. Zostałyśmy same.

Na kaflowym piecu suszyły się pokrojone w cienkie plasterki jabłka. Obrałyśmy jeszcze trochę owoców, posypałyśmy je delikatnie cynamonem i dołożyłyśmy do pozostałych. Zapachniało świętami. Weszłam do drugiego pokoju, żeby rozpakować nasze walizki. Dzisiejszej nocy miałyśmy tu spać. Od razu przywarłam do kaflowego pieca. Na szybach drewnianych oknien mróz wymalował piękne pióropusze, lodowe kwiaty. Jakby ktoś je wykleił haftowanymi listkami. Mieniły się drobnymi, połyskującymi gwiazdeczkami, a promienie słońca rozciągały ich diamentowe włókna na dolnej szybie. Zimowy ogród malowany mrozem i wiatrem, a w nim roztańczone, świetliste mgnienia jak śniegowe baletnice. Ostatni raz widziałam je, kiedy miałam dziesięć lat, w domu mojej babci (w którym teraz mieszkam), zanim wymieniono okna. Te obrazy chowałam w szufladach pamięci, wracały w chwilach największej samotności. Czy pod powierzchnią tego na wskroś realnego życia są jakieś cienkie pajęczne nici łączące to, że kiedyś w tym właśnie pokoju spał mój dziadek, a teraz będę ja? Zgubił tu kartę tarota\*, którą po wielu latach odnalazłam zupełnie przypadkowo. Kto ze sobą to wszystko łączy? Przecież nie człowiek. Mam wrażenie, że uczestniczę w czymś bardzo ważnym i wzniosłym, choć nie wiem, co to jest. Mam tu być. Ta mikstura na Władka też powinna powstać, czuję to.

Nagle dzwoni telefon!

– Jaśmina, gdzie ty jesteś?! Wiem, że wczoraj późno wróciłem, o której będziesz?! – Rozgoryczony Joachim jak zwykle zaczyna krzyczeć.

Czy on nie umie normalnie mówić? Odpowiadam ze stoickim spokojem:

– Mam już ciebie dosyć. Odchodzę. Marysia jest ze mną.

– Aleee... jak to odchoodzisz? Gdzieeee? – Jeszcze całkowicie nie wytrzeźwiał, słyhać, jak przeciąga wyrazy. Przy pierwszym zdaniu musiał się bardzo skoncentrować.

– Nie chcę z tobą żyć, musimy od siebie odpocząć. Wrócę za kilka dni, to porozmawiamy. Muszę wszystko przemyśleć.

– No chyba sobie ze mnie żartujesz? – Głos jakby przytomniejszy.

– Masz dzisiaj wieczorem pierwszą rehabilitację. Posprzątaj po sobie.

– Ale co mam sprzątać, zwariowałaś? Gdzie wy jesteście, do cholery, w co ty ze mną grasz?!

– Od kilkunastu lat gram z tobą w taką zabawę, która się nazywa małżeństwo, i wygrałeś. Odchodzę. Sprzątnij po sobie te rzygi.

– Ty je powinnaś sprzątnąć! Przecież to twoje psy! Ja się nie zrzygałem! Dziewczyno, czy tobie coś się stało z głową? Czy widziałaś mnie kiedyś aż tak pijanego?

– Nie widziałam aż do dzisiaj i przestań kłamać! – Tego było za dużo, żeby zwać na psa. – Zachowujesz się jak dziecko!

– Dobra, Jaśka, jestem zmęczony rób, co chcesz. Jak nie chcesz być ze mną, to droga wolna. Jak

się ogarniesz, to pogadamy. Nara.

Odłożył słuchawkę pierwszy. Jestem w szoku. Czyli nasze małżeństwo znaczy dla niego mniej niż nic? Byłam pewna, że zacznie przeproszać. Myślałam, że będzie się kajał, prosił, żebyśmy wróciły, ja i Marysia, a tu nic się nie stało. Boże, jaka jestem głupia! A może jeszcze zadzwoni, przecież nie wytrzeźwiał do końca. Po co się tak usprawiedliwiam? Boże, co tu robić, co robić? Zadzwonię do niego jeszcze raz. Nie! Po co miałabym to robić?! Na pewno jak dojdzie do siebie, to mnie przeprosi. Muszę tam szybko wrócić, sprawdzić, czy wszystko jest w porządku. Ale po co? Wszystko we mnie drży od gonitwy myśli. Bicie serca znacznie przyspiesza, pulsują skronie, mam wypieki na twarzy. Z trudnością łapię oddech, jest płytki i nierówny. Najgorsze w takich sytuacjach jest to, że nie umiem się uspokoić. Czuję, jak rośnie we mnie złość, od czubeczków palców u stóp przesuwają się coraz wyżej i wyżej, aż dochodzi do gardła, i wtedy zaczynam niekontrolowanie krzyczeć albo mówić coś, czego będę potem żałowała. Wzburzone emocje nie są najlepszym doradcą. Jestem już na granicy wytrzymałości. Z jednej strony chciałabym spakować mu walizki i wyrzucić z domu, z drugiej – może warto zacisnąć zęby i to przetrzymać, przecież mamy dziecko. Marysia potrzebuje ojca. Tylko jakiego? Jak się o nas stara, to nie jest znowu taki okropny, wiem o tym doskonale. Tylko ile ja w tym wszystkim wytrzymam? Na ile moje nerwy pozwolą mi to znieść? A co z moim sumieniem? Co ono podpowiada? Na ile jestem *fair* wobec siebie? Nie w stosunku do całego świata, tylko wobec swojego ja? Przecież to się nie może tak skończyć. Co mu się stało? Zaraz zwariuję, eksploduję z nadmiaru emocji. Muszę się uspokoić, żeby Marysia niczego nie zauważyła. Przeczekać, trzeba to przeczekać. Kiedy nie wiem, co zrobić, trzeba ochłonąć. Kiedy nie wiem, dokąd iść, to przecież jakaś droga sama mnie gdzieś zaprowadzi. Tak, głęboki wdech – radość, głęboki wydech – spokój.

Siedziałam chwilę na łóżku, kiedy usłyszałam charakterystyczne skrzypnięcie drzwiami. Szeptucha wróciła. O nic nie pytała, widziała, że jestem w nie najlepszym stanie. Tym szybciej wzięła się do pracy nad Władkową miksturą. Przynajmniej tak mi się wydawało.

Babuszka, żeby się ogrzać, zrobiła najpierw sobie dwie herbaty. Jedną szklankę wypełnioną do połowy dziwnymi liśćmi zalała wrzątkiem, drugą ze zwykłą saszetką zalała dopiero po chwili. I nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie posłodziła ich... landrynkami. Wyciągnęła z szafki niewielkie zawiniątko z kolorowymi cukierkami i powiedziała, że tak lubi najbardziej. Wymieszała z westchnieniem. Mlaskając, przygryzła sobie wargi. Pogłaskała zainteresowaną Marynię po główce i patrząc na mnie, powiedziała:

– I co? Miałaś coś?

Zupełnie nie wiedziałam, o co jej chodzi. Patrzyła na mnie przenikliwie, miałam wrażenie, że jej wzrok przeszywa mnie na wskroś. Widziała, że nic nie rozumiem.

– Pytam się, czy coś poczułaś? Miałaś jakieś widzenie, albo znak? Miałaś się zastanowić, czy chcesz to ze mną zrobić. – Popijając kolejny łyceczek, zaczęła wyciągać maleńkie słoiczki z szafek.



Baczenie ją obserwując, powiedziałam:

– Nie wiem, czy to był znak. Ale jak tylko weszłam do tego pokoju, w którym kiedyś mieszkał dziadek, to coś wypełniło mnie od środka. Miałam wrażenie, że to on mnie tu przysłał, ale przecież to nie jest możliwe. Poznałam was zupełnie przypadkowo, mam wrażenie, że już kiedyś tu byłam, że widziałam pewne zdarzenia. Jakby jakaś niewidzialna ręka popychała mnie do przodu. Nie mam takiego wrażenia przez cały czas, ale jak już mnie to dotyka, to czuję się taka przezroczysta, jak ze szkła, a potem wracam do normalnego życia i zapominam o tym. Czuję wtedy całkowitą jedność ze światem, a co najważniejsze, otaczam miłością taki dziwny lęk przed tym, co się jeszcze nie wydarzyło, a wiem, że nadejdzie. Tak właśnie się czułam przed chwilą, a potem to wszystko prysło, bo zadzwonił Joachim i nawet nie przeprosił. Nie powiedziałam mu, gdzie jestem, nie chcę, żeby tu przyjechał. Mam już dosyć.

– To jest eter.

– Nie rozumiem.

– U nas na taki dziwny przepływ myśli mówi się, że to piąty żywioł, czyli eter. Podobno z niego zbudowane są ciała niebieskie i człowiek, i wszystko, co istnieje w świecie materialnym i duchowym. Bez eteru nie ma duchowości. Łączy wszystkie cztery podstawowe żywioły: ogień i wodę, ziemię i powietrze. Nie jest namacalny, można go jedynie poczuć. Arystoteles mówił, że nie występuje na ziemi, tylko istnieje w „świecie nadksiężycowym”, w którym są zupełnie inne prawa niż tu u nas. Eter nie powstaje i nie ginie, więc dlaczego miałyby nie spocząć w człowieku. My też, jak gwiazdy, krążymy po ziemskich galaktykach, odwiedzamy miejsca, spotykamy ludzi, jesteśmy przecież we wszechświecie, więc dlaczego miałyby w nas zbraknąć tego elementu? Coś, co stoi na pograniczu nieba i ziemi, co łączy nas z tym, czego nie da się logicznie wyjaśnić, co jedynie się czuje – to eter. Boski promyczek, maleńki dowód na to, że jest „coś” poza ziemskim życiem.

– Eter... – zadumałam się przez chwilę. Jakie to piękne słowo. Całkowicie nieodgadnione, przynosi ulgę. – Eter – powtórzyłam jeszcze raz, jakby rozplływając się w nim. Już wiedziałam, co zrobić. – Szeptucho, zróbmy tę miksturę. Ufam ci. Spotkam się z nim.

– Nie ufaj mi, tylko sobie, dziecko... – powiedziała łagodnie, dotykając mojego policzka.

Rozłożyła na stole wszystkie zdobycze. Szurając nogami, chodziła, wydreptując znane ścieżki od pieca do kuchennych szafek, a od nich do westfalki<sup>\*\*</sup>. Marzena zajęła się w tym czasie przygotowaniem obiadu, a ja sięgnęłam po książkę, zagłębiając się w tajniki medycznych właściwości ziół. Babuszka była niesamowicie dokładna. Precyzyjnie odmierzała suszone zioła, mielila i gotowała je w wodzie, żeby później sporządzać z nich różne mikstury. Miała przeszło sto lat, a dziś zachowywała się jak zupełnie młoda osoba. Kiedy widziałam ją ostatnio, była zmęczona życiem i nie mogła pogodzić się z tym, że nogi i ręce odmawiają posłuszeństwa. Jak to miała w zwyczaju mawiać, „umysł ten sam, a ciało jakby nie moje”. Marzena mówi, że goście ją zawsze tak odmieniają. Ma wtedy zacne grono słuchaczy i nie jest sama. Przychodzą do niej ludzie po lekarstwa i dobrą radę, ale to nie to samo co swój człowiek. Nagle babuszka położyła przede mną wilcze kły. Te, które z taką

trudnością starała się wyrwać na polanie w lesie.

– Aaaa co to? Co ja mam z tym zrobić? – zaniepokojona, nie chciałam ich nawet dotknąć, nie wyglądały jak zwykła biżuteria.

– To jest prezent ode mnie dla ciebie. Cztery wilcze kły. Zawsze uważano, że mają wyjątkowe właściwości. Będą cię chronić przed złymi mocami, dodawać sił do walki z życiem. To jest amulet, a właściwie masz ich aż cztery. Jeden zachowaj, a inne możesz rozdać tym, na których ci zależy.

Wzięła wszystkie zęby w swoje starcze ręce i zaczęła nimi potrząsać. Zamknęła oczy i śpiwnym szeptem zaczęła odprawiać tylko sobie znane nabożeństwo. Kły uderzały o siebie w jej niewielkich piąstkach jak kości do gry. Czasami unosiła dłonie, mamrocząc tylko sobie znaną modlitwę, a potem opuszczała je, wysypując kły na stół. Zrobiła tak kilka razy. Podeszła do otwartego pieca i na tle pomarańczowego ognia zaczęła oglądać wilcze zęby.

– To była samica alfa. Najważniejsza w stadzie, pewnie jakiś kłusownik zasadził na nią wnyki, a potem inne zwierzęta rozciągnęły po lesie. Szkoda. Ludzie nie umieją obchodzić się z wilkami. Boją się ich, a prawda jest taka, że wilki zjadają te najbardziej chore zwierzęta. Pilnują w ten sposób w lesie naturalnego cyklu życia i śmierci. Ludzie tak mało o nich wiedzą. No cóż, nic na to nie poradzimy.

Otworzyła moją rękę, włożyła do niej kły i zacisnęła w pięść. Kiedy je oglądałam, miałam przed oczami moją szarą, dziką wilczycę, która kiedyś pokazywała się pod domem. Od pewnego czasu w ogóle już nie przychodziła. Pewnie wyleczyła swoją zranioną łapę i pobiegła ze stadem. Ciekawe, czy bym ją poznała? Mam nadzieję, że nie wpadła w żadne wnyki. Ukradkiem przycisnęłam rękę do piersi i prosiłam wszechświat o pomyślne rozwiązanie problemu z Władkiem i mężem.

– Babuszko, myślisz, że te kły naprawdę mają jakąś nadprzyrodzoną moc? Chciałabym umieć czarować. Rzuciłabym jakiś urok na Joachima i Władka, może w końcu by się uspokoili.

– Czarować, moja droga, każdy może. Widzę, że nie czytałaś książki, którą mi tu kiedyś przywiozłaś. Twój dziadek najprawdopodobniej był szeptunem. Mężczyźni mają większe zdolności do uzdrawiania ciała z chorób fizycznych, kobiety zaś do leczenia psychicznych, ale jedno nie wyklucza drugiego. Wiesz coś na temat fizyki kwantowej i jej zastosowania w życiu?

– Fizyki kwantowej? Nie, nigdy nie byłam dobra w tej dziedzinie. – Schowałam kły do maleńkiego woreczka i włożyłam do torebki. – A co ma do tego fizyka?

– Aaa, no bardzo dużo. Fizyka to jest takie właśnie czarowanie rzeczywistości. Zsynchronizowanie swoich myśli z wszechświatem. Najogólniej mówiąc to, o czym myślisz, twoje prośby, marzenia, złe czy dobre uczynki wysyłasz jak fale energii – w kosmos. Te twoje myśli wirują tam, rozprzestrzeniają się i przyciągają do siebie inne wirujące myśli, które zostały wysłane od zupełnie nieznanymi ci ludzi. Ile razy tak było, że myślałaś o czymś, że chciałabyś kogoś teraz zobaczyć albo gdzieś pojechać i nagle w twoim otoczeniu znajdowali się ludzie, albo przedmioty, które doprowadzały cię do tego celu? Takie cudowne przypadki, zbiegi okoliczności to są właśnie te myśli. Wszechświat, który nas

otacza, reaguje na wszystko: zanieczyszczenia, modlitwę, muzykę, płacz, śmiech, a także na myśli i słowa, które wpływają na jego kształt. Wszechświat przechowuje te wszystkie informacje i po jakimś czasie wysyła do ciebie energię zwrotną. W związku z tym sama możesz tworzyć swoją rzeczywistość, tylko potrzebne są cierpliwość i czas. Otaczające nas pole energetyczne to nic innego jak aura. Aura wypełniona jest zawieszonymi, małeńkimi dźwiękami twoich myśli. Odpowiednio dobrany dźwięk myśli jest w stanie zmienić rzeczywistość. Rozumiesz?

– Tak, trochę, czyli ja mam wpływ na swoją rzeczywistość? Ale jak to zrobić?

– Trzeba w to uwierzyć! Każdy z nas może obrać własną ścieżkę..

– No, ale jak to zrobić? Pomyślę sobie o tym i już? – Zupełnie nie wiedziałam, o co jej chodzi, ale te słowa w jakiś sposób mnie przekonywały.

– W medytacji stosuje się „lukę między myślami”. Uspokajasz się, starasz się skupić tylko na jednej rzeczy. Ha! Spróbuj przez chwilę nie myśleć o niczym, albo tylko o jednej rzeczy, i odpłyń. Po jakimś czasie poczujesz w głowie pustkę. Trzymaj tę pustkę najdłużej, jak tylko to będzie możliwe. Ta luka między myślami jest drogą do Źródła. To Źródło możesz nazwać, jak chcesz: nieskończoną dobrocią czy boskością, dla mnie to jest Bóg mój jedyny, dzięki któremu uzdrawiam chorych. Dla ciebie to może być coś innego. Pewne jest, że z tego źródła pochodzi cały świat.

Źródło jest polem metafizycznym (MUSISZ W NIE UWIERZYĆ, POCZUĆ), do którego wysyłasz swoje myśli. One są dźwiękiem, a więc drgają. Drżenie myśli wywołuje poruszenie się pola (tak jakbyś wrzuciła kamień w wodę, na tafli tworzą się małe kręgi, robią się coraz większe i większe). Te małe wiry zahaczają o kręgi innych ludzkich myśli i nachodzą na siebie. Punkt stykowy tych kręgów to załamanie pola, czyli energia, która do ciebie wraca w postaci zdarzeń, ludzi, myśli, harmonii i spokoju. Jeżeli jesteś stale zła, zestresowana, napięta, to właśnie takie same emocje otrzymujesz od innych ludzi. Nakładają się one na twoje i proces nieświadomego sprowadzenia na siebie cierpienia się pogłębia. Jeżeli wysyłasz do świata dobre myśli – działa to podobnie. Kiedy w chwili spokoju poczujesz tę „lukę między myślami”, możesz wysłać do świata swoją intencję, na przykład: „Chcę się pozbyć Władka, chcę naprawić swoje małżeństwo, chcę, żeby Marysia była zdrowa”, i tym podobne. Ta intencja zostanie wysłana do wszechświata, nałoży się swoim „kręgiem” na czyjąś „intencję uzdrawiania” i wróci do ciebie gotowe rozwiązanie. To jest bardzo proste. Tylko trzeba w to uwierzyć i poczekać. Czy to wydaje ci się trochę podobne do modlitwy?

– Tak, zdecydowanie, jeżeli ktoś się codziennie modli w jakiejś intencji to wysyła swoją prośbę do tego Źródła i się z czymś tam zająbia, tak? O to chodziło?

– No właśnie! – Szeptucha aż klasnęła w dłonie uradowana, że cokolwiek zrozumiała. – Dla tych, którzy nie wierzą w istnienie Boga, może być i fizyka kwantowa. Cała ludzkość pochodzi z tego samego źródła, tylko inaczej odczytujemy znaki z rzeczywistości, jesteśmy wychowywani w innych kulturach. Miłość i dobro zawsze są jednakowe i czyste. Dobre myśli to dobra aura i życie. Jaśminko, ja się modłę, a ty możesz sobie tak medytować, spróbuj, uwierz w to. Zobacz, co do ciebie przyjdzie

w momencie „luki”, może jakieś obrazy z dzieciństwa? Może zobaczysz tam swojego duchowego przewodnika? Wysyłaj tylko dobre myśli, bo złe do ciebie powrócą.

Skąd ona to wszystko wie? Nie mogłam oderwać wzroku od szeptuchy. Włączyłam Internet w telefonie i zaczęłam sprawdzać to, co mówiła. Rzeczywiście było na ten temat bardzo dużo opracowań: *Fizyka kwantowa a realizacja marzeń*, *Kwantowa teoria pola*, *Zdrowie przez transformację*, *Rosyjska medycyna wibracyjna*, *Zunifikowane pole* i tak dalej. Te teorie nie wyglądały jak poglądy sekty, były poparte naukowymi dowodami. Pionierami tej metody w Polsce, nazywanej „dwupunktem” okazali się Katarzyna Świstelnicza i Piotr Kaliński\*\*\*. Na różnych portalach ludzie „dwupunktujący” pisali, że tą metodą można się nawet uzdrowić. Czy to możliwe? Tylko dlaczego tak trudno w to uwierzyć? Zastanawiało mnie, skąd ona zna te teorie? Nie mogłam się powstrzymać od zadania jeszcze jednego pytania:

– Babuszeko, ale skąd ty wiesz o tym wszystkim? Przecież nie ukończyłaś żadnych szkół, wojna ci na to nie pozwoliła, zresztą za twoich czasów chyba nikt nie uczył fizyki kwantowej? Z Internetu też chyba raczej nie korzystasz? – Nie mogłam wyjść ze zdumienia.

– Oj dziecko, dziecko, czy ty myślisz, że tylko Internet jest źródłem wiedzy? My tu, na Podlasiu, mamy wielu bioenergoterapeutów, oni dużo wiedzą na ten temat. Ja uzdrawiam modlitwą i ziołami, a oni energią. Wiesz, czasami mi się wydaje, że ty taka światła kobieta, mniej się na życiu znasz niż ja! Z ludźmi więcej rozmawiaj! Każdy jeden będzie coś innego wiedział, to i radą ci usłużą i pomogą. Oj, Jaśka, Jaśka. Teraz to ty sprawę z tymi chłopami lepiej załatw, potem sobie poczytasz! Chodź tu do mnie.

Zaczęłyśmy obie podgrzewać, mieszać, wypełniać dziwną cieczą pojemniki. Szeptucha co chwilę pokazywała mi, czego i w jakiej ilości mam dosypać. Dziwne zapachy naszych ziół mieszały się z aromatem ciepłego barszczu, który przygotowywała dla nas Marzena. Śmiałyśmy się i rozmawiałyśmy o wszystkim i o niczym, podjadałyśmy przy tym ususzone na piecu jabłka. Ich delikatny i słodki miąższ rozpływał się w ustach. Idealna, zdrowa przekąska. Im dłużej schły, tym bardziej się ciągnęły podczas gryzienia. Jedne były lekko kwaskowate, inne zupełnie słodkie, pewnie skroiliśmy różne odmiany jabłek. Przez chwilę zapomniałam o swoich problemach. Było ciepło, rodzinie, smacznie i dobrze. Tylko delikatny puch za oknem przypominał o mrozie. Moje serce wypełniało się gorącą miłością, mogłabym nią roztopić najtwardszy lód, chłód uczuć Joachima. To ludzie sprawiają, że czujemy się dobrze, obecność innych oraz nasz stosunek do siebie.

Obserwowałam, jak te kobiety z dwóch pokoleń uzupełniały się swoją wiedzą i mądrością. Marzena, bezgranicznie zakochana w Podlasiu i swojej niesamowitej babuszce, oraz ONA – jak ostatni bastion ludowej mądrości. Mądrości zrodzonej z ziemi, pór roku i nieba, przekazywanej z pokolenia na pokolenie. Jej głos był starszy od kamieni i lasu, chropowaty od wiedzy i zdarzeń, które szczelnie przechowywała w swojej pamięci. Wierzę tej starej kobiecie, chcę jej wierzyć. To

właśnie dotknięcie jej dzikiej i starej natury daje mi siłę, poczucie bezpieczeństwa oraz przekonanie, że właśnie w ten prosty sposób trzeba żyć. Bez pośpiechu, jedynie z wyrozumiałością i wdzięcznością do wszystkiego, co nas spotyka, a co i tak przychodzi z góry, gdzieś spoza nas samych. Tych kilka zaledwie spotkań ciepłym prądem rozlało we mnie ufność we wszystko, co się wydarza.

Uspokoiliam się. Przebywanie z babuszką wyrównało przepływ myśli. Przecież nie mam wpływu na to, co robi Joachim. Boli mnie jego zachowanie, ale ja go nie zmienię. On musi chcieć zrobić coś ze swoim życiem, inaczej nas obie straci. Nie będę żyła w poczuciu winy, że może to ja zrobiłam coś nie tak. Odkąd poznałam wilczycę, jestem wierna sobie i jej.

Ciepło dnia spędzonego w izbie przepływało nam przez palce i dusze. Za oknem szybko zrobiło się ciemno. Marzena jak najlepsza gospodyni na blacie kuchennym wyrobiła sprężyste ciasto. Przesiała mąkę, dołała ciepłej wody, trochę soli i zagłębiła dłonie w mączny puch. Wyglądała, jakby ugniatała śnieg. Mąka przyprószyła jej lekko nos i włosy. Rozwałkowała masę i zaczęła wykrajać z niej kieliszkiem do wódki maleńkie kóleczka. Robiła kołduny białoruskie, podobno im mniejsze, tym większą chwałę przynosiły gospodyni. Maleńką srebrną łyżeczką wkładała do nich farsz ze zmielonej wołowiny i dużej ilości suszonego majeranku, do tego sól, pieprz. Misterna praca, wymagająca cierpliwości. Zapach rozchodził się po całym domu, a koty nerwowo kręciły się przy jej nogach. Od czasu do czasu dostawały również swoją porcję surowego mięsa. Smukłymi palcami sklejała niewielkie kuleczki i wkładała do nich jeszcze odrobinę zimnego masła. Podczas jedzenia z kołdunów będzie wypływała ciepła maź idealnie komponująca się z farszem. Istna rozkosz dla podniebienia. Gdzieś usłyszałam, że emocje dostajemy również na talerzu. To prawda. Marzena i jej babcia, obie takie spokojne, a pomiędzy nimi ja. Miałam wrażenie, jakby otaczały mnie jakimś niewidzialnym polem ochronnym. Delektowałam się widokiem krzątających się w kuchni kobiet.

Marzena przygotowała jeszcze placki z jabłek i ziemniaków. Nigdy wcześniej nie widziałam takiego dania. Ugotowała dziesięć ziemniaków w mundurkach, potem je obrała i przepuściła przez praskę. Dwie łyżki masła utarła z dwoma żółtkami. Dwie łyżki mąki wymieszała ze szczyptą sody i dwoma startymi na grubych oczkach tarki jabłkami. Na koniec wszystko razem zmieszała, dosoliła i delikatnie dodała ubite białko, mieszając w jednym kierunku. Uformowała płaskie placuszki, obtoczyła je w bułce tartej i usmażyła na maśle. Szeptucha podała do tego kwaśną śmietankę. Były przepyszne. Białoruska kuchnia jest bogata w ziemniaki, a bez śmietany na talerzu ani rusz!

Kiedy najadłyśmy się do syta i spokojne piłyśmy herbaciany napar, babuszka wstała i wygrzebała z gotującej się Władkowej mikstury niepotrzebne już wilcze flaki. Osuszyła je nad zlewem i wrzuciła do pieca. Nagle spod iskrzących drewnianych buchnął ogień! Równie szybko, jak się wzniósł, zaraz opadł, zatrzymawszy się tuż przy samych żeliwnych drzwiczkach pieca. Huk był jak z armaty. Szeptucha przestraszona upadła na podłogę. Chciałam jej pomóc wstać, ale tylko zgromiła mnie wzrokiem i dalej wpatrywała się w słupy falującego ognia. Widok zapierał dech. Pomarańczowe języki wyglądały, jakby igrały ze sobą, zaczęły gwałtownie układać się w dziwne pasy. Staruszka oparta kościstymi

dłońmi o drewnianą podłogę coraz mocniej wytrzeszczała oczy i starając się przeniknąć ogień, patrzyła. Marzena tylko machnęła ręką, żeby ją zostawić.

– Zostaw, ona coś widzi – wyszeptała.

Zaległa cisza, słychać było tylko wiatr wciskający się w szczeliny drzwi i okien. Wtem płomienie zakreśliły się wokół własnej osi, tworząc sypiącą iskrami spiralę, drewno w piecu strzeliło głośno, pomarańczowy płomień buchnął w powietrzu, pozostawiając po sobie smugę czarnego dymu, a żeliwne drzwiczki dwa razy trzasnęły z impetem, wyrzucając z wnętrza pieca gorący popiół. Posadzka była ciemna od sadzy i brudu. Niebezpieczne powietrzne płomienie zniknęły. Babuszka z trudem podniosła się i splunęła prosto w palenisko. Ogień zaświszczał, buchnęło jeszcze raz, ale jakby spokojniej. Staruszka, przenosząc wzrok na mnie, rzekła:

– Czerwonyj kur – powtórzyła to wyrażenie kilka razy, na jej twarzy rysował się niepokój. Usiadła przy stole, na którym piętrzyły się brudne talerze, i powiedziała: – Paląc wnętrzności zwierząt, zwłaszcza wilka albo koguta, można zobaczyć fragmenty przyszłości. Z języków uformowała się twarz mężczyzny, to był twój mąż. Nigdy go nie widziałam, ale wiem, że to był on. Tam się coś dzieje. To widzenie było jak przepowiednia. Musisz wracać do domu, natychmiast! – Ostatnie zdanie prawie wykrzyczała mi prosto w twarz.

– Szeptucho, nie mam siły, minęły dwa dni, a już tyle się wydarzyło. Ledwo się uspokoiłam, a ty chcesz, żeby tam wracała? Muszę iść spać. Śnieg pada, to zupełnie bez sensu.

– Musisz tam jechać! Koniecznie jeszcze dziś! Jutro będzie za późno. Zaufaj mi.

– Ale po co? Mam jechać i go przeproszać? Zaraz sobie pomyśli, że sprawdzam, czy sprzątnął po sobie te wymiociny.

Chciało mi się płakać ze zmęczenia. Jedyne, o czym myślałam, to ciepły prysznic i czysta pościel. Szeptucha mówiła:

– Nie wiem, co tam się dzieje, musisz wrócić jeszcze dziś przed północą. Dam ci coś na wzmocnienie. Po tych kroplach nie zaśniesz. Jedź powoli. Musisz tam wrócić. – Powtarzała to jak mantrę.

Czułam się jak w transie, nie wiem, czemu posłuchałam szeptuchy. Czułam, że prowadzą mnie języki ognia. Poddałam się im. Szeptucha dała mi niewielką buteleczkę, która wyglądała jak po olejku do ciasta. W środku był orzeźwiający płyn o bardzo intensywnym zapachu. Gdy będę czuła zmęczenie, mam ją jedynie otwierać i wąchać zawartość. Szeptucha wyjawiała mi, że jest to wyciąg z akacji, morwy, jodły i świerku, ale co tak intensywnie kręciło w nozdrzach? Tego nie chciała zdradzić. Wzięłam swoją torebkę z wilczymi kłami, dziwną buteleczkę i wyszłam. Podwórce było zalane ciemnością, w powietrzu czuć było zapach nadchodzącej mroźnej nocy i koni z pobliskiej stadniny. Niebo było całkowicie czyste, prawie przezroczyste, wszędzie usiane gwiazdami. Migotały i mówiły do mnie: „Jedź, będziemy oświetlać ci drogę!”. Ostrożnie powąchałam zawartość buteleczki, wsiałam

do samochodu i pojechałam. Śnieg padał teraz mniej intensywnie, wiatr zwiewał z dróg pierwsze zaspę. Coś prowadziło mnie do Wałpusza.

Zaparkowałam w niewielkiej odległości od domu, nie chciałam, nikogo obudzić. Psy mogłyby zacząć szczekać. Było już po jedenastej, w oknach było ciemno. Włożyłam klucz do zamka, ale zupełnie niepotrzebnie, były otwarte. Jakoś mnie to nie zdziwiło, Joachim zawsze zapominał zamykać. W przedpokoju było czysto, świeciłam sobie telefonem. Co ja tu robię, do cholery?! Włamuję się do własnego domu? Przecież to jakieś nieporozumienie! Kiedy już chciałam zapalić światło, potknęłam się o jakieś buty i spojrzałam pod nogi. To były damskie kozaki niedbale rzucone, ale nie moje... Czarne, porządne, skórzane, na wysokim, ciężkim obcasie, zamek kończył się tuż przed kolanem. W jednej chwili zrobiło mi się gorąco, dolna szczęka zaczęła się trząść. Najciszej, jak tylko potrafiłam, zdjęłam okrycie i weszłam w głąb ciemnego mieszkania. Wiedzioną dziwnym przecuciem, na nogach jak z waty i z przyspieszonym oddechem, delikatnie stąpałam po schodach. Wiedziałam, w którym miejscu stanąć, żeby nie skrzypiały, znałam ten dom na wylot, jak własną kieszeń. Na szczęście drzwi od naszej sypialni były niedawno naoliwione. Wchodząc do pokoju, czułam nadal smród alkoholu i jakieś dziwne, ciężkie zapachy, jakby olejki z nasion drzew iglastych. A może byłam zbyt wyczulona? Para wodna najprawdopodobniej skraplała się na szybach, powietrze w pokoju było ciężkie i wilgotne. Nagle potknęłam się o jakąś dużą torbę. Było tak ciemno, że niczego nie widziałam. Słyszałam tylko głęboki senny oddech Joachima. Zapaliłam lampkę stojącą w kącie pokoju, odwróciłam się w stronę łóżka i... przeszył mnie ból silniejszy niż wiara w upadające małżeństwo. Chciałam podejść bliżej i krzyknąć, ale nie byłam w stanie wydać dźwięku ani się poruszyć. Z osłupieniem wpatrując się w łóżko, nagle oprzytomniałam i poczułam w sobie tyle energii, nie musiałam już wąchać żadnych szeptuszych mikstur. Zdażyłam jedynie ledwo słyszalnie pisnąć: „Joachim!”.

W moim małżeńskim łóżku leżał mąż. Nie miał na sobie koszulki, od pępka w dół był niedbale przykryty zmiętą kołdrą, obok niego spała w skąnym podkoszulku piękna kobieta. Jej długie kruczoczarne włosy opadały na moje poduszki i jej alabastrowe ramiona. Miała dużo większy biust niż ja i wydatne czerwone usta, wyglądała jak modelka i na pewno była młodsza ode mnie, a może nabotksowana? Miała zadbane ręce. Paznokcie pomalowane na jaskraworóżowy fluorescencyjny kolor odbijały się dziwnym blaskiem na kołdrze. Taka wymuskana królowa. U nas na tego typu kobiety mówi się obraźliwie „blachary”, czyli takie, dla których kryterium doboru partnera jest jego samochód. Najczęściej takie dziewczyny mają mocny makijaż, długie włosy, zgrabne ciało, mnóstwo biżuterii i pusto w głowie. W środowisku Joachima było kilka takich, ale to nie była żadna z nich. Poza tym Jasiek zawsze miał dość sceptyczne nastawienie do tego typu kobiet, ale jak widać jego stosunek diametralnie się zmienił.

Im dłużej na nich patrzyłam, tym mocniej zaciskała mi się ma szyi niewidzialna pętla i z trudem łapałam oddech. To był gorszy widok niż wymioty pijanego Joachima. Jakaś trucizna wlewała się do

mojego serca, czułam, jak zaczyna rozlewać się po każdym zakamarku ciała. Ten widok mnie zabijał. Umysł postanowił natychmiast wybiec z tego śmierdzącego pokoju, ale organizm odmawiał posłuszeństwa. Nie mogłam się ruszyć. Stałam i w osłupieniu patrzyłam, migały mi przed oczami sceny z naszego wspólnego życia: zakochanie, ślub, poród, remont domu, wspólne gotowanie. Obraz zmieniał się klatka po klatce aż do teraz. Kiedyś nasz związek był taki doskonały, byliśmy dopasowani pod każdym względem. Lata mijały i zupełnie nie wiedzieć czemu każdego dnia okazywało się, że jest coraz więcej maleńkich szczegółów, które uwierały jak kamień w bucie. Uzbierało się ich tyle, że uciskały duszę. A dziś wszystko pękło. Nie miałam w sobie łez, nie zastanawiałam się, czy to się stało przez moje zachowanie. Była tylko wewnętrzna wściekłość, że leżeli w moim łóżku i w moim domu! Nie było we mnie miłości, miałam ochotę go zrzucić na podłogę i skopać. Zacisnęłam pięści, w jednej chwili pozbyłam się wszystkich wyrzutów sumienia w związku z moim romanssem, ale naraz przyszło kolejne zdziwienie. Przecież ja zrobiłam... to samo...?

Kiedy pierwsza fala szoku i niedowierzania minęła, okiem śledczego jeszcze raz rozejrzałam się po pokoju. Teraz zauważyłam zebrane w jednym miejscu olejki eteryczne, gąbki, ręczniki i jakieś metalowe urządzenia. Ta kobieta przecież musiała być fizjoterapeutką, która miała się dziś pojawić w naszym domu! To niemożliwe! Ze zdziwienia znowu tylko westchnęłam „Joachim”, gdy wtem jego oczy otworzyły się.

– Jak mogłeś, gnoju?! – rzuciłam przez zaciśnięte zęby.

Joachim zupełnie nie wiedział, o co chodzi. Patrzył na mnie, przecierając oczy. Znowu był cały spuchnięty. Podnosił się, zdezorientowany odsunął rękę od leżącej obok niego kobiety, patrząc to na mnie, to na nią. Głowa mu się ruszała jak plastikowym pieskiem stawianym w samochodach.

– Jaśmina! Ale ja, ja... to nie tak, jak myślisz! O Boże... nie wiem. Boże, moja głowa, Jaśmina, zaczekaj!

Nie mogłam na niego patrzeć, nie mogłam patrzeć, jak kolejny raz upodlił się przede mną alkoholem i smrodem. Nie mogłam patrzeć na tę piękną żonę, która w ogóle nie była podobna do mnie. Ciekawe, czy mu smakowała? Ale z takim śmierdzącym oprychem? Cóż to za przyjemność? Zbiegałam szybko ze schodów, nie mogąc ścierpieć widoku bałaganu. Nie było mnie tylko przez pół dnia! Joachim zerwał się, zbiegł za mną ze schodów, wykrzykując moje imię. Chciałam jak najszybciej znaleźć się w samochodzie, podmuch mroźnej nocy uderzył mnie w twarz, po drodze wypadł mi telefon. Chciałam po niego wrócić, ale kątem oka zobaczyłam prawie nagiego Joachima, poza tym było tak ciemno, że pewnie szybko bym nie znalazła zguby. Bez chwili namysłu ruszyłam przed siebie.

Ręce mi się trzęsły, nie mogłam włożyć kluczyka do stacyjki. Próbowałam kilkakrotnie, aż w końcu się udało. Jednak nie wcisnęłam sprzęgła i samochód zgasł. Zablokowałam wszystkie drzwi,



na wypadek gdyby Joachim tu dobiegł. Czułam przeraźliwe zimno, przesywało mnie od środka, skostniałe ręce i nogi błagały o ciepłe pomieszczenie. Nogi na pedałach również się trzęsły, nie mogłam opanować tych drgawek. Przybliżyłam fotel do kierownicy i ruszyłam. Jechałam na oślep. Śnieg coraz mocniej zaczynał oblepiać przednią szybę, próbowałam włączyć wycieraczki, ale przymarzły. Nic nie widziałam, chciałam stąd jak najszybciej uciec, gdziekolwiek. Wiatr stawał się coraz silniejszy. Dopiero po chwili zauważyłam, że jechałam bez świateł, było jasno od księżycowej pełni. Bałam się. I co ja teraz zrobię? Zupełnie nieświadomie coraz mocniej naciskałam pedał gazu. Zamiast ogrzewania włączyłam klimatyzację, zupełnie nie wiedziałam, co robię. Dopiero po chwili się zorientowałam. Przed oczami pojawiły się czarne plamki, powoli uchodziła ze mnie energia, głowa pulsowała z nadmiaru emocji. Wiatr popychał samochód do przodu, jechałam jeszcze szybciej. Podmuchy szarpały skraj lasu, drzewa ugiwały się pod naporem opadów śniegu. Nagle wszystko zniknęło. Cały strach i zimno przerodziły się w ciepłe milczenie i ciszę.

---

\* O historii kart można przeczytać w książce *Zwilczona*.

\*\* Używany dawniej bardzo popularny piec kuchenny.

\*\*\* Więcej na ten temat można przeczytać na stronie [www.dwupunkt.com](http://www.dwupunkt.com).

# Nie ma przypadków, są tylko leśne drogi

– Halo! Proszę pani! Słyszysz mnie? Halo!

Jakieś dziwne dźwięki wibrowały w mojej głowie. Obok słyszałam czyjś donośny głos. Niezwykle szorstkie i duże ręce trzymały moją twarz w uścisku. Te same dłonie co chwila uderzały w policzki. Nagle poczułam lodowatą ciecz na twarzy, ktoś nacierał moje policzki śniegiem. Z trudem otwierałam oczy, głowa strasznie mnie bolała, z mroku wyłaniała się przede mną twarz mężczyzny. Wydawało mi się, że skądś go znam, już gdzieś widziałam te czarne, jakby osmolone oczy.

– Joachim?! Joachim?! Ty gnoju... – wybełkotałam, powoli odzyskując świadomość.

– Proszę pani, tu leśnictwo Wykno! Nie Joachim. Leśniczy Bojan! Kto to jest Joachim, proszę pani? Proszę cały czas do mnie mówić. Pamiętasz, co się stało?

Już zupełnie wyraźnie zobaczyłam nad sobą twarz nieogolonego mężczyzny w czapce uszance. Na ramionach i rosyjskim nakryciu głowy miał już kilka warstw śniegu. Widać było, że dopiero co wyszedł z lasu. Zobaczyłam dookoła puchatą biel. Była dosłownie wszędzie. Na drzewach, w samochodzie, płatki fruwały coraz mocniej w powietrzu. Dopiero po chwili skojarzyłam fakty. Wpadłam w poślizg i wjeżdżając do rowu, uderzyłam głową o kierownicę. Chciałam wyjść z samochodu, ale plecy i nogi bolały niemiłosiernie.

– I jak się pani czuje? Śniegu coraz więcej, zimna noc. Mogę wyciągnąć i odholować do domu, gdzieś tu pani mieszka, prawda? A może od razu do szpitala?

– Tak, ale ja nie mogę do domu. Nie mogę tam wrócić. Nic mi nie jest, bardzo panu dziękuję, zaraz się podniosę. Już mi przechodzi.

Zaciągnęłam kaptur na głowę. Lekko rozciąłam sobie łuk brwiowy. Ręce i kurtkę miałam ubrudzone krwią. Po kilku minutach obeszlśmy samochód. Miał tylko wgniecioną z boku maskę. Całe szczęście, że zatrzymałam się w rowie, a nie na drzewie. Silnik był sprawny, trzeba było działać, zanim nas zasypie całkowicie. Mężczyzna wyciągnął ze swojej terenówki linę holowniczą, a ja stałam jak słup soli i patrzyłam. Miałam wrażenie, że skądś go znam. Te ruchy ciała, mocny i twardy chód. Śnieg oblepił mnie całą. Przy każdym głębszym wdechu zamarzały włoski w nosie, policzki szczypały, jakby ktoś niewidzialny skubał moją twarz. I naraz przestało wiać. Śnieżna szata szczelnie

przykryła świat. Przede mną widniało białe pole, rozświetlone jedynie blaskiem księżyca, a za mną ciemny, śpiący las. Zrobiło się szaro i cicho, tylko gdzieś drzewa skrzypiały od mrozu. A może raczej szukały schronienia przed tym metalicznym uściskiem?

Mój świat odwrócił się do góry nogami, nie rozpościerał się w żadnym kierunku, ani na wschód, ani na zachód, nigdzie. Lepkie i wstrętne myśli czepiały się i przychodziły nieproszone. Po co to zrobił, dlaczego, co teraz będzie, co z dzieckiem? Znowu mocniej bije mi serce. Mam wrażenie, że zaraz wyskoczy. Chwytam garść śniegu i przykładam go sobie do karku. Jest mi za ciepło. Białe pyłki zimowe koronki na kosmykach włosów. Widzę, jak srebrzy się pukiel wystający spod kaptura. Łzy chowane pod skórą zaczynają same wypływać. Nie nadążam ich wycierać, niektóre zamarzają na policzkach. Kulę się w sobie, zasłaniam twarz rękoma, wyciągam chusteczki, nie chcę, żeby jakiś obcy facet widział, że płaczę. Mam nadzieję, że nie zauważy. Na pewno pomyśli, że mam katar.

– Widzę, że jakiś większy problem? Co? – Gorzki głos leśnego człowieka wyrzywa mnie z odrętwienia. – Słuchaj, jest późno i strasznie zimno. Jestem cholernie zmęczony. Jak chcesz, możesz dziś zatrzymać się u mnie. Niedaleko stąd mam leśniczówkę i kilka wolnych pokoi. A jak nie chcesz, to cię odholuję do Szczytna.

– Nie chcę robić panu kłopotu, naprawdę. – Szukam w kieszeniach kolejnych chusteczek i zastanawiam się, co ja zrobię w tym Szczytnie. Przenocuję w hotelu? A jak będzie mnie szukał Joachim, to na pewno do któregoś zajdzie. Przecież je wszystkie można policzyć na palcach jednej ręki. Nie chcę z nim rozmawiać. Samochodu też nie naprawię w tym mieście. W każdym warsztacie Joachim ma kolegów. Na pewno go poinformują. Do pracy też jutro nie pójdę. Nie jestem przygotowana, a on na pewno pojawi się w szkole. Zadzwonię rano do dyrektorki i powiem, że jestem chora, coś wymyślę. Wszystko mi jedno, gdzie będę, byle jak najdalej od Joachima. Nie mam siły na szukanie alternatywnych rozwiązań, przecież mnie tam nie zadźga nożem w tej leśniczówce. Szybko analizuję sytuację, zanim ten człowiek się rozmyśli.

– Yyyy, wie pan, tak naprawdę to chętnie skorzystam z propozycji. Jutro się zajmę samochodem.

– Bojan – rzucił w przestrzeń, podając mi kluczyki od samochodu.

– Nie rozumiem?

– Mam na imię Bojan. Mówmy sobie po imieniu. A teraz wsiadaj do auta, bo niedługo w ogóle stąd nie ruszymy.

– Bojan? To prawdziwe imię? Chyba jest taka nazwa piwa. – Nagle stałam się bardzo bezpośrednia. Jakbym znała tego człowieka od lat.

– A Lecha kiedyś piłaś? – Spojrzał na mnie z lekką dezaprobatą.

– Oczywiście, że tak. – Zaśmiałam się z lekkim zażenowaniem. Po co w ogóle zadałam takie infantylne pytanie. Tak jakby moje imię było bardzo popularne i nikogo nie zaskakiwało.

– Jaśmina — kontynuowałam prezentację.

– Co Jaśmina? – Lekko zmieszany stał przy drzwiach swojej zielonej terenówki.

– No nie jestem chyba gorsza prawda? Na chrzcie mi dali Jaśmina.

– Aaaaach! – Roześmiał się w głos, aż echo odbiło się od ściany lasu.

– No to jesteście kwita. Jeden do jednego. Wsiadaj. Będę jechał powoli. Gdyby coś się działo, jakiś poślizg, to użyj klaksonu.

– OK. Przepraszam, że zadam takie głupie pytanie, ale czy my się już gdzieś spotkaliśmy? Skąd wiesz, że gdzieś tu mieszkam? – Chciałam się upewnić.

– Po rejestracji, kobieto... – Z lekką dezaprobatą dał mi do zrozumienia, że kolejny raz zadałam pytanie jak przysłowiowa blondynka. – ...i po jelonku – dokończył.

– Jakim jelonku? – Nic nie rozumiałam.

– Takim, co mieszka w lesie i letnim popołudniem hasa po polach. W sierpniu jak wracałem z Olsztyna, to pomogłem tobie i twojemu mężowi. Jeleń chciał was zaatakować\*.

– Ach tak! Darek nie jest moim mężem! A miałam takie przeczucie, że już kiedyś się spotkaliśmy, nie myliłam się! – Coraz bardziej utwierdzałam się w przekonaniu, że nie ma czego się bać. – I co z tym jelonkiem się stało? – Szczękając zębami, przypominałam sobie całą historię.

– Opowiem ci, jak będziemy na miejscu. Wsiadaj do auta, kobieto... i zapal krótkie światła.

Dookoła było ciemno jak w psiej budzie. Śnieg skrzypiał nam pod butami. Bojan wyciągnął latarkę i tak oświetlaliśmy krótką drogę z podjazdu do leśniczówki. Wzajemna nieufność zdążyła już dawno się rozplątać. A może w ogóle jej nie było? Był ode mnie starszy o jakieś dziesięć, a może i więcej lat, ale zupełnie tego nie czułam. Tej linii granicznej pomiędzy umownymi datami urodzenia. Im człowiek starszy, tym bardziej zacierają się progi życia. Przyciągają nas do siebie jedynie wspólne zdarzenia, a może coś więcej?

Leśniczówka okazała się domem z czerwonej cegły. Przedwojenne budownictwo z rustykalnymi, drewnianymi krokwiami. W środku pachniało drewnem, żywicą i trocinami. Panował bałagan, a na półkach zalegał od dawna niesprzątany kurz. Na ścianach wisiało około dwudziestu, a może i więcej poroży jeleni oraz kilka skór dzika. W niewielkiej przeszklonej witrynce wisiały dwie strzelby. Osłupiałam. Bojan zauważył moje zdziwienie, ale szybko skomentował, że każdy leśniczy jest też po trosze myśliwym, więc jeśli jestem wegetarianką, to nie będzie mi się dobrze spało w takim wystroju. Z mięsa całkowicie nie rezygnowałam, ale miał rację. Nie był to przyjemny widok. Wstawił wodę na herbatę i usiadł przy dużym drewnianym stole. Kroił duże plastry słoniny, zajadając się nimi jak ja serem. Częstował, ale nie chciałam spróbować. Patrzyłam na niego w lekkim zdumieniu. Krzątał się dosyć zwawo, przy każdym ruchu było widać, że ma bardzo silne ramiona. Był dobrze zbudowany, jakby całymi dniami przerzucał kloce drewna, ale zaledwie o głowę wyższy ode mnie. Pod ciemnymi włosami ściętymi nieco poniżej uszu, widniały delikatne zakola, znak upływającego czasu. Siwe już skronie dodawały powagi jego twarzy. Gdy się uśmiechał wokół oczu pojawiały się długie, szorstkie

zmarszczki. Ponad nosem rysowała się głęboka bruzda. Wyglądał trochę jak z cygańskiego taboru. Oczy jakby obrysowane czarną kredką. Gęste, czarne rzęsy na dolnej powiece potęgowały groźny wygląd. Brwi ciemne i mocno wygięte do góry niczym zakrzywiony orli dziób. Dziwny był. W co drugim zdaniu podkreślał moją płęć, mówiąc do mnie „kobietko”. Niby nie wypowiadał tego pejoratywnie, ale wyczuwałam w jego głosie pewne poirytowanie. Miał na sobie starą, zielono-czarną, flanelową koszulę, jak z lat osiemdziesiątych, i znoszone dżinsy. Wyglądał trochę niechlujnie, ale brodę miał starannie przystrzyżoną. Nie za długa, nie za krótka, idealna. Miał długie i masywne nogi, mięśnie ud wyznaczały mocną linię na spodniach. Nie był schorowanym starszym panem, prędzej nazwałabym go królem mazurskich lasów. Mógłby gołymi wielkimi rękoma powalić pień dębu. Na serdecznym palcu prawej dłoni nosił srebrny sygnet z czarnym oczkiem. Kiedy się nasycił słoniną, usiadł w fotelu pod oknem, nabił tytoniem starą fajkę i w oparach dymu pociągnął z butelki łyk żytniej wódki.

O dziwo, nie bałam się, wręcz przeciwnie, było to idealne miejsce, aby się schronić przed Joachimem. W małych miasteczkach człowiek jest całkowicie pozbawiony anonimowości. Wykno było położone w odpowiedniej odległości od Szczytna, tu nikt nie zobaczy mojego samochodu.

– Chcesz? – Machnął w moim kierunku butelką z alkoholem.

– Nie, dziękuję – odmówiłam z obrzydzeniem. Może w innych okolicznościach bym złagodziała tym trunkiem szalony pęd myśli, ale nie po tym, co zobaczyłam dzisiaj w moim domu.

Bojan pociągnął kolejny łyk i kontynuował, mówiąc sam do siebie:

– O, panienka się brzydzi, tylko herbatkę będzie piła. – Wypuścił kolejną chmurę dymu, tym razem w moim kierunku.

– Nie żadna panienka, tylko nie mam ochoty! Każdy musi pić? Nie! – Lekko podniosłam głos.

Bojan mówił dalej:

– Czyli obrzydzenie do alkoholu, znaczy się chłop narozrabiał, tak? – Wytrzeszczył oczy.

– A skąd możesz wiedzieć? Piłeś z nim? – Zdumiona jego wścibstwem, aż podniosłam się z wrażenia.

– Może piłem? – Niczym niewzruszony odpowiedział, czekając na moją reakcję.

Słyszając to, usiadłam. To nie możliwe, żeby jakiś leśniczy znał mojego męża. Przez chwilę zamarłam z wrażenia, ale od razu przypomniałam sobie początek naszej znajomości. Przecież myślał, że Darek, z którym okiełznałam rozwścieczonego jelonka, jest moim mężem.

– Nie podpuszczaj mnie. Nie mam ochoty się spowiadać. Dziękuję za pomoc, jestem twoją dłużniczką. Ciężki dzień jutro mnie czeka. Powiedz, proszę, gdzie mam się położyć.

Widział, że zrobiło mi się przykro. Delikatnie przeprosił, wskazał palcem pokój. Dał mi zwykły koc. On też spał pod takim, nie używał pościeli. W tym domu nie było widać kobiecej ręki, jedynie męską zgryzotę nad czymś utraconym. Wyczułam to od razu.

Wiatr hulał za oknem. Bojan położył się w dużym pokoju, łączącym korytarz z drzwiami wejściowymi. Słyszałam przez niedomknięte drzwi, jak rozpala ogień w kominku i dalej coś mamrocze do siebie. Przyłożyłam głowę do poduszki, a z oczu płynęły wolniutkim strumieniem łzy. Jak żarem paliły policzki w gorącym uścisku pytań. Przez cały czas ścisnęłam w dłoniach woreczek z wilczymi kłami. Miały odpędzać złe duchy. Gałęzie drzew co chwila uderzały o szybę, gdzieś w oddali usłyszałam długie wycie. To psy. To na pewno były bezpańskie psy. Co mam dalej robić? Zasnęłam na chwilę, chyba tylko po to, żeby zaraz się obudzić. Kręciłam się z boku na bok, myślałam, jak to dalej rozegrać. Łóżko było bardzo niewygodne, materac wgnieciony, u wezłowią wystawała niewielka sprężyna. Bardzo chciałam, żeby prawdziwy sen otulił mnie swoim bezpiecznym ramieniem. Żeby już nie musiała się z niego wybudzać. Myśli powinny odpoczywać tak samo jak człowiek, skumulowane płaczą się i motają między sobą. Czasami wmawiałam sobie, że to, co zobaczyłam w domu, było przywidzeniem, omamem. Dopiero kiedy otwierałam oczy i patrzyłam na ceglaste ściany pokoju, przypomiinałam sobie wszystko. W końcu przyszedł sen. Przyszedł tylko dlatego, że padłam z wycieńczenia.

Jeszcze z zamkniętymi oczami przyłożyłam rękę do skroni. Bolała mnie głowa, szczególnie miejsce, gdzie miałam rozciętą skórę. Powieki sklezione w półśnie nie chciały się otworzyć. W jednej chwili poczułam na dłoniach cuchnący śluz. Prawa ręka była całkowicie posklejana jakąś dziwną mazią. To moje? Przecież to niemożliwe, żebym się tak zaśliniła w nocy. Chciałam to jak najszybciej wytrzeć, w pokoju panował ciemny, zimowy poranek. Naraz poczułam się cała klejąca i brudna. W poszukiwaniu koca, w który chciałam się wytrzeć, natrafiłam dłonią na coś bardzo sztywnego i szorstkiego. Spojrzałam w kierunku tego czegoś i zobaczyłam dwoje przenikających mnie zielonych światełek. Wyglądały jak dwa unoszące się w powietrzu punkciki. Przerazona, poderwałam się, zakrywając się kocem, ale za plecami poczułam tylko zimną ścianę. Nie miałam gdzie uciekać. Serce waliło jak oszalałe. Patrzyliśmy teraz na siebie: ja i przerażające ono, w półmroku wyglądało jak gigantyczny pies. Powoli oczy przyzwyczajały się do ciemności, z której wyłaniał się olbrzymi tułów zwierzęcia z puszystym wachlarzem zamiatającym raz w lewo raz w prawo drewnianą podłogę. Jęzor niedbale zwisał z pyska. Stwór ciężko dyszał. Jedno sterczące ucho nasłuchiwało odgłosów odchodzącej nocy, drugie nieco mniejsze było chyba naderwane. Naraz przyszło mi do głowy, że to prawdziwy wilk zakradł się tu podczas naszego snu. Bzdury! Przecież żaden dziki wilk nie wszedłby do ludzkiego domu! To był pies! Ale jaki ogromny! Jak on tu wszedł? Był wielki i wychudzony, świadczyły o tym wystające kości żebrowe. Bałam się poruszyć, a on wbijał we mnie wzrok, miałam wrażenie, że skanuje każdy mój ruch. Nie ma jak wstać, nie ma jak się ruszyć. Trwaliśmy tak na styku nocy i dnia, zawieszeni w międzyczasie porannych oddechów. Modliłam się, żeby mnie nie zaatakował, a on być może chciał zrobić sobie śniadanie? Chciałam iść do toalety, ale nie miałam odwagi się poruszyć. Pełny pęcherz dawał o sobie znać coraz mocniej, a pies jakby skamieniał, poruszał tylko żrenicami, pilnując każdego mojego ruchu. Bezbłędnie wyczuł mój strach, podszedł

jeszcze bliżej, obwąchał posłanie i zaczął powarkiwać.

– Luna! Zostaw! – krzyk Bojana poruszył szyby w oknach.

Pies zerwał się na cztery łapy i natychmiast wybiegł z pokoju, stukając pazurami o podłogę. Wstałam przerażona, ale już wiedziałam, że tu jest jego pan.

Po toalecie zaczęłam się krzątać w nieswojej kuchni. Chciałam przygotować jakieś śniadanie, w końcu ten dziwny człowiek udzielił mi schronienia. Zaparzyłam zwietrzałej kawy, pokroiłam tłusty boczek, cebulę, roztrzepałam jajka, mocno posoliłam i popieprzyłam. Wyszła pachnąca jajecznica. Patelnia była osmolona i brudna. Trudno było ją wyczyścić zwykłą ściereczką. U Bojana nie było żadnych zmywaków, płynów do mycia, wszystko szorował proszkiem do prania, w związku z czym w jajecznicy gdzieś tam pojawiały się czarne odłamki sadzy z patelni.

Gdy tylko weszłam do jego pokoju, który wyglądał jak niedźwiedzi barłóg z porozrzucanymi wszędzie ubraniami i starymi zmiętymi gazetami, podniósł się zdziwiony i bez słowa „dziękuję” w samych slipkach usiadł do śniadania. Czułam się niezręcznie przy prawie nagim obcym mężczyźnie. Obserwowałam go ukradkiem i aż się zawstydyłam, bo jak na starszego pana miał silne i sprężyste ciało. Nie wyglądał na kulturystę, najprawdopodobniej mięśnie wyrzeźbiła ciężka fizyczna praca, dłonie miał szorstkie, paznokcie szare i brudne. Mięśnie ramion i na klatce piersiowej poruszały się przy każdym machnięciu widelcem. Owłosiony tors był prawie czarny. Brzuch miał lekko wypukły, niezbyt umięśniony, ale nie wylewały się z niego fałdki tłuszczu. Po prostu wyglądał jak potężny niedźwiedź.

– Jak ty sobie poradzisz, kobieto? Muszę zaraz jechać do nadleśnictwa w Korpelach. Nie pomogę ci dziś. Cały dzień w pracy – mówił z jedzeniem w ustach.

– Bojan, daj spokój. I tak wystarczająco mi pomogłeś. Samochód jest na chodzie, więc na pewno sobie poradzę. – Grzebiąc widelcem w jajecznicy, rozgarniałam ją na boki. Nie miałam ochoty na posiłek. – Weźmiesz ze sobą psa?

– Nie, ona musi zostać. Nic ci nie robi, nie bój się. To jest suka. Luna.

Zwierzę słysząc swoje imię, zerwało się z podłogi i położyło przy nogach leśniczego.

– Luna? Piękne imię... Czemu jest taka chuda? No i sprawia wrażenie agresywnej.

– To długa historia. Kilka miesięcy temu poszedłem na obchód do lasu. Latem noc przychodzi później, to długo chodziłem, na ile wzrok pozwalał. Miałem już wracać, ale usłyszałem ciche skomlenie. Na początku pomyślałem, że to kot, ale pisk przeradzał się raczej w psie pojękiwanie. Czasami znajdujemy wilki we wnykach, chociaż na Mazurach watah jest dużo mniej niż w Bieszczadach, ale zacząłem szukać i znalazłem. Luna miała prawie zmiażdżoną łapę. Gdy tylko bliżej do niej podchodziłem, ujadała i warczała. Musiała tam leżeć od kilku dni. Miała pianę na pysku. Im bardziej się szamotała, tym mocniej wnyki się zaciskały. Usiadłem w bezpiecznej odległości, trochę do niej mówiłem i zadzwoniłem po kolegów z nadleśnictwa. Przyjechali z lekarstwami

i środkiem nasennym. Najpierw ją uspiliśmy, inaczej nie dałoby rady jej pomóc. Potem wrzuciliśmy na samochód i zaczęło się leczenie w klinice weterynaryjnej, ale takiej dla dzikich zwierząt. Nie dla zwykłych domowych pupilków. Zamknęliśmy ją w dużej klatce, była bardzo agresywna, ale powoli dochodziła do siebie. Myśleliśmy, że nie przeżyje, była nieufna i całkowicie wyczerpana. Na początku chcieliśmy ją tylko postawić na nogi, ale potem, jak już wyzdrowiała, trzeba było coś z nią zrobić. Nie nadawała się do schroniska. Mogłaby zagryźć inne zwierzęta. Nie chciałem jej przywozić do leśniczówki, bo miałem... – Ugryzł się w język.

Wbił wzrok w ścianę i zamilkł. Nie wiedział, co zrobić z rękoma, podniósł stare gazety i wrzucił do ogniska, zapatrzył się w płomień. Przypomniało mu się coś, o czym nie chciał mówić. Nie ciągnęłam tematu dalej. Pozbierałam naczynia, wtedy dokończył.

– A potem mi ją kumpel przywiózł i zostawił w domu. No to co, miałem ją wyrzucić? I tak już została. Jest chuda, bo jakoś przytyć po tym całym zdarzeniu nie może. Mam już jej dosyć, bo cały czas mi ucieka. Ostatnio jej nie było przez tydzień. Wczoraj w nocy wróciła. Najpierw spuściłem jej łomot, w końcu musi wiedzieć, kto tu rządzi. A potem od razu schowała się w twoim pokoju. Mocniej bym ją zlał, ale nie chciałem ciebie budzić.

– Biłeś psa? – zapytałam z oburzeniem.

– Słuchaj, kobieto. To jest rasa husky, a one są takie trochę zwilczone, to jest pies wielu panów, gdzie ma pełną michę, tam mu dobrze. Jak chce zostać ze mną, to ma się słuchać. Ostatnio sąsiadom kurek zagryzła i jeszcze musiałem za to płacić! Te psy muszą mieć taką hierarchię w stadzie jak wilki. Jak coś robi źle, to dostaje upomnienie albo naganę, inaczej jej nie wychowam. Albo ona tu będzie rządziła, albo ja. Jak sobie z nią nie poradzę to ją wyrzucę albo oddam. Może jakiś Chińczyk zrobi z niej zupę. Chińskie budy z żarciem też są w Szczytnie.

Luna jakby zrozumiała. Zaczęła kulić się i szczekać. Jej głos nie był równy, raz piszczała, prosząc pana o wybaczenie, a już za chwilę warczała, jakby go chciała zagryźć.

– Bojan! Czyś ty zdurniał?! A co jej dajesz do jedzenia? Kawał słoniny? Jak będziesz ją lał, to ci nigdy nie zaufa! To jest jak z bitym dzieckiem, będzie się bało, a nie ufało! Weź jej czasem coś ugotuj i pogłaszcz! – Byłam oburzona.

– To nie jest dziecko! Nie porównuj jakiegoś durnego psa do dziecka, kobieto! To jest zwykły pies! – Bojan uderzył pięścią w stół. Krzyczał na mnie do tego stopnia, że poczułam jego ślinę na policzku. Zrobił się czerwony. Był wściekły. Jeszcze przed chwilą normalnie jadł śniadanie, a teraz mało nie skoczył mi do gardła. Spojrzał na swoje roztrzęsione ręce. Nie mógł powstrzymać zdenerwowania. Położył dłonie na kolanach.

– Sorry, kobieto, ale mnie wkurzyłaś. Nie mów mi, jak mam wychowywać psa! – W jednej sekundzie skapitulował.

– A ty na mnie nie pluj, człowieku! Śniadanie ci zrobiłam! Dałeś Lunie coś do jedzenia? To co się



dziwisz, że na ciebie warczy! – Wstałam, trzaskając krzesłem o podłogę.

Poszłam do kuchni. Zawołałam psa. Była spragniona i głodna, teraz ocierała się o moje nogi jak kot. W tym całym zamieszaniu nie zauważyłam, że rzeczywiście kuleje na tylną łapę. Bojan zniknął w sąsiednim pokoju.

Chciałam sprawdzić, która jest godzina, ale przecież nie miałam telefonu. Telewizora ani radia w tym mieszkaniu nie było. Przypomniałam sobie o laptopie. Przez cały czas leżał w samochodzie! Ciekawe, czy nie zamarzł! Na szczęście wszystko było w porządku. Miałam kilkanaście nieodczytanych wiadomości. Władek nadal mnie kochał i nie umiał beze mnie żyć, Joachim przeproszał i nakazywał wrócić do domu, grożąc, że wezwie policję i złoży doniesienie o porwaniu dziecka... Myślałam, że będzie się tłumaczył z powodu tej dziwnej sytuacji, ale tylko napisał: „Nie jest tak, jak myślisz. Do niczego nie doszło. Zadzwoń do mnie, musimy porozmawiać, znasz mój numer. Twój telefon jest w kuchni na stole”. Wydawnictwo oczekiwało chociaż jednego rozdziału mojej debiutanckiej książki. Złapałam się za głowę i załamalam. Bojan łaskawie pożyczył mi swój telefon. Zadzwołam do Marzeny i prosiłam o dalszą opiekę nad Marysią, wytłumaczyłam, co się stało, umówiłam się do lekarza, żeby załatwić na lewo zwolnienie. Po kilku nieprzespanych nocach, z raną nad brwiami, wyglądałam jak nieszczęście. Co tam nieszczęście! Wyglądałam, jakby mi mąż przywalił! Oko zaczęło sinieć, pewnie za kilka dni będzie się mieniło wszystkim kolorami tęczy.

Dałam Lunie resztki po śniadaniu, była wdzięczna, ale oczy miała jakieś smutne, a zarazem bystre. Kiedy Bojan wyszedł, zaczęła mnie pilnować. Siedziała pod drzwiami łazienki, kiedy brałam prysznic, potem leżała na środku pokoju i śledziła każdy mój ruch. Bojan opowiadał, że potrafi uciec mu przez opuszczoną szybę z jadącego samochodu i wrócić dopiero po czterech dniach. Po wymierzeniu srogiej kary pokorniej i kolejne dwa tygodnie „jest wierna jak pies...”. Gdy poczuje zew wolności znowu ucieka. Czasem przynosi do leśniczówki zwierzę w pysku. Chyba nikt nie jest w stanie określić stanu jej duszy, pewnie sama nie wie, czy przynależy do świata udomowionych czy dzikich zwierząt. Usiadłam przy niej, spojrzałam głęboko w psie oczy i zaczęłam ją głaskać. Była podobna do mnie, nie mogła znaleźć sobie miejsca ani w lesie, w którym panuje zupełnie inna hierarchia wartości, ani w niby ucywilizowanym społeczeństwie. Mieszkała na pograniczu tych dwóch ziemskich światów: ludzi i zwierząt. Niby miała swojego opiekuna, ale była samotna i przestraszona. Sama nie wiedziała, czego chce. Była trochę podobna do wilczycy, którą jakiś czas temu dokarmałam, tylko bardziej ludzka. Dobrze wiedziałam, że miałyśmy pod skórą i powiekami te same obrazy, jakbyśmy czuły podobnie. Z jakiegoś względu spotkałyśmy się tu w tej dziwnej chacie. Od pierwszego, wystraszonego spojrzenia poczułam do niej sympatię. Bałam się jej trochę, w końcu nie była tylko zwykłym psem. Miała w sobie smutek podobny do mojego, taki, który może udusić swoją rozpaczą i zatrzymać oddech na wieki. Zastanawiałam się, co widziała w lesie, do kogo wcześniej należała, gdzie się urodziła, kim byli jej psi rodzice, zanim trafiła we wnyki. Czy była szczęśliwa i tęskniła do poprzedniego życia, a może właśnie dopiero teraz ma dach nad głową? A może czuje, że coś

bezpovrotnie utraciła, tak jak ja?

Znowu miałam przed oczami scenę z wczorajszego wieczoru i zaczęłam płakać. Jest kilka rodzajów płaczu, dla mnie najważniejszy to ten, który oczyszcza. Moment, w którym jestem jak eter, chwila trwająca w tu i teraz, nadająca sens wszystkiemu, co we mnie i ze mnie. Kolejny rodzaj to łzy rozpaczy nad czymś, co odeszło. Nad znikającą wiarą, nadzieją, zaufaniem, nad czymś, czego nie mogę odbudować, a z czego stratą trzeba się pogodzić i żyć. To łzy smutku. Nie oczyszczają, tylko palą wewnątrz jak rozżarzone węgle. Schowałam głowę w dłonie i szlochałam. Musiałam dać ujście emocjom. Luna wstała i zaczęła chodzić wkoło mnie, obwąchując, czasem trącała mnie swoim wielkim nosem. Była zupełnie zdezorientowana, popiskiwała i nagle, jakby czując mój ból, zaczęła wyć. Jej głęboki głos przenikał mnie, aż poczułam gęsią skórę na całym ciele. Zaczynała od wysokich tonacji, kończąc niskim skowytom. Instynktownie wyczuła moje emocje. Stała obok i wyła.

Jeszcze kilka miesięcy temu żądałabym od Joachima wyjaśnienia całej sytuacji, a teraz? Pragnęłam jedynie spokoju i samotności. Nie miałam ochoty patrzeć na jego twarz ani go słuchać, chciałam być sama ze swoim smutkiem, pragnęłam stanąć z nim twarzą w twarz. Najlepszym lekarstwem na zranione serce jest słuchanie intuicji, czyli siebie.

Wtuliłam spuchniętą twarz w ciepłe ciało Luny. Teraz już tylko popiskiwała, pomrukiwała, jakby chciała opowiedzieć mi swoją historię. Psy to niestrudzeni wędrowcy. Są inne niż wilki, bo tęsknią i zapamiętują swoich panów, potrafią umrzeć, usychając z tęsknoty. A każdy wilk ma swój czas. Kiedy zgubi się młode, inne wilki szukają go, nawołują, węszą, ale nie trwa to całą wieczność. Przychodzi moment, kiedy wataha zaprzestaje poszukiwań i idzie dalej.

Istnieje wiele rodzajów czasu. Człowiek nieustannie żyje w pędzie wieloczasu, który spaja wszystkie zdarzenia w jedno. Ale gdy się mu przyjrzeć z bliska, można go podzielić na setki różnych. Istnieje bowiem czas fiołków i zielonej trawy, czas spokoju, czas burz i gradobici, czas przyprływu i odpływu, czas pojednania i rozłąki. Każdy czas jest nam potrzebny, tylko zamiast skupić się na wędrowce, człowiek chciałby szybko osiągnąć cel. Tak się nie da... każdy ma swój indywidualny czas. Dla mnie nadszedł teraz czas drogi i poszukiwań. Już wiem, kim jestem, bo odnalazłam swoją duchową matkę – wilczycę, już wiem, kim nie jestem. Nie umiem żyć, oszukując siebie, udając, że moja rodzina jest idealna, nie umiem godzić się na wszystko tylko dla świętego spokoju. Tłumione emocje kumulują się i zatrują organizm. Nie umiem nie mówić o tym. Muszę wyruszyć w drogę, mam przy sobie wilczą matkę, ona nigdy nie wyprowadziła mnie na manowce. Będę podążać za swoją intuicją, z dużą rezerwą do życia, a mniejszą do ludzi.

Kiedy już otrząsnęłam się ze snu, zimna i przygnębienia, pojechałam do Szczytna, żeby pozłatwić wszystkie sprawy. Dyrekcja nie patrzyła przychylnie na moje zwolnienie, ale nie mogłam zrobić nic innego. Już zawczasu nadmieniłam, że jestem w tak złej kondycji psychicznej i fizycznej, iż myślę o całorocznym urlopie. Dyrektorka nic nie powiedziała, tylko złowieszczo zmarszczyła czoło.

Szczerze powiedziawszy, mało mnie obchodziło, co o tym sądzi. Moje życie rozpadło się w ułamku sekundy. Nie wolno mi było zwariować jedynie ze względu na dziecko.

Zakupy robiłam w biegu. Kupiłam Bojanowi chleb, masło, szynkę i dodatkowo kilogram boczku, sobie kilka bluzek z przeceny i sweter z lumpeksu. Nie miałam już w czym chodzić. Bałam się, że gdzieś spotkam mojego męża. Samochód miał wgniecioną maskę, nie wyglądał dobrze, zresztą tak samo jak ja. Musiałam ochłonać, poukładać najpierw siebie, dopiero potem życie.

Leśniczówka tonęła w śniegu. Luna przeraźliwie drapała w drzwi. Wyszłam z nią na mały spacer. Miała stanowczo za krótką smycz. Przymocowałam do jej obroży linę, która wisiała w przedpokoju. Bojan nie wypuszczał jej luzem. Obawiał się, że znowu ucieknie. Skakała po śniegu jak dziecko, aż przyjemnie było na nią patrzeć. Co chwila zjadała śnieg i na żółto znaczyła teren. Była taka radosna, że z trudnością utrzymywałam pseudosmycz w rękach. Kiedy już odprawiłam to całe „psie gadanie” (bo ze zwierzętami też trzeba rozmawiać, tak jak z ludźmi), spakowałam się, zostawiłam klucz pod wycieraczką i spróbowałam odpalić samochód. Nie był mi straszny mróz, spieszyłam się do córki. Przekręciłam kluczyk trzeci raz i nic. Samochód ani drgnął. Spróbowałam kilka razy, a tu nic, śnieg zasypał mi przednią szybę, z ust wyrwało się: „Kurwa, kurwa, kurwa! To niemożliwe!”. Przecież przed chwilą byłam w mieście! Spróbowałam jeszcze kilka razy, ale wóz nie wydał ani jednego odgłosu. Choćby najcichszego rżężenia. Zaczęłam panicznie szukać telefonu, chciałam zadzwonić... ale... do kogo? Po pierwsze, nie miałam telefonu. Po drugie, pamiętałam tylko numer do męża. Znowu będę musiała czekać na tego buca! Byłam bezsilna i załamana. Oparłam dłonie na kierownicy i znowu zaczęłam płakać. Przecież to jakaś złośliwość losu! A to moje beczenie nic nie da. Muszę zaczekać na Bojana, może coś zaradzi.

Sprzątnęłam, ugotowałam zupę, napaliłam w kominku i pierwszy raz od niepamiętnych czasów zaparzyłam sobie herbatę, siadając z nią w chwili nicnierobienia. Spaliłam w kominku wszystkie stare gazety, którymi usłany był duży pokój. Zdziwiło mnie, że Bojan trzymał całe stosy jednego i tego samego numeru. Tych, które stały w kącie pod ścianą, nie ruszyłam. To były nasze regionalne tygodniki. Na okładce widniało zdjęcie jakiegoś wypadku samochodowego sprzed trzech lat. To nie moja sprawa, zamiotłam tylko podłogę.

Nie byłam w stanie skupić na niczym uwagi. To jest choroba cywilizacyjna, że człowiek nieustannie musi coś robić, załatwiać, martwić się. Nie mogłam tylko stać i patrzeć na padający śnieg. Włączyłam komputer i postanowiłam, że zacznę pisać. Nie miałam ani jednego rozdziału, wydawnictwo naciskało, a mi do głowy nie przychodził żaden pomysł.

Mijały godziny i nikt się nie zjawiał. Straciłam wszelką nadzieję, że w ogóle ktoś zawita do leśniczówki. Muldy śniegu za oknem stawały się coraz większe. Z nastaniem zmierzchu krajobraz za oknem zaczynał przypominać zamek ze śniegu. Drzewa, jakby obszyte koronką, wznosiły białe gałęzie do nieba jak zamkowe wieże. Śnieg zasypywał okna, podjazd, z trudem otwierałam drzwi,

chcąc wypuścić Lunę na smyczy. Dookoła leśniczówki nie było nic poza fortem lasów. Gdybym tu teraz zemdląca, chyba tylko Bojan znalazłby drogę do tego miejsca. Nie było mi wcale do śmiechu, ale postanowiłam wziąć się w garść. Wróciłam do pisania. Szło z wielkim trudem. Z wystukiwanych liter miał powstać romans, ale skąd wziąć romantyczne słowa w tak niekomfortowych warunkach? Po tych wszystkich przygodach z mężem i Władkiem nie miałam zbyt romansowego nastroju. Nie potrafiłam go wydobyć, nawet fantazując z zamkniętymi powiekami. Straciłam wszelką ochotę na miłosne igraszki. Wydawało mi się, że od problemów przybyło mi tylko lat na twarzy. Nie byłam w stanie nic wymyślić. Postanowiłam, że przygotuję konspekt tego, o czym chciałabym napisać, a z biegiem dni może coś ciekawego przyjdzie mi do głowy. Stukałam w klawiaturę, Luna położyła się przy moich nogach i trwałyśmy w tym nocnym milczeniu. Nagle otworzyły się z impetem drzwi, wiatr wtargnął do pomieszczenia, ze strachu trąciłam kubek z herbatą, wszystko wylało się na moje kolana. W drzwiach stał Bojan. Wyglądał jak rosyjski Dziadek Mróz. Wystające spod czapki kosmyki włosów bieleły się, podobnie jak zamrożone wąsy pod nosem. W ręku trzymał siekiere, a kozuch, w który był ubrany, miał rozerwaną kieszeń.

– Co ty tu jeszcze robisz! – krzyknął zaskoczony.

– Przepraszam. Samochód nie chciał ruszyć. Naprawdę nie siedziałabym tu, gdybym tylko mogła go odpalić. Myślałam, że mi pomożesz, ale tak sypie...

– Słuchaj, kobieto. Nie podoba mi się to. Mieszkasz niedaleko we wsi, a ukrywasz się, jakbyś kogoś zamordowała. Przecież masz tu znajomych, to ci przecież pomogą. Albo gadaj coś zrobiła, albo idź stąd, bo nie chcę mieć kłopotów. Moich mi wystarczy. – Rozejrzał się gniewnie po pomieszczeniu, dodając: – Nikt ci nie kazał tutaj sprzątać! Co zrobiłaś z tymi starymi gazetami?! – teraz już na mnie wrzeszczał. Wymachiwał przy tym siekiere, stanęłam przestraszona pod ścianą.

– Było brudno, to chciałam ci sprzątnąć. Tych gazet w rogu pokoju nie ruszyłam. Myślałam...

– Kobieto, nie myśl za mnie! Jesteś u mnie, więc się nie wpieprzaj! Spaliłaś je?! – Teraz już wszystko w nim wrzało. Luna stała przy mnie.

– Tak, spaliłam! Nie krzycz! Wyglądały jak śmieci, to je wyrzuciłam, przepraszam. – Miałam wyrzuty sumienia, chyba poruszyłam jakiś tajemniczy i niezamknięty rozdział w jego życiu. Nie powinnam. Ubrałam się i już chciałam wychodzić. Nie mogłam zostać tu po takim powitaniu. Przejdę las i jak nie zamarznię, to złapię stopa. Pojadę do domu.

– Gdzie leziesz, kobieto! Tu nie ma gdzie iść. Wracaj się i gadaj, coś zrobiła, albo sam cię wywalę w ten ciemny las.

W jego oczach odbijały się płomienie. Trzeba było dołożyć do kominka, ale bałam się ruszyć. Rozwścieczony Bojan podchodził coraz bliżej, Luna wyczuła moje zdenerwowanie i zaczęła na niego warczeć. Stała przede mną i już po kilku chwilach szczełała, jakby w mojej obronie. To było niesamowite!

– Durny pies! Nie gryzie się ręki, która karmi!

Chwycił miotłę stojącą obok kominka i zamachnął się kijem na psa. We mnie też coś jakby się załamało. Przecież tak nie można! Luna szczekała i skakała jak oszalała, ja darłam się na leśniczego. Złapałam go za przedramiona, szamotaliśmy się w tym dziwnym uścisku jakąś chwilę, aż Bojan znieruchomiał. W domu zaległa cisza... patrzył na swoje drżące ręce i na mnie. Osłupiały wypuścił miotłę z rąk.

– Ty jesteś chory, Bojan! Musisz się leczyć! Skąd w tobie tyle agresji?! Daj mi telefon, nie zostanę tu ani minuty! Co, mi też przyłożysz?! – Patrzyłam w jego oczy, mówiąc: – Boję się ciebie! Najlepiej zastrzel tego psa razem ze mną i zakop gdzieś za domem!

Bojan struchlał. Nic nie mówił, wyglądał, jakby przestraszył się sam siebie. Usiadł na krześle i milczał. Sięgnął po alkohol i znowu zaczął pić.

– Siadaj i mów, bo inaczej pójdziesz na ten ziąb.

Nie miałam już sił i byłam zrezygnowana, spieszyło mi się do dziecka. Opowiedziałam mu wszystko od początku do końca. Imię męża nie przechodziło mi przez gardło. Zaczęłam mówić o nim zupełnie bezosobowo. Potok słów zaczynał przypominać górski strumień, stawał się zimny i niebezpieczny. Płynęłam z nurtem, ze skamieniałym sercem. W końcu wyrzuciłam z siebie te emocje. Choć Bojan patrzył na mnie jak na wariatkę, to nie przerywał. Pociągnął kolejny łyk i odwrócił się do ściany, aż w końcu powiedział:

– Głupia jesteś, rób co chcesz, ale musisz z nim porozmawiać, może tam do niczego nie doszło. Widzisz te gazety pod ścianą? Trzy lata temu w wypadku samochodowym zginęła moja żona. Kilka godzin wcześniej pokłóciliśmy się, potem wsiadła do samochodu. Wcześniej wypijała dwa kieliszki nalewki. Uderzyła w jelenia, a potem w drzewo. Zanim podejmiesz jakąkolwiek decyzję, pogadaj z nim, żeby nie było za późno.

Zdębiałam. Nie wiedziałam, co mam powiedzieć, moje problemy były zupełnie błahe w porównaniu z jego historią. Musiał mieć ogromne wyrzuty sumienia. Nie zdążył się z nią pogodzić i jak widać, po tylu latach nie radził sobie z tym.

– Bojan, przepraszam, nie wiedziałam. Czyli te gazety, które spaliłam, to były artykuły o niej i sprawie sądowej dotyczącej wypadku?

– Tak. We krwi wykryto śladowe ilości alkoholu, ale cóż z tego, skoro jej nie ma.

Pogrążył się w myślach, a ja go cały czas przepraszałam. Skąd mogłam wiedzieć? Po chwili mi przerwał:

– Dobra, kobieto uspokój się. – Pociągnął kolejny łyk. Był już nieco wstawiony. Dobrze wiedziałam, jak można pogrążyć się w żalu i rozpacz, więc próbowałam go pocieszyć.

– Bojan, od tego zdarzenia minęło kilka lat. Psycholodzy już dawno udowodnili, że tak jak przebywanie wśród agresywnych ludzi powoduje narastającą agresję, tak samo przebywanie

w pomieszczeniu, w którym są przedmioty związane z przemocą, na przykład broń czy noże, może wywoływać niepokój. Wiesz, co chcę przez to powiedzieć?

– Że niby co? Mam to wszystko spalić? Myślisz, że takie zabobony na mnie działają? – Roześmiał się szyderczo.

– Bojan, wszyscy ludzie mają jednakowe potrzeby. Chcą być kochani i szanowani. Jeżeli spotykamy się ze śmiercią, tym bardziej kogoś bliskiego, i to w tragicznych okolicznościach, to trzeba szukać pomocy u innych. Sam sobie nie poradzisz. Nie masz takiej wiedzy. Jesteś agresywny przez alkohol i masz wyrzuty sumienia.

Uspokoił się, ale był bardzo smutny. Nie był pijany, lekko się chwiało to w lewo, to w prawo, kąciaki ust opadały, zamiast radośnie wznosić się ku niebu.

– Mówisz, żeby to spalić – powtarzał, drapiąc się po czole. Nagle wstał, wziął kilka gazet i stał z szeroko otwartymi oczami, patrząc w ogień.

Opowiedziałam mu, jak moja przyjaciółka Lena pali w ogniu niektóre swoje obrazy, które uznała za nieudane, oraz o teorii Mietka, który jako mały chłopiec spisywał na kartce przykre wydarzenia i rozstawał się z nimi podczas rytuału ognia. Bojan śmiał się ze mnie, mówił, że zachowuję się jak czarownica, ale przez kolejne godziny nie był w stanie rozstać się z gazetami. Nawet mi trochę naubliżał w swojej zuchwałości, ale już patrzyłam na niego zupełnie inaczej. On miał problem, a las i to pustkowie sprawiały, że tonął w tej ciemnej otchłani jeszcze bardziej. Podeszłam do niego, wyrwałam mu z rąk gazety i wrzuciłam do ognia. Płomień wzbił się w górę i coraz szybciej pochłaniał małe czarne małe litery. Leśniczy wziął kolejną partię makulatury i po chwili już sam dokładał do ognia. Luna jakby rozumiała, co się dzieje, chcąc pocieszyć pana, podeszła do niego, trącając jego wielkie, ciężkie dłonie swoim pyskiem. Bojan głaskał ją i mówił:

– A ty co? Też chcesz coś spalić? A może wódki chcesz? Skąd się tu wzięłaś?

Luna nie piszczała ani nie skomlała, po prostu usiadła przy nim. Nagle, wśród strzelającego płomieniami drewna usłyszeliśmy przeciągłe wycie. Luna natychmiast zerwała się na cztery łapy, podbiegła do drzwi wejściowych i drapiąc w nie, zaczęła swój psi koncert. Zachowywała się, jakby komuś odpowiadała. Z jednej strony dźwięk dochodził z lasu, z drugiej przeciągłe wycie zrozpaczonego psa. Występ Luny nie trwał długo, ale widać, że chciała wyjść. Skakała na drzwi i nie chciała od nich odejść.

– Nie mogę jej wypuścić, bo znowu może mi uciec – krótko skwitował leśniczy. Zauważając moją ciekawość i przerażenie w oczach, szybko wyjaśnił: – To wilki. Jest w naszej okolicy jedna wataha. Pewnie szukają swojego szczeniaka, dlatego tak często wyją. Znalazłem go tydzień temu ledwie żywego. Okazało się, że to była choroba odkleszczowa, mimo że przecież mamy zimę, ale ta cholera już krążyła w jego krwi. Musiał ich dużo nałapać latem. Odłączył się od grupy i tak się błakał coraz słabszy. Dobrze, że nie zamarznął. Dopóki go nie wyleczymy, nie możemy wypuścić, bo na tym śniegu,

nawet z pomocą wilczej rodziny sobie nie poradzi. Mam nadzieję, że jeszcze kilka dni będą go szukały. Musimy się spieszyć z leczeniem, bo wataha nie będzie czekała aż do wiosny. Kilka dni, tygodni, a potem ruszą dalej bez młodego. Wilki są mądrzejsze niż ludzie.

– Gdzie go trzymacie? – Byłam poruszona tą historią, a Bojan nabił fajkę i kontynuował swoją opowieść:

– Są takie specjalne boksy, jakby schroniska dla dzikich zwierząt, ale nasz wilczek jest zupełnie niegroźny, bo jest młody. Teraz trzymamy go w specjalnym pomieszczeniu w nadleśnictwie Korpele, ma tam swój boks na dworze. Mój kolega się nim opiekuje. Za kilka dni może wrócić do stada.

– Ale w jaki sposób macie zamiar to zrobić? Przecież wilki boją się ludzi, a młody na pewno będzie pachniał człowiekiem.

– Pewnie tak, ale wataha nie odrzuca swoich tylko dlatego, że pachną człowiekiem, to stereotyp. Rzeczywiście, niektóre zwierzęta tak robią, ale nie wilki. Wręcz przeciwnie. Jeśli zgubi się im młody, mogą podejść bardzo blisko ludzkich siedzib. Wąchają, nawołują, po prostu go szukają. Jak długo to robią, tego nikt nie wie. Jak go będziemy wypuszczać? Normalnie, pojedziemy do lasu, tam, gdzie dosyć często widziałem ich ślady, będziemy nawoływać, a kiedy wataha zacznie odpowiadać, to podejdziemy tak blisko, jak się da, wypuścimy małego i odjedziemy. Wtedy jest duża szansa, że się odnajdą.

– No, ale jak nawołujecie? Stoisz w lesie i tak po prostu wyjesz? – Nie mogłam wyjść z podziwu, całkiem przypadkowo trafiłam na człowieka, który tak jak ja widział prawdziwego wilka. Zaraz przez myśl mi przeszło, że ten szczeniak mógł być przecież potomkiem mojej szarej wilczycy!

– Normalnie, składam dłonie w trąbkę, żeby się lepiej niosło, i wyję. Im częściej próbuję, tym bardziej dźwięk przypomina ten prawdziwy.

– Uczył cię ktoś tego? One odpowiadają? Na pewno wiedzą, że to robi człowiek, a nie zwierzę.

Bojan roześmiał się, przyniósł sobie boczkę, usiadł przy stole z nożem i kontynuował:

– Oj kobieto, kobieto. A co ty myślisz, że na wycie to trzeba mieć jakiś certyfikat? Każdy, kto ma w domu zwierzę, nie mówię o chomikach, tylko takich bardziej rozumnych, na przykład kota czy psa, to rozmawia z nim i zapewniam cię, że zwierzę to rozumie. Odpowiadając na twoje pytanie: tak, wilki odpowiadają wyciem, nawet drocą się z ludźmi. Rok temu, jak byliśmy z innymi leśniczymi w Bieszczadach, to nawet wyprowadziły nas w pole, i to dosłownie. Wyliśmy, chcąc je zlokalizować, a one odpowiadały, ale nie z jednego miejsca, tylko otoczyły nas w promieniu kilkuset metrów i wyły na zmianę.

– To niemożliwe... wiesz, ja w te wakacje też widziałam prawdziwego wilka, właściwie wilczycę. Czasami podchodziła pod mój płot, który kończy się przy lesie. Zostawiałam jej tam jedzenie i...

Bojan przerwał mi w pół słowa.

– Słuchaj, nawet mi trudno jest zobaczyć wilka. Ludzkie spojrzenie im szkodzi. Dojrzeć w lesie

takie cudo to jest traf jeden na milion. One wysysają z mlekiem matki strach przed człowiekiem, bo były przecież przez lata zabijane, a tak naprawdę nie robiły zupełnie nic złego, to jest zwykły mit, że wilka należy się bać. Mój kumpel leśniczy i fotograf z zamiłowania opowiadał kiedyś, jak przypadkiem zobaczył watahę na drodze w lesie. Szybko zasłonił sobie twarz czapką, a że była cienka, to coś tam przez nią widział. I tak stał kilka sekund w sporej odległości. Kiedy powoli przygotowywał aparat, wystarczyło, że tylko uchylił trochę czapki, chcąc odsłonić oko, wilki od razu uciekły. One w mgnieniu oka rozpoznają ludzką twarz. To pewnie był jakiś pies, a nie wilk. – Jego wzrok stał się ironicznie obojętny, zupełnie jakby myślał, że kłamałam.

– Bojan, mówię ci, że to był wilk! Przecież wiem, jak wygląda pies! Mam nawet jej sierść w domu. A ten mały wilczek, przecież to może być jej szczeniak! – Leśniczy przestał pykać fajkę i z powagą spojrział w moim kierunku.

– Masz sierść? A odchody? Wilka łatwiej sprawdzić po odchodach. W sumie to możemy sprawdzić, czy to są kudły wilka, a jeśli to jest członek watahy naszego Lobo, bo tak go nazwaliśmy, to możesz się nam przydać.

– Tak, rzeczywiście, wilczą kupę zawsze noszę w torebce... – Nie chciałam już tego komentować. Skąd mam wiedzieć, jak się bada czy tropi wilki? – Mogę przywieźć sierść, tylko najpierw trzeba naprawić samochód.

Leśniczy zauważył, że ogarnęła mnie lekka panika, bo to oznaczałoby konfrontację z Joachimem, ale dla dobra mojej wilczycy pojedę tam. Im szybciej Lobo zacznie wąchać sierść ewentualnej matki, tym lepiej dla całego stada.

– Jutro rano spojrzę, co się stało z twoim wozem.

Nie musiał mówić nic więcej, dobrze wiedział, że to oznaczało spotkanie z Joachimem. Nie poruszył tego tematu, z drugiej strony co miałby powiedzieć? Że nic się nie stało? Wilcza tematyka towarzyszyła nam przez cały wieczór, a może raczej pół nocy. Okazało się, że to pasja Bojana. Prowadzi badania na ich temat głównie na obszarze Warmii i Mazur, dobrze zna ich zachowania. Z jego obserwacji wynikało, że wilki atakują psy domowe, podwórkowe, ale zdarza się to bardzo rzadko. Natomiast dziko wałęsających się psów w ogóle nie ruszają. Mogą je przegonić ze swojego terytorium, bo traktują takie zwierzę jak potencjalnego rywala, ale raczej nic mu nie robią. Może Luna dołączyła kiedyś do takiej watahy?

Dobrze nam się rozmawiało. Zaparzyłam zielonej herbaty, nie chciałam alkoholu. Bojan w co drugim zdaniu proponował kieliszek, ale nie miałam ochoty. Było mi to zupełnie niepotrzebne, wolałam rozgrzać się naparem. Uwielbiałam, kiedy ciepło rozlewało się w ciele. Opowiadając niesamowite historie z życia wilków, Bojan zapominał o swojej zmarłej żonie. Widać, że wilki są jego pasją, więc czemu nie chce w pełni zaakceptować Luny? Przecież ona również przyszła do niego z lasu. Miała w sobie wszystkie wilcze cechy: urodę, wolność, pazur, dzikość; może dlatego, że jest



suką? Przez cały czas leżała czujnie przy kominku. Jakies myśli nie pozwalały jej spać. Strzygła uszami, co rusz podnosiła głowę, sprawdzając, czy wszystko jest na swoim miejscu. Bojan o mały włos przewróciłby się na nią. Był już całkowicie pijany. Położył się z tym swoim smutnym i tajemniczym wyrazem twarzy na kanapie. Nawet nie zauważyłam, kiedy zasnął. Ściągnęłam mu buty i przykryłam kocem. Szkoda takiego fajnego faceta. Powinien iść do psychoterapeuty. Jak tak dalej pójdzie, to się zapije. Za mało go znam, żeby tłumaczyć, prosić. Sam musi sobie pomóc. Pewnie towarzystwo kolegów z nadleśnictwa sprzyja zakrapianym imprezom. Słyszałam różne opowieści o tym, jak alkoholem albo łapówkami przekupuje się nadleśniczych, żeby móc wywieźć drewno z lasu, jak łapie się ludzi prowadzących leśne bimbrownie albo pilnuje wycinki lasów i pilarzy.

W domu panował zaduch. Wyszłam na dwór, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza. Śnieg przestał sypać. Wśród zupełnie nieruchomych drzew panowała głucha cisza. Czasem słyhać było tylko krótkie trzaski gałęzi. Ta mroźna głusza, rozrywana jedynie moim ciepłym oddechem, mówiła, że tak ma być, że to wszystko ma jakiś głębszy cel. Wszędzie leżała gruba warstwa lekkiego śniegu. Księżyc na niebie skąpał drobne kryształki lodu w srebrnej poświacie, a sople uczone dachu wyglądały jak cukierki przygotowane do zawieszenia na choinkę. Na tę krótką chwilę świat stał się doskonale czysty. Przykrył puszystym kocem zmęczoną ziemię. Aż żał się było poruszyć, żeby nie zniszczyć tej śniegowej pościeli. Nie zdeptać jej, niech trwa w swym czystym skupieniu. Mazurska magia przybrała nową postać, zamieniła się w metaliczny blask śniegu. Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki świat przestał pędzić. Szukałam tej ciszy jak najdroższego skarbu. Nic nie zapowiadało, że moje życie zmieni diametralnie swój tor, że wpadnę do zupełnie innej rzeki i popłynę nieznanym nurtem zdarzeń. Podobno tylko zdechłe ryby płyną z prądem. W ciągu tego roku zrozumiałam, że pewnych rzeczy nie da się precyzyjnie zaplanować. Nie można wymyślić sobie planu na życie. Nie tęsknię do pytań, jakie może zadać świat, tęsknię do odpowiedzi. Chciałabym szybko dowiedzieć się, dlaczego to wszystko przydarza się właśnie mnie. A tu nie ma drogi na skróty. Nie mogę tak dużo sił marnować na lęk. Chciałabym ze spokojem przyjąć i zaakceptować to wszystko, co się wydarza. Tak jak wilki. Nie drażą bólu, prą cały czas do przodu, nie oglądając się za siebie. Żyją, jak umieją najlepiej.

---

\* O pierwszym spotkaniu leśniczego z Jaśminą można przeczytać w książce *Zwilczona*.

# Wschodnia pieśń przebudzenia

Poranek był słoneczny i mroźny. Na niebie nie było widać ani jednej chmury. Blask słońca odbijał się od śniegu do tego stopnia, że musiałam zasłonić okno. Do starych „żabek” uczepionych zardzewiałego karnisza przyczepiłam poźółkłe, kwieciste prześcieradło. Wyglądało, jakby od wieków leżało na krześle znajdującym się obok mojego łóżka. Bojan nie miał w domu zasłon, za to miał dużo pustych butelek po wódce. Brakowało talerzy i sztućców. Jak mu się nie chciało myć kubków, to pił czarną herbatę w słoiku po golonce. Kupował takie różne spożywcze dziwactwa. Na pewno nie miało to nic wspólnego ze zdrowym jedzeniem. Nie gotował prawie w ogóle. Luna żywiła się suchą psią karmą. Tak było mu najwygodniej.

Wystarczyło pół godziny, aby leśniczy doprowadził mój samochód do stanu używalności.

Kiedy zajechałam do swojego domu, psy szalały z radości, a Joachima nie było. Chociaż obawiałam się tej konfrontacji, to chyba już wolałabym mieć ją za sobą. W mieszkaniu panował niewyobrażalny bałagan, było zimno, tak jakby dawno nikt nie palił w piecu. Znowu zaczęłam się niepokoić, gdzie może być Joachim. Czy jeszcze nie wrócił z kolejnej imprezy, a może jest w warsztacie, czy raczej u tej czarnej zołzy? Nie mogłam poradzić sobie ze strachem i paniką, jaką wywoływało we mnie jego zachowanie. Przecież to nie są moje problemy. Ja nie chcę tak żyć, osaczona czyjąś zgniłą duszą. Mój piękny dom wyglądał jak wysypisko śmieci ze stertą brudnych ubrań. Nie mogłam na to patrzeć. Czy w każdym innym małżeństwie jest tak samo? Wystarczy, że kobieta zniknie na kilka dni, a w tym czasie nie ma komu zmywać ani prać? Czy tylko my jesteśmy od wykonywania tej brudnej roboty? Chciałam stamtąd jak najszybciej wyjść. Znowu narastała we mnie agresja. Byłam tak sfrustrowana, że zaczynałam się pocić, czułam, jak podkoszulek przykleja mi się do pleców. Byłam kłębkim nerwów i narastała we mnie wściekłość. A może to ja jestem nienormalna?

Szukałam swojego telefonu, ale nigdzie go nie było. Chciałam stąd jak najszybciej wyjść. Wzięłam kilka cieplejszych ubrań dla Marysi oraz medalion z sierścią wilczycy. Był piękny zimowy dzień, jednak nie umiałam się nim cieszyć. Choć według kalendarza był listopad, aura za oknem była iście grudniowa.

Wróciłam do leśniczówki i przekazałam Bojanowi moją ceną, dziką zdobycz. Wąchał ją, oglądał. Obiecał, że napisze do mnie mail z informacją, jak się czuje Lobo. Rozstaliśmy się w pokojowej atmosferze. Szkoda mi było jednak Luny. Dwie umęczone życiem istoty. Pies i jego pan. Suka nie wyglądała dobrze. Brakowało jej po prostu pieśczoć i miłości. Może kiedyś uda im się nawiązać lepszy kontakt. Chciałam w to wierzyć.

W drodze do babuszki w pierwszym lepszym sklepie z elektroniką kupiłam telefon. Droga była dobra i czas szybko mijał. Słońce dodawało mi energii. Już z oddali dostrzegłam słup dymu unoszącego się nad drewnianym domem babuszki. Kreślił wysoki, prosty ślad na niebieskim niebie. Pod samym sklepieniem chmur rozpraszał się i – delikatnie ulatując, znikał.

Śnieg trzeszczał pod butami i byłoby tak pięknie i czysto, gdyby nie powoli zakradająca się do mojego serca nienawiść. Irytowało mnie wszystko, co było związane z Joachimem. Marysia pytała o tatę, mówiła, że chce się z nim bawić, a ja kłamałam, że wyjechał i wróci za kilka dni. Nie potrafiłam poradzić sobie z ciężarem, jaki zaległ w mojej głowie. Gdzieś na dnie umysłu gromadziły się czarne scenariusze, coraz częściej marszczyłam czoło i nie mogłam znaleźć sobie miejsca w chałupie. Skąd we mnie tyle złości? Na dobrą sprawę przecież ja też go zdradziłam. Umawiałam się z obcym facetem, poszłam z nim do łóżka, dotykał mnie i całował. Wyrównaliśmy rachunki. Powinnam całkowicie odpuścić ten temat, wybaczyć i zacząć żyć, albo chociaż udawać, że nic się nie stało. Obrazki tamtej nocy przewijały się w zbolącej pamięci.

Szeptucha próbowała mi jakoś pomóc, parzyła zioła, paliła świece, ale ja ciągle nie mogłam odnaleźć spokoju. W nocy też sen nie przychodził. Kiedyś śniłam piękne sny, a teraz nie mogłam nawet zmrużyć oka. Było to bardzo męczące, nie mogłam zasnąć w dzień ani w nocy. Traciłam kontrolę nad swoim życiem, nie potrafiłam okiełznać emocji. Kiedy traciłam panowanie nad sobą, beształam Marysię za rozlaną herbatę, pokruszone ciastka, a potem zdając sobie sprawę z własnej głupoty, natychmiast ją przeproszałam. Czułam się podle we własnej skórze. Najgorsze, że prysznic nie pomagał. W chwilach najcięższych napadów babuszka wyrzucała mnie na dwór i kazała wychodzić bez kurtki na śnieg. Marysia wolała się bawić z Marzeną i szeptuchą, do mnie przychodziła tylko wtedy, kiedy przypominała sobie, że jestem jej mamą. Nie panowałam nad sobą. Chciałam ujarzmić tę rozwścieczoną wewnętrzną bestię, ale nie umiałam. Wymykała mi się jak dopiero co złapana, oślizgła ryba.

Szeptucha kolejny raz zapaliła nade mną len i próbowała wypędzić „kołtuna z duszy”, ale się nie udało. Szczytem pogłębiającej się rozpacz było uruchomienie nowego telefonu. Chciałam wpisać nowe kontakty, ale tak naprawdę znałam tylko numer Joachima, pediatry Marysi i do pracy. Nawet gdybym pamiętała o innych moich przyjaciółkach, to tak naprawdę z tym całym problemem zostałam całkowicie sama. Nie chciałam obciążać Zosi, miała dużo swoich kłopotów, Lena była wiecznie w rozjazdach. Nawet raz pojechałam do jej pracowni, przecież znajduje się niedaleko domu szeptuchy, ale była zamknięta. Żywej duszy w środku. I na cholere mi ten wynalazek cywilizacji! Doskonale

czułam, że muszę znaleźć złoty środek, panaceum na pokonanie wewnętrznej zgryzoty. Jak nie pomogę sobie sama, to nikt mi nie pomoże. Zaczynałam bać się o rzeczy, które jeszcze nie nadeszły, a były w zasięgu dni kalendarzowych. O to, jak spędzimy Wigilię w tym roku, kto ją przygotowuje, co zrobić z moją pracą (miałam jej dość, siebie miałam dość), a najbardziej martwiłam się o książkę, której nie byłam w stanie napisać. Wielokrotnie siadałam przed komputerem i nie miałam w głowie nic, co mogłoby przykuć uwagę czytelnika. Żadnych słów, pomysłów, pustka. Gryzłam się tym wszystkim, szukając rozwiązania moich problemów, aż pewnego wieczoru do pokoju weszła szeptucha:

– Na Świętą Górę Grabarkę pójdziesz, ale najpierw w ruczniku spać będziesz. Sama go dla ciebie zrobiłam. Mówimy na to ręcznik albo rucznik, niektóre mają długość nawet trzech metrów. Ten jest krótszy.

Babuszka podała mi dość obszerny kawałek jasnej szmatki. Była przepięknie haftowana. Na brzegach widniały kolorowe, zielono-czerwono-niebieskie geometryczne wzory. Do krótszych boków były misternie przyszyte kremowe frędzelki.

– Jest przepiękny, ale co ja mam z nim zrobić? – Zupełnie nie wiedziałam, po co mi go przyniosła.

– Rucznik\* w mojej kulturze był z nami od zawsze. Kiedy dziecko się rodziło, dostawało go od swojej rodziny jako rodzaj amuletu. Kiedy panna wychodziła za mąż czy choroby przychodziły, zawijało się rucznikiem i powierzało Panu Bogu troski. Owijało się nim również nasze święte ikony. Rucznik musiał być własnoręcznie wykonany przez którąś z babć czy ciotek. Wyszzywając go, kobiety ukrywały we wzorach specjalne prośby o łatwe i lekkie życie. Rucznik towarzyszył człowiekowi przez całe życie. Obwiązywano nim przydrożne i cmentarne krzyże, wkładało się go do trumny albo przekazywało z pokolenia na pokolenie. W stanie wojennym ruczniki znikły, ludzie bali się je wieszać w pokutiu\*\*. Ja mam swój ręcznik po babci, Marzena ma swój i będzie miała jeszcze ten po mnie. – Złożyła go na moich rękach, obdarzyła mnie tym swoim pełnym dobroci uśmiechem i wróciła do parzenia ziół.

Siedziałam w pokoju sama. Mój rucznik i ja. Oglądałam go z każdej strony, kładłam nowe spojrzenie na starą tajemnicę. Ile takich symboli związanych z jakąś kulturą nas otacza? Symboli, o których zapominamy, albo wstydząc się ich, specjalnie nie chcemy pamiętać. Jak mało wiedziałam o naszych tradycjach. Jak mało wiedziałam o sobie. Już wiedziałam, czego mi brakuje. Ciszy. Takiej, w której mogłabym porozmawiać ze swoją wilczycą. Przez cały czas coś się działo, Marysia piszczała, pracowałam, borykałam się z problemami, zużyłam całą swoją energię na ukrywanie romansu z Władkiem. Teraz jest mi potrzebny spokój. Może to zbyt egoistyczne podejście, ale ja sama chyba wiem, co jest dla mnie najlepsze. Przecież nikt nie może mi powiedzieć, czego ja tak naprawdę chcę. Tak jak ten rucznik wyszywany przez stare kobiety. One już wiedziały, czego nie udało im się osiągnąć, z ilu rzeczy musiały zrezygnować dla dobra rodziny czy historii, którą pisało za nie życie.

One nie były tak wolne jak ja. Starzy ludzie mieszkający na Podlasiu mówią, że jeszcze nigdy im się tak dobrze nie żyło. Że jeszcze nigdy rzeka Narewka nie była taka spokojna. Choć młodzi stąd wyjeżdżają, to starym jest tu o niebo lepiej niż w czasach okupacji. Boję się wojny. Czasami przed snem moja wyobraźnia miesza się z fikcją i myślę, jak by to było, gdybym urodziła się sześćdziesiąt lat temu. Przeżyłabym? Potem śnią mi się straszne obrazy, mam chyba nerwicę. Chorobę naszych czasów, w których pośpiech jest przypieczętowaniem odpowiedzialnego życia, a powolność, niestety – lenistwa. Ktoś wywraca nam to wszystko do góry nogami. Najczęściej do tego stanu doprowadzamy się sami. Muszę się wyciszyć, uspokoić i posłuchać siebie. Spotkać swoją prawdziwą naturę można tylko w ciszy. Kiedy Marysia zasnęła obok mnie, wzięłam ręcznik i owinęłam nim swój brzuch.

W nocy miałam bardzo dziwny sen. Siedziałam w łodzi i płynęłam po otwartym morzu. Dookoła zapadał już zmierzch. Woda była spokojna, niczym nie wzburzona. Czasem wychylałam się i przelewałam ją przez palce. Nagle zobaczyłam przed sobą jaskinię. Przestraszyłam się i natychmiast chciałam zawrócić, ale nie miałam wiosł. Próbowałam zmienić kierunek, odpychając rękoma niebieską toń, ale czułam się jedynie coraz bardziej zmęczona, a łódź płynęła tam, gdzie niosły ją fale. W końcu, całkowicie poddana, schowałam się w swoich własnych ramionach. Bałam się, ale dobrze wiedziałam, że coś w tej jaskini jest. Kiedy już wpłynęłam do jej wnętrza, czułam przeraźliwy chłód na plecach. Ciemność otulała mnie niczym czarna noc. Chciałam spojrzeć w dal, ale nie byłam w stanie podnieść głowy. Mocowałam się sama ze sobą, kiedy nagle w oddali zobaczyłam niewielkie, jasne światełko. Łódź płynęła dalej i coraz wyraźniej dostrzegałam ludzką postać wyłaniającą się z mroku. To była stara kobieta. Była naga. Piersi zwisały jej do podbrzusza, pośladki nienaturalnie opadały, a długie siwe włosy leżały na plecach i przykrywały ramiona. W ręku trzymała drewniany kij, na końcu którego paliła się pochodnia, tak naprawdę była to niewielka czaszka, w środku której paliły się rozżarzone węgle. Stara kobieta patrzyła w dal, jakby zupełnie nie widziała łodzi. Ukradkiem oglądałam jej pomarszczone ciało i kiedy ją minęłam, wpłynęłam do kolejnej jaskini. W niej również mrok rozświetlało niewielkie światełko, przy którym stała ta sama stara kobieta! Myślałam, że to przywidzenie. Obejrzałam ją i kiedy zniknęła za moimi plecami, znów wpłynęłam do kolejnej jaskini, której pilnowała ta sama staruszka! Nie wiem, ile jaskiń przemierzyłam i mil przepłynęłam, ale ten obraz pojawiał się cały czas.

Sen był niezwykle. Bardzo się nim przejęłam. Cały dzień zastanawiałam się, o co mogło mi chodzić. Przecież to moja podświadomość wysyła znaki dla rodzących się snów. Nasza dusza śledzi nas, penetrując każdy zakamarek ciała właśnie podczas snu. Nie miałam najmniejszych wątpliwości, że we śnie przyszła do mnie dzika, stara kobieta. Podobno jest w każdej z nas i stoi na straży naszej duchowości, jeżeli harmonia pomiędzy życiem zawodowym a domowym zostanie zachwiana, jeżeli ktoś wypija z nas twórcze soki, tak że nie mamy siły dalej żyć, to pojawia się najczęściej w snach i próbuje już swoją samą obecnością zwrócić uwagę na nici tkanego przez nas samych losu. Być może gdzieś zrobiła się dziura, przez którą ucieka cały temperament i żywotność, energia i radość.

Odniosłam wrażenie, że wszystkie kobiety na całym świecie są takie same, bo śnią te same sny. Każda z nas marzy o niczym nieujarzmionej wolności, tańcu w blasku księżyca, pływaniu bez ubrań w głębokim jeziorze. Każda z nas marzy o tym, żeby przestać się malować, rozpuścić włosy i na boso choć przez krótką chwilę biegać po zielonej łące. Każda z nas, biedna czy bogata, marzy o duchowej przewodniczce, która nauczy ją żyć w zgodzie ze sobą, bez przejmowania się naciskami ze strony otoczenia. Moja wilczyca, tak obecna nieomal fizycznie w poprzednich miesiącach, moja dzika przewodniczka stada stała się moim cieniem. Jest ze mną zawsze, kiedy tego potrzebuję, ale ciężkie łapy pobiegły dalej, aby ukazać się innym potrzebującym kobietom. Przeprowadziła strażniczkę, która chroni wejścia do świadomości. Od ostatnich letnich wydarzeń bardzo się zmieniłam, potrzebuję wilczycy i strażniczki, potrzebuję mieć je w sobie obie. Jedna mnie pilnuje, druga jest po to, abym nigdy nie zapomniała o swojej intuicji. Czy to możliwe, że dzięki rucznikowi oplotłam się nocą w ten dziwny sen? A może przyszła do mnie dusza którejś z moich zmarłych babek, cioc? Na Podlasiu wszystko jest możliwe, w izbie tej starej kobiety tym bardziej.

Byłam nią coraz bardziej zafascynowana. Babuszka i jej spojrzenie na świat. Ona w ogóle nie marudziła. Musiało boleć ją całe ciało, często dokuczały jej korzonki, ale brała te swoje magiczne mikstury, zagryzała zęby i szła do swojej pracy. Była zupełnie inna niż współczesne kobiety. Przeżyła wojnę, pochowała jedno dziecko, a mimo to nigdy nie zwątpiła w swojego Boga. Jak to możliwe? Czy to za sprawą tej wschodniej ziemi? Podlasie zaczynało wkradać się w moją duszę coraz bardziej. Tu mistycyzm przeplata się z prawdziwym życiem, a za każdym zakrętem słychać dziwne słowiańskie języki. Żeby zrozumieć tę ziemię, trzeba iść w puszcze, tam, gdzie najgłębsze bagna i mokradła, gdzie gałęzie uginają się od ptasiego śpiewu. Tu wszystko jest zieloną miłością i biedą chudego psa. Bug rozlewa się szeroko szemrzącą rzeką, a nad nią tyle wypłakanych myśli i złamanych serc. Obiecałam sobie, że ja też przestanę marudzić na głos. Przecież wypowiedane słowa krążą wokół nas i przyciągają sobie podobne.

Miałam potrzebę zmiany, która już zaczynała we mnie kiełkować. Zauważyłam ją, dopiero patrząc w lustro, kiedy rozczesywałam włosy. Nie farbowałam ich od kilku, a może kilkunastu miesięcy. To było przerażające, ale piękne, bo naturalne. Już nie pamiętałam, jaki miałam naturalny kolor włosów? Przyglądałam się odrostom z dużym zainteresowaniem. Kolor mysi, czyli żaden. Nie był to blond ani brąz, coś pomiędzy kolorem srebra a niedojrzałym kasztanem, czyli takie nie wiadomo co. Z jednej strony miałam ochotę obciąć je tuż przy skórze, zrobić coś drastycznego, ściąć się na zapałkę, z drugiej – pomyślałam, że zmiany w człowieku zachodzą przez dłuższy czas, więc może by tak przestać farbować, puścić je zupełnie luzno i w ten sposób wrócić do swojego naturalnego koloru? Podobno nasze słowiańskie prababki przypisywały włosom ogromne moce. Jak mało wiemy o naszych ciałach.

Postanowiłam, że nie ujarzmię na siłę włosów, będę je zapuszczała i pielęgnowała, niech sobie rosną. Przeprowadzenia zmiany nie zacznie się od czerwonych szpilek, idealnie umalowanych

paznokci czy nowych ubrań. Oczywiście, poprawią one samopoczucie, ale tylko na chwilę. To mnie ma być wygodnie we własnym ciele, a nie żadnemu mężczyźnie. To ja muszę chcieć wracać do siebie jak do najbardziej luksusowego pałacu. Tam, w środku ma być przyjemnie i ciepło. Nawet gdy na zewnątrz szaleje groźna nawałnica, tu we mnie ma być schron. Musiałam uwolnić się od wszystkiego, co zakłócało mój spokój. Postanowiłam zacząć od męża.

Odebrał za trzecim razem. Głos mi się łamał, nie wiedziałam, o co mam zapytać. Zaczął na mnie krzyczeć, że wywiozłam dziecko, że jestem nieodpowiedzialna, usłyszałam wiązaną gorzkich słów, na sam koniec dopiero dodał, że w sumie to on nie wie, co się stało, bo „czarna zołza” okazała się jego koleżanką z klasy, a że on był jeszcze nietrzeźwy, a ona zmęczona po pracy, to chyba zasnęli, ale na pewno do niczego nie doszło. Wyszło na to, że to moja wina, bo przecież to ja sama sprowadziłam do domu tę kobietę. Ta rozmowa prowadziła donikąd. To były absurdalne wymówki. Powiedziałam, że muszę odpocząć, uporządkować myśli, choć dla mnie wszystko było jasne. Wystarczyło mi tylko jedno usłyszane słowo „chyba”. Jak można doprowadzić się do stanu, żeby nie wiedzieć, co się robiło?

Kiedy skończyliśmy rozmowę, wiedziałam, że to już koniec, że nie ma w tym małżeństwie czego sklejać, bo zamiast prosić o wybaczenie, wyjaśnić tę kuriozalną sytuację, Joachim uważał, że nic się nie stało. Staralam się nie martwić na zapas, byłam pewna, że nie wytrzymamy razem pod jednym dachem. Tak bardzo kochałam ten stary dom, zgodnie z prawem był nasz wspólny. Dokąd pójdę? Z czego się utrzymam? Co powiedzieć rodzinie, Marysi?

Szeptucha słyszała całą rozmowę.

– Jaśmino, nasz świat codziennie udowadnia nam, że to, czego nie możemy zobaczyć, poczuć, dotknąć, po prostu nie istnieje. A to wcale nie jest prawda. Nie wymyślaj problemów, których jeszcze nie ma. Teraz jesteś u mnie, wykorzystaj ten czas, a jak wrócisz, to życie samo podpowie ci rozwiązanie. Zaufaj – mówiła ze spokojnym uśmiechem, przygotowując saszetki z ziołami. Dziś po południu mieli przyjść kolejni potrzebujący klienci.

– Jesteś pewna, że tak się dzieje? Przecież ty wierzysz w te swoje święte ikony – pytałam, ale i tak wiedziałam, że ona znajdzie odpowiedź na wszystko.

– Dziecko drogie, Bóg wszędzie jest jeden i ten sam. Tylko ludzie są różni. Żyjemy w świecie fizyki, matematyki i magii, i żadna z tych dziedzin nie neguje pozostałych. Wszyscy pochodzimy z jednego i tego samego Źródła. Trzeba umiejętnie to ze sobą pogodzić. Twój głos wewnętrzny jest zagłuszony przez zgiełk i niepokój. Wyrzuć to z siebie. Wtedy otworzysz się na zmiany, które przyniesie ci każdy kolejny dzień. Nie każdy człowiek jest powołany do czucia „niewidzialnego”, ale ty na pewno jesteś. Przecież to wiesz, prawda?

Przez chwilę się zadumałam. Jak to pięknie brzmi: czucie niewidzialnego. Tak, wierzyłam w to, przecież byłam zupełnie świadoma w tych momentach, kiedy przechodziła przeze mnie moc eteru, piątego żywiołu świata. Więc czemu nie miałabym zaufać?

– Tak, czuję to. Tylko nie wiem, jak opuścić to, co mnie spina, co nie daje żyć pełnią. Przecież te wszystkie problemy potrafią zabić najsilniejszego człowieka.

– Po pierwsze, uspokój się. I nie wymyślaj sobie, że nie będziesz miała gdzie mieszkać, ani co powiesz dziecku. To wszystko się samo jakoś ułoży. Idź do pokoju, usiądź na podłodze albo pod ścianą, tam, gdzie ci będzie wygodniej. Złącz ręce jak do modlitwy albo połącz na kolanach. Pamiętaj o swoim sercu. Nie chowaj w nim urazy czy złości, ono jest najważniejsze w tym całym procesie, to właśnie przez twoje serce będą przepływały wszystkie prośby i podziękowania. To jest bardzo ważne, o czym myślisz i co wysyłasz w świat. Zły człowiek ma ciemne i ciężkie myśli, jeżeli pozwolisz mu, żeby wszedł w twoje, to zabrudzi twój jasny umysł.

– Czyli, że nie mogę dać się prowokować Joachimowi, bo zacznę robić się taka sama jak on?

– Zgadza się. Wypracuj w sobie własną metodę na odgrodzenie się od tych złych emocji, wtedy rozwiązania same do ciebie przyjdą. Poczujesz niespotykaną harmonię. Ten bioenergoterapeuta, o którym ci mówiłam, naprawdę mi pomógł. Mimo swoich lat, czuję się silna, bo myśli mam czyste. Nie liczą się lata, lecz energia. W tej całej dziwnej zabawie nie ma miejsca na umartwianie się, rozpacz, to wszystko zostawiasz gdzieś tam, w górze. Pozwoliłam sobie pomóc, szukałam różnych duchowych dróg. Moja religia na to się nie zgadza, ale mój Bóg się nie obrazi na pewno.

– OK. Brzmi fantastycznie. Ale co ja mam dokładnie zrobić, bo nie rozumiem. – W geście zupełnej bezradności rozłożyłam ręce, a babuszka chwyciła je w swoje i patrząc głęboko w moje oczy, zaczęła mówić:

– Tak jak wcześniej mówiłam, usiądź, albo stój, jak ci będzie wygodniej. Niech nikt ci w tym momencie nie przeszkadza, to ma być chwila tylko dla ciebie. Zamknij oczy i wyobraź sobie, że chciałabyś komuś powierzyć rozwiązanie kłopotu. Ja zawsze „wkładam kłopot” do łodzi i odpycham ją od brzegu. Kiedy już łódź dryfuje i jest poza linią horyzontu, zamykam oczy i powtarzam jak mantrę: „Oczyszczam pole serca, opuszczam to, co mnie niszczy, niech wszechświat znajdzie odpowiedź”. I wtedy puszczam tę całą wizualizację w niepamięć i staram się mieć przed oczami jedynie czarną plamę. Oczyszczam umysł, skupiam się na tym, żeby przez kilka sekund przed oczami było ciemno, żebym nic w tym niematerialnym świecie nie widziała. Żadnych rzeczy, które „muszę zrobić”: pozmywać, sprzątać, odrobić z dzieckiem lekcje. Przez tę drobną chwilę puść łódź i wszystko, co musisz i zobacz, co po kilku minutach przyjdzie do twojej głowy. Najczęściej jest to rozwiązanie albo wzruszenie, jakaś nowa emocja, poczucie bezpieczeństwa. Potem otwórz oczy – i już. Po zabawie. Medytuj sobie tak w chwilach, kiedy czujesz, że jest ci to potrzebne, a po jakimś czasie zobaczysz, jak się uspokoisz. Nie musisz powtarzać tych samych słów co ja. Wymyśl sobie coś innego, ale niech nie będzie w tych słowach złości, nienawiści, goryczy. Zostaw ten problem na łodzi.

Najważniejszy jest moment, w którym świadomie „puszczasz” swój ból i z miłością wracasz do dalszego życia. Ja na to mówię „czarowanie rzeczywistości”, bo taka medytacja może być również



dziękczynna. Jeżeli chcesz za coś podziękować, cieszysz się, jesteś radosna. Włóż te emocje do łodzi, niech popłyną dalej w świat, na pewno takie dziękczynienie przyda się innym ludziom, którzy tego potrzebują. W samotni milczenia odnajdziesz drogę, o której marzysz. Uwierz mi, że poczujesz wtedy, jak pulsuje twoje zdrowe, czyste serce. Spróbuj. To jest taka zabawa energią. Energią, która jest w każdym człowieku.

Brzmiało to dość irracjonalnie, ale wszystko, co było związane z szeptuchą, było tajemnicą. Wierzyłam jej, bo ta kobieta była prawdziwa. Nie miała w sobie ani krztyny kłamstwa. Przyciągała do swojej jasnej starości jak magnes. Promieniowała dobrocią. Ja się tak wcale nie czułam. Zazdrościłam jej tego.

Usiadłam w pokoju pod ścianą, tak żeby moje plecy były swobodne, ale wyprostowane. Położyłam sobie na kolanach rucznik, pełnił funkcję kocyka, a zarazem dawał poczucie bezpieczeństwa. Próbowałam włożyć do łodzi to, co mnie frustrowało, ale nie było to wcale takie proste. Nieustannie napływały inne myśli, zdarzenia, tak jakbym miała w sobie chaos. To było nie do zniesienia. Próbowałam mieć zamknięte oczy, ale powieki same się otwierały. Postanowiłam, że muszę skupić uwagę na czymś innym, bo ta medytacja zupełnie nie wyjdzie. Przesunęłam się kawałek dalej i wzięłam do ręki wilcze kły, które dostałam od szeptuchy. Od pewnego czasu pełniły rolę amuletów, niech i teraz pokażą swoją moc. W końcu rozluźniłam się i poczułam, jak przechodzi przeze mnie fala ciepła, która wlewała się do morza niosącego łódź w nieznane. Szum wody spokojnie mówił: „Każde słowo «muszę», czy uparcie powtarzane «ja chcę» powoduje ucisk w obrębie szyi i serca. Puść to i oddaj wszechświatu, nie żądaj, tylko patrz, jakie rozwiązanie przyniosą kolejne dni. Otwórz się na nowe i oddaj morskim falom to, co cię uwiera”. Chciałam, żeby ten stan minął, ale ciało w tej pozycji było tak dobrze, że nie miałam zamiaru go wybudzać. To NOWE, którego pragnęłam, było tuż-tuż, obok mnie. Wiedziałam, jak się nazywa: harmonia, tylko zupełnie nie wiedziałam, jak ją w sobie odnaleźć, jak złapać i zatrzymać.

Otworzyłam oczy. Świat się nie zmienił, problemy kotłowały się dalej, ale po tej drobnej chwili skupienia przyszła nowa myśl, że każda historia, problem czy radość, którą opowiadam wszechświatu, staje się jego częścią, a skoro ją zna, to może zechce pomóc? Przez ten drobny ułamek sekundy poczułam, że jestem jednością, że wszystko jest pełnią, że nawet największy problem jak węzeł gordyjski jest do rozwiązania, choć nie za wszelką cenę. To, co mnie spotyka, jest potrzebne i pomocne, zintegruje się z moim życiem, tylko nie mogę chcieć wiedzieć więcej, aniżeli w tej chwili jest mi dane. Znów kręciło się przy mnie czucie niewidzialnego, znów miałam wrażenie, że jestem częścią jakichś większych planów. Należałam do osób, które zawsze pragnęły od życia czegoś więcej. Zwyczajny spokój czy pełen gar zupy i chleb powszedni mi nie wystarczały. Chciałam za wszelką cenę rozwiązać zagadkę istnienia. Kiedy tylko ułożyłam sobie drobny kawałek życia, to za chwilę wszystko leżało w gruzach i trzeba było wewnętrzny spokój odbudować na nowo. Poszukiwałam tej „ciszy”, zaglądając pod każdy kamień, penetrując ciemne jaskinie. Szukałam, grzebiąc rękoma w ziemi

i zaglądnę pod leśny pachnący mech. Zbierałam kamienie, a potem próbowałam z nich ułożyć coś na kształt obrazu, drogowskazu życiowego. Przeszukiwałam dna jezior, przyczepiałam do włosów wodorosty, pływałam z nimi i przez chwilę byłam wodą, która opływa wszystko. Zagłębiałam pod korzenie drzew, chciałam dokopać się do życiodajnego soku, który daje im długowieczność, miałam nadzieję, że posiadam ich mądrość. Zagłębiałam do ptasich gniazd, przysiadłam na gałęziach, chowałam się w sowych dziuplach, czekając na odgłosy nocy. Przyglądałam się płatkom śniegu, każdemu z osobna i próbowałam znaleźć dwa identyczne, penetrowałam pod lupą te maleńkie, koronkowe ramiona, by odnaleźć to, czego mi brakowało. Stale szukałam namacalnego dowodu, a słyszałam jedynie cichy szept czegoś, co już znałam, robiłam to, czego nikt nigdy mi nie tłumaczył, nie uczył, a co dobrze znałam od dziecka, węszyłam. „Puść to, oddaj światu swój ból, puść to, nie trzymaj się kurczowo brzytwy, puść to!” – cały czas słyszałam w sobie ten wilczy szept. Kiedy pojawiał się we mnie, nachodziła fala radości i wypełniała mnie szczęściem. Chciałam puścić, ale nie umiałam. Kiedy już wydawało mi się, że wyzwolenie jest tuż-tuż, znowu umysł zapełniał się dziwnymi myślami projektującymi daleką przyszłość. Przyszłość, której tak naprawdę wcale mogło nie być.

W głowie nadal miałam gonitwę myśli, kiedy usłyszałam znajomy dźwięk z telefonu. Informował o nadesłanym właśnie mailu.

*Kobieto!*

*Jakże się przydała sierść od Ciebie! Lobo najpierw obwąchał moją rękę, a potem zaczął biegać po swoim boksie jak oszalały. Za wszelką cenę próbował wcisnąć swój pysk w moją zaciśniętą dłoń! Nie chciałem, aby rozrzucił sierść, bo nie znaleźlibyśmy jej wśród kłaków, które on sam gubi. Po krótkiej chwili szaleństwa usiadł w kącie i znowu zaczął wyć! Nie chce mi się wierzyć, że mogłaś spotkać prawdziwego wilka, ale zachowanie Lobo wskazuje na to, że zwierzę mogło należeć do jego watahy. Jego ostatnie wyniki są dość obiecujące, więc już niedługo wypuścimy go na wolność. Jak chcesz, to możesz uczestniczyć w tej całej eskapadzie. Wczoraj widziałem w lesie ślady wilczych łap na śniegu. Trzeba go jak najszybciej wypuścić. Za kilka dni założymy mu obrozę, nadajnik, dzięki któremu będziemy mogli go zlokalizować. Cholera, kobieto, nawet się przydałaś! Przepraszam za moje ostatnie pijackie zachowanie, ale już taki jestem stary dziad. Mam nadzieję, że nie żywisz urazy do męża, każdy facet pije.*

*Darzbór.*

*Bojan*

Ale się ucieszyłam! Strasznie chciałam zobaczyć, jak wygląda Lobo! Jaką ma sierść, jak się zachowuje. Może jest podobny do wilczycy, którą widziałam. Wystarczył jeden mail, jedna

wiadomość, która nie dotyczyła moich pogmatwanych spraw, abym uśmiechnęła się szeroko. Natychmiast odpisałam i podziękowałam za gościnę, jakakolwiek ona była. Bojanowi zawdzięczałam jednak pełną dyskrecję i wyciągnięcie mojego auta z lasu. I tak musiałabym kiedyś wrócić do Wałpusza, przecież nie mogę się tu ukrywać w nieskończoność. Umówiłam się z leśniczym na spotkanie i nagle mnie olśniło. Przecież muszę zająć się czymś innym, koniecznie zwrócić uwagę na zupełnie inne rzeczy niż tylko moje własne sprawy! Postanowiłam, że jutro wyruszę w krótką zimową podróż. Jak radziła babuszka, będzie to Święta Góra Grabarka.

Ranek był prawdziwie zimowy, obudził mnie zapach ziół, zdrowego powietrza i palonego igliwia. Szeptucha okadzała nimi mieszkanie co jakiś czas. Mówiła, że to pomaga wypędzić złe duchy. Wystarczyło spojrzeć za okno, żeby wiedzieć, że biel najlepiej otula na Podlasiu. Lekarstwo na ból duszy – natura. Pokój zalany był światłem, przez otwarty lufcik wpadały płatki śniegu, zapewne zmiecione z dachu przez wiatr. Przez chwilę poczułam się wolna, bo zapomniałam o zdradzie męża, o naszym wspólnym złamaniu przykazanania, przecież ja też zawiniłam, tylko on o niczym nie wiedział. Zastanawiało mnie, jak można być tak dwulicowym jak ja? Spotykałam się z innym mężczyzną, na dobrą sprawę wyrównaliśmy rachunki, a coś w środku bolało, i to było nie do wytrzymania. Wiedziałam, że nie mogę się zatracić w tej zgryzocie, nie mogłam – dla samej siebie i dla dziecka.

Odkąd tu przyjechałam, moją głowę zaprzątali również Luna, Lobo i Bojan. Trójkąt bermudzki dziwnych i tajemniczych istot. Skąd się wzięli w moim życiu? Kto kazał im przeciąć ścieżkę moich dni? Ich całkowita odmienność zaczęła mnie pomału hipnotyzować. Tajemniczy mężczyzna i jego piękna fascynacja wilkami oraz ta smutna suka.

Próbowałam podnieść się z gruzów miłości, bo chyba coraz bardziej docierało do mnie, że nie jestem zazdrosna o tę „czarną żołą”. Chodziło o to, że przestawałam kochać męża. W myślach już żyłam bez niego, w myślach nie było nikogo oprócz Marysi, wewnątrz miał być tylko święty spokój. Ale przecież nie mogę go zostawić, trzeba sobie wybaczać i dla dzieci żyć w takim małżeństwie, przecież Marysia musi mieć ojca. Ale jakiego ojca? Marysia musi mieć zdrową i szczęśliwą matkę! Po co te kłamstwa, skoro w sercu nie mam dla niego miłości? Skoro moje ciało skrawek po skrawku mówi do mnie, przemawia rankami i wieczorami, że go nie chce. Ale jak to sprawdzić, czy to nie są tylko fanaberie? Samotna matka z dzieckiem, czy to możliwe? Mam ochotę być starym drzewem albo niewinnym dzieckiem, niepotrafiącym analizować zawiłości losu. Moje życie to jest seria jakiś dziwnych, nie do końca zrozumiałych opowieści. Jedna fabuła dotyka drugiej, zazębiają się, szukając ujścia, i znajdują jedyne słuszne wyjście – ewakuacyjne. Ewakuacja, czyli ucieczka zapasową drogą.

Usiadłam pod ścianą, zamknęłam oczy. Włożyłam mój problem do łodzi i puściłam, starając się nie tłumaczyć tych wszystkich sytuacji. Przez chwilę miałam przed oczami czarną plamę, a potem nie przyszedł żaden inny obraz, a pojawił się wiersz:

*na dwóch nogach  
niewidzialne czucie niosą*

\* \* \*

*Jestem kobietą z innego miejsca i czasu*

A może naprawdę pochodzę z innego czasu? W innym życiu biegałam na czterech łapach po zielonych lasach, koczowałam schowana pod rozłożystymi liśćmi paproci, wyłam pod gwiazdzistym niebem do srebrnego księżyca, a potem biegłam ile tchu przed siebie, niosąc na swoim grzbiecie jedynie wiatr i zapach poranków. Pora uśpić rozum i zdać się na to, co przyniesie los. Spakowałam plecak, zrobiłam kilka kanapek, w pośpiechu wypiliśmy kawę i wyruszyłam samochodem do miejsca ukojenia, do samego serca prawosławia, czyli na Górę Grabarkę.

Droga z Janowa Podlaskiego do świętego miejsca była pokryta topniejącym śniegiem. Te podlaskie niewielkie wsie mijane po drodze zdawały się przypominać o nadchodzącym Bożym Narodzeniu. Na niektórych balkonach wisały kolorowe lampki, a w obejściach stały udekorowane choinki. Nie miałam siły myśleć o swoim domu, jak to będzie u mnie w tym roku. Bylebyśmy się tylko z Joachimem nie kłócili, a reszta jakoś się ułoży. Żeby tylko przy dziecku się nie napił, na resztę zacisnę zęby i jakoś to zniosę, a co dalej? Właśnie zaparkowałam pod Górą pełną słonecznego blasku. Zamknęłam oczy, pomyślałam „puść to” i weszłam po kamiennych schodach przed cerkiew.

Od pierwszego kroku czułam energię tego miejsca, jakieś fale przepływały przez ciało i co jakiś czas pojawiała się gęsia skórka. Legenda głosi, że w 1710 roku, kiedy na Podlasiu szalała epidemia cholery, pewnemu starcowi przyśniło się, że ratunek można odnaleźć na pobliskim wzgórzu. Podobno ludzie, którzy obmywali się w źródleku położonym u stóp góry, przeżyli. Było ich ponad dziesięć tysięcy. W podziękę za uratowanie życia powstała drewniana kapliczka, a dziś znajduje się tu również prawosławny żeński klasztor. Przyjeżdżają tu ludzie nie tylko z Polski, aby podziękować za to, co dobre, i oddać tej ziemi swoje problemy i troski. Każdy pielgrzym przywozi własnoręcznie zrobiony krzyż, nie musi być prawosławny, i zostawia go tu w specjalnym miejscu. Wokół cerkwi stoją ich setki, jak nie tysiące. Małe, duże, drewniane, kamienne, na ich ramionach wiszą różańce albo święte obrazki, a każdy z nich to jakaś ludzka historia, szczęście albo smutek. Stałam między nimi i modliłam się o siłę i spokój ducha, wszak tylko wewnętrzna równowaga mogła mi pomóc. Znalazłam na ziemi kilka mocnych i twardych patyczków, zdjęłam czarną gumkę z włosów i splotłam nią drewnianka w znak krzyża. Wbiłam w podlaską ziemię i poszłam do cerkwi.

Nie mogłam w to uwierzyć, ale moją uwagę zwrócił od razu symbol trupiej czaszki u podstawy czegoś w rodzaju konfesjonału. Stałam jak rażona piorunem, przypominała tę z mojego snu. Nie mogłam oderwać od niej oczu, usiadłam na ławeczce pod ścianą i wpatrywałam się w czaszkę jak zahipnotyzowana. Było przenikliwie zimno, mroźne powietrze wciskało się do cerkwi i do serca, nie

chciałam zamarznąć od środka. Myślałam tylko, jak uwolnić się od tych złych myśli. Nie chcę żyć, ledwie oddychając, dzieląc powietrze z mężczyzną, który wyrządza mi tyle krzywd i przykrości. Chcę być przezroczysta dla świata, chcę cholernego spokoju i niczego więcej. Chciałam to wszystko z siebie zmyć jak topniejący przedwcześnie śnieg. Chciałam się uwolnić z kajdan chaosu i burzy, które we mnie szalały. Cerkiew miała w tym pomóc. A była przepiękna, mieniła się najróżniejszymi kolorami. Na jej niebieskich ścianach wymalowano obrazy z życia Chrystusa. To opływające złotem mistyczne wnętrze było mroczne, oświetlone tylko blaskiem świec. Dookoła piękne kolorowe ikony. Wśród nich dostrzegłam te same przedstawienia, które wiszą w domu szeptuchy. Co jakiś czas przemknęły siostry z klasztoru, ubrane całe na czarno. Widać było tylko ich twarze. Czy są szczęśliwe? Tak zamknięte dla mężczyzn i radości płynących ze świata? Podobno kiedy spływa powołanie, to nie można z tym walczyć, tak samo jak z miłością, wszystko zaślepia, ale czy nie mają kryzysów, tak jak ludzie żyjący poza klasztorem w normalnych małżeństwach? Muszą być potwornie samotne, a może na tym wzgórzu odnalazły ukojenie? Ciekawe, jakie historie kryją się za tą czarną tkaniną. Niespełnione miłości, wygnanie z domu, brak innych perspektyw, a może prawdziwy Bóg? Często ludzie nie potrafią albo nie chcą ich zrozumieć, że z własnego wyboru osiadają na obrzeżach świata, albo zamykają się wewnątrz miejskiego jazgotu. Mają swoje sekrety, modlitwy, misje, przychodzą do nich ludzie po poradę albo prosząc o wstawiennictwo Boże. Czy są szczęśliwe? Czy świadomie obrały swoją drogę, a może zdecydowały inne względy rodzinne? Sama pamiętam, kiedy jako dziecko krążyłam z ciotkami i ich sąsiadkami i słyszałam słowa: „Mój to pójdzie na księdza, dobrze mieć w rodzinie choć jednego”. A jeżeli, któraś z bardziej ułożonych dziewczynek nie umiała przeciwstawić się nakazom rodziców, jeżeli wmówiono jej, że jest święta i ma pójść do klasztoru, a ona w to głęboko wierzyła, bo jej tak codziennie powtarzano? Jakież musiała przeżyć rozczarowanie!

Nagle moje rozmyślania przerwał cichy, stonowany dźwięk, delikatny jak śnieg i ciepły jak promień słońca. Zaraz usłyszałam następny w równie zniewalającej tonacji, a po chwili pojawiły się kolejne i jeszcze inne. Odwróciłam się do konfesjonau i zobaczyłam siostry zakonne. Nadszedł dumny pop z długą ciemną brodą, podał siostrom dźwięk, od którego miały zacząć śpiew, i zniknął. Siostry zaczęły piskliwie, ale bardzo czysto, w dość wysokiej tonacji. Każda z nich trzymała niewielką książeczkę. Śpiewały na kilka głosów. Miało się wrażenie, że cerkiew unosi się nad ziemię, wypełniona cudownymi dźwiękami, jakby płynęła wśród chmur. Zamknęłam oczy, a muzyka zaczęła wirować we mnie. Przemierzała nurty płynącej krwi, dotarła aż do serca. Czułam jej drogę od koniuszków palców po sam czubek zmarzniętego nosa. Nie wiem, jak to się stało, ale poczułam niezmiernie pokłady wdzięczności w duszy. Za wszystko, co się do tej pory zdarzyło, za strach, lęk, złamane serce, zdrową córkę, za moje dwie sprawne ręce, którymi mogę przytulać tych, których kocham, za coraz głębszą świadomość, która spływała na mnie każdego dnia. Przecież te wszystkie narastające problemy są jak kamienie leżące na mojej drodze. Mogę je ominąć, zdeptać, schować do

kieszeni, a ten najbardziej uwierający w bucie wyrzucić. Przecież nasze całe życie jest wędrówką. Idziemy, bacznie obserwując wszystko, co się dzieje na drodze, a im mniej spieszne życie, tym więcej miejsca na wybaczenie i wdzięczność. Tym więcej czasu na pogłębienie myśli i obserwację świata. Mogę przemierzyć niebo i piekło, mogę wejść w najbardziej mroczne zakamarki, nie zatrzymując się w żadnym z tych miejsc. Odpoczynek zrobię dopiero na samym końcu, kiedy dusza zleje się w jedno z miłością.

Śpiew sióstr nagle nabrał tempa. Barwa stała się jakby chropowata, już nie była jak uprzednio miękka i dziękczynna. Wydawało się, że kobiety lamentują. Może wylewały tą melodią swoje żale? Były wzburzone. Pomimo dodatniej temperatury na dworze, z ich ust wydobywała się para, wyglądały jak czarne smoki Przeszedł mnie dreszcz. Ich lament rósł, dźwięki wydawały się ostrzejsze, aż nagle płynnie przeszły do kolejnej już wolniejszej i bardziej majestatycznej melodii, a ja znów zamknęłam oczy. Było mi tak dobrze, wypełniałam się od środka czymś łagodnym, dobrym i zdrowym jak ciepłe mleko z miodem. Kiedy wsłuchiwałam się w ten oczyszczający śpiew, już wiedziałam, że tę drogę muszę przejść w zupełnej samotności. Mnie miało być dobrze, nie innym. Miałam się skupić tylko na sobie, nie na mężu czy kochanku. Miałam rzucić pracę, męża i nie zastanawiać się nad tym, co przyniesie jutrzejszy dzień. Potrzebowałam zostać w samotni z moją wewnętrzną wilczycą. Już wiedziałam, po co tu jestem. Z każdą kolejną nutą czułam, jak rośnie we mnie moc. Jak otwiera się umysł, czaszka, kości, mięśnie, jak w każdy organ wlewa się ogromna siła i energia. Samotność koi nawet największy ból. Mam wrażenie, że to, co jeszcze kilka dni temu wydawało się końcem świata, staje się początkiem zupełnie nowych możliwości. Po zdarzeniu z Joachimem mogę spokojnie powiedzieć, że czuję się wolna. Nie jako kobieta szukająca nowego mężczyzny, bo to jest ostatnia rzecz, na którą mam ochotę, ale wolna w sensie duchowym. Nie muszę już słuchać jego utyskiwań, narzekań, jeżeli do siebie nie pasujemy, to trzeba będzie się rozstać. Życie samo poprowadzi nas do naszych nowych domów.

Olśniło mnie tak samo, jak w momencie pierwszego spotkania z wilczycą. Najpierw zobaczyłam ją w lesie, a potem coś zawyło w duszy, głośno i wyraźnie zaczęłam mówić, czego chcę, i być może dlatego mojemu mężowi nie spodobałam się w nowej odsłonie, nie ta podległa, tylko świadoma samej siebie. Może dlatego przestaliśmy nadawać na tych samych falach. Może w każdym z nas zachodzą zmiany, z którymi nie sposób walczyć, które tylko można zaakceptować, jak kamień rzucony do rzeki, który czasem przemieści się z nurtem, a czasem trwa niewzruszony przez wieki. Nie jestem i nigdy nie będę doskonała, ale mogę być szczęśliwa, szukając własnych ścieżek.

Siostry zakonne modliły się jeszcze chwilę w milczeniu i wyszły. Zostałam w cerkwi jedynie z kilkoma turystami. Mój czas również nadszedł. Wypełniłam się po brzegi wszechobecną energią, mocą wspólnoty.

Po wyjściu opatuliłam się wełnianym szalikiem i udałam do niewielkiego sklepiku z pamiątkami. Wybrałam ikonę Anioła Stróża w ciężkiej drewnianej ramie i schowałam do torby. Obeszłam kilka

razy cerkiew, przypatrując się krzyżom. Dotykałam je i podziwiałam strukturę i kolory. Na koniec zaczerpnęłam życiodajnej wody z pobliskiego strumyczka, piłam ją łąpczywie, bez obawy o chore gardło. Woda była krystalicznie czysta i niezwykle zimna, aż zęby bolały. Napełniłam puste butelki po wodzie mineralnej, chciałam trochę przywieźć babuszce. Zawsze się przyda podczas zamawiania chorób.

Podróż powrotna minęła szybko, wśród nostalgicznych podlaskich domków i z nutą wschodniej pieśni przebudzenia.

Szeptucha już od progu krzyczała jak najęta, wymachując ścierką przed moimi oczami.

– Jaśmina, dawaj, dawaj, idzie ze mną! Koralukowa nie żyje, puste noce przed nami!

– Babuszko, jakie puste noce? O co chodzi? Co to za Koralukowa? – Byłam zmęczona podróżą i zaskoczona poruszeniem szeptuchy.

– Sąsiadka moja! O tam, na wzgórzu mieszkała! Ona z Kaszub była, a że jej mąż, katolik zafascynowany obrzędami prawosławia, zakochał się w Podlasiu, to się tu do rodziny przenieśli. O, dobre kilkadziesiąt lat temu. Takie włosy miała grube i białe, nic jej ze starości nie wypadły, nic! Ta to dopiero była prawdziwa wiedźma! – Klasnęła w dłonie, zakręciła się na pięcie, zamieszała coś w garach na kuchence.

Przywitałam się z Marysią i słuchałam dalej.

– Za żywego Koralukowa już se sama trumnę kupiła! Kazała zbić kilka desek u naszego cieśli. Mówili, że oszalała, ale bała się, że rodziny na pogrzeb stać nie będzie, i kazała ją w szopie postawić. Potem strach ją obleciał, że jej godnie nie pochowają i stypy nie urządują, więc pieniądze pod pościelą chowała, ale jej kradli. To się zdenerwowała i po księdza poszła. Kazała poświęcić trumnę. Z litego dębu była, ciężka jak ludzki grzech. Potem zaczęła gorzałkę kupować i w tej trumnie chowała. A że chłopcy bały się święconego, to nie kradli. Potem już jej miejsca zbrakło, to drugą trumnę kazała dorobić. Mówiła, że na jej chłopca będzie, a tak naprawdę to i tam wódkę odkładała. Dzisiaj córka jej przybiegła, jakby ją jakiś zły duch gonił. Krzyczała, że matka się wczoraj odświętnie ubrała i mówiąc, że idzie umierać, w trumnie się położyła. A że kilka razy w miesiącu tak robiła, to już nikt jej nie wierzył. Dopiero dziś ją znaleźli. Zanim my doleciały do niej, to już cała wioska się zbiegła i w tej trumnie nieboszczce oczy zamknęłam. Dziś różańce będziem zmawiać, to się cieplej ubierz, ja całą noc zostanę. Ty przyjezdna, to nie musisz. Marzena potem przyjdzie, to cię zmieni.

Poczułam jakiś dziwny strach siedzący na ramieniu. Całe wieki nie widziałam nieboszczyka i niby dziś mam iść do jakiejś szopy, żeby modły odprawiać? Szeptucha wyczuła moje zdziwienie i jakby czytając w myślach, dopowiedziała:

– Ty się nic nie bój. Tu o wspólnotę ludzką chodzi i o cześć dla zmarłego. Trumnę do domu chłopcy mają przenieść. Każdy powinien zostać odpowiednio do Boga odprowadzony, a nie byle jak, tak jak w miastach. Do kaplicy trupa wezmą i już po sprawie. Tu o świętość życia i śmierci chodzi. Nic się

nie bój, nie będzie bolało. Pusta noc to kaszubski zwyczaj. Ostatnia noc przed pogrzebem zmarłej osoby. To wieczór, kiedy ludzie gromadzą się, żeby śpiewać pustonocne pieśni pogrzebne, płaczki z Hajnówki przyjadą, ty też masz być.

Przemyła ręce w ciepłej wodzie, ugłaskała nimi wystające spod koczka włosy i podała mi kurtkę, którą dosłownie przed chwilą powiesiłam w sieni. Chciałam nas podwieźć, ale uparła się, że pójdziemy piechotą.

O tej porze roku noc nadchodzi szybko. Teraz było już ciemno, tylko światła w domach oświetlały nam drogę. Co druga latarnia w Janowie nie świeci. Wystarczy tylko zejść z drogi, żeby wtopić się w całkowitą ciemność. Wystarczy zboczyć ze ścieżki ledwie kilka metrów i już nie dostrzeżesz rąk wyciągniętych przed siebie. Jak w głębokiej studni, słychać dźwięki, pluski, szmery. Jej dno możesz jedynie sobie wyobrazić. Wraz z nastaniem nocy budzą się w ludziach najróżniejsze przeczucia i wyobrażenia. Lasy zaczynają mówić swoim własnym językiem, a każdy cień przypomina ducha albo wroga. Bałam się tego całego zamieszania, ale nie mogłam odmówić. Nie jej.

Tuż przed wejściem do starego, murowanego domu babuszka kazała mi się trzy razy przeżegnać i włożyć chustę na głowę. W dłonie wcisnęła drewniany różaniec:

– A odmawiać umiesz? Żebym wstydu nie miała. Wy tam w tych miastach to może nawet koralików odmawiać nie umiecie. – Z całkowitą dezaprobatą spojrzała mi głęboko w oczy, przytrzymując moje ręce w swoich.

– Umiesz, umiesz! – odpowiedziałam z lekkim oburzeniem.

Już od progu słychać było śpiewy, a w oknach domu paliły się świece. To były gromnice. Towarzyszyły ludziom zawsze podczas ważnych wydarzeń, chrztu, komunii, ślubu oraz czuwania przy zmarłym. Pośrodku niewielkiego pokoju, który wyglądał jak drewniana stajenka, stała trumna. Wokół niej siedziały bardzo stare i pomarszczone kobiety. Wszystkie miały chusty na głowach. W pokoju unosił się zapach kadzideł oraz olejków, od ich nadmiaru zaczęło mi się kręcić w głowie. Stoły były nakryte białymi obrusami.

Szeptucha przywitała się z najbardziej zapłakanymi, zapewne byli to gospodarze, potem przeszła do kilku innych kobiet, ucałowała ich dłonie, usiadła przy nich i zaczął się różaniec. Siedziałam w kącie izby, bałam się podejść bliżej, a i tak czułam na sobie wzrok zebranych. Niektórzy mówili po rosyjsku, polsku, gdzieś tam słychać było chyba kaszubski. Ludzie na przemian to szeptali, to popłakiwali, chociaż łez było mniej, niż się spodziewałam, zapewne dlatego, że żegnano się ze starszą osobą. Jakaś kobieta podała mi niewielką książeczkę z napisem na okładce *Pustonoc – śpiewnik*. Druk był już mocno wytarty, strony pożółkłe ze starości i sfatygowane. Nagle pewnie mężczyzna położył ręce na piersi i stojąc nad trumną, niskim, doniosłym głosem zaintonował pieśń. Znowu to poczułam, znowu po moim ciele przebiegł dreszcz strachu i oczyszczenia. Weszły we mnie te same emocje, które towarzyszyły mi na Świętej Górze Grabarce. Mężczyzna zaśpiewał po rosyjsku, zwrócony



najpierw bezpośrednio do zmarłej, a potem do zgromadzonych w chałupie. Po pierwszej zwrotce dołączyli do niego inni. Siedząca obok kobieta szturchnęła mnie w ramię i otworzyła mój śpiewnik. Spróbowałam śpiewać z nimi. Gubiłam rytm, nie wiedziałam, kiedy mam wydłużać głoski, kiedy je skracać. Bardziej udawałam, niż śpiewałam, ale po kilku minutach złapałam rytm. Łączyłam się z tymi ludźmi, z ich żalem, smutkiem, strachem. Obserwowałam ich bardzo uważnie. Nikt tu nie uczył się śpiewu w szkołach muzycznych, wszystko było proste i piękne. Kiedy kobiety śpiewały na głosy ogarnęło mnie wzruszenie. Chciało mi się płakać, ale nie z powodu śmierci tej zupełnie nieznannej mi staruszki, tylko z radości, którą czułam, będąc z nimi we wspólnocie. Głosy mieszały się, nikt nie oceniał tego, czy ktoś śpiewa za wysoko czy nisko, najważniejsze było przenikać się i być razem. Współczuć rodzinie, dzielić z nimi ból. Aranżacje tych pieśni stawały się coraz bogatsze, przykuwały uwagę, rozrastały się w przeróżne brzmienia, wszak każdy z nas miał zupełnie inną barwę głosu. Taki śpiew istnieje na przecięciu dwóch światów: świata żywych i świata zmarłych. Obrzęd, który już powoli odchodzi w zapomnienie, bo każdy z nas zawsze gdzieś się spieszy, boi się stanąć z twarzą w twarz z ostatecznością. Te śpiewy pozwalają oswoić się z tym wszystkim. Dają poczucie dobrze spełnionego obowiązku, bo rodzina godnie odprowadza duszę zmarłej do Boga.

Szukając w sobie odpowiednich dźwięków, poczułam dziwną moc otwartego głosu. Po kilkunastu minutach gardło przestało być zaciśnięte i mój głos stał się niezwykle donośny. Wibrował we mnie. Kiedy ostatni raz tak śpiewałam? To kolejne spotkanie w pieśni coś we mnie otworzyło, czułam jedność ze wszystkim, co mnie otaczało.

Współczesna cywilizacja gna z tak zawrotną prędkością, że zapominamy o sobie. Zaspokajamy podstawowe potrzeby, a zapominamy o duchowości, która prędzej czy później i tak się o nas upomni. Głosy naszego życia, duszy, umysłu w pewnych momentach wzywają do powrotu intuicję i wewnętrzną starą kobietę. Dokładnie taką samą jak te siedzące teraz przy trumnie. Jakie są ich historie? Czego doświadczyły w życiu? Czego mogłyby mnie nauczyć, a przed czym ostrzec? Taka symboliczna kobieta jest w każdej z nas. Siedzi głęboko w sercu i śpiewa. Nie można przed tym uciec. Ona i tak przyjdzie. Moja znowu zawyła z podświadomości. To kolejne doświadczenie było jak lekarstwo, tylko nie truło chemią, wypełniało wdzięcznością za samą możliwość uczestniczenia. Wydobyć z wnętrza głos starej kobiety, siostry zakonnej, wilczycy, lasu czy ptaków. Wydobyć ukryty gdzieś wewnątrz najcenniejszy skarb – miłość do siebie.

Ludzie całą noc mieli spędzić przy nieboszczce. Rodzina co jakiś czas przynosiła kanapki, ciasto oraz czarną kawę. Dopiero po jakimś czasie zauważyłam, że wszystkie lustra i zegary w izbie zostały zasłonięte ciemnym materiałem. To jest noc pustki, którą pomagają wypełnić rodzinie zgromadzeni tu sąsiedzi. Dobra metoda na oswojenie strachu i bólu łączącego się ze śmiercią, o której na co dzień staramy się zapomnieć. W ciągu dnia umieramy wiele razy. Kiedy rzucają w nas oszczerstwa, zdradzają, kłamią, manipulują, kiedy przestajemy być wiernymi sobie – zadajemy sobie śmierć duchową. Rysują się na nas bliźni, o których istnieniu nie mówimy nikomu. Taki cichy cmentarz za

życia. Pozbywamy się kłów, pazurów, przestajemy pielęgnować intuicyjne patrzenie na świat, pozbawiamy się pierwotnego zmysłu powonienia, dzięki któremu można rozpoznać, kto jest swój, a kto wróg. Tracimy to wszystko na rzecz złudnych błyskotek materialnych.

Patrzyłam na tych ludzi i zazdrościłam im jedności, którą byli. Zazdrościłam im umiejętności prostego radzenia sobie z problemami. Ja też muszę tak żyć. Chcę stanąć twarzą w twarz z Joachimem, wrzucić do mojej trumny to, co stare i niepasujące, przecież już dawno przyszedł na to czas. Odświętnie się ubrać i żyć, budując każdego dnia to, co piękne i nowe. Szeptucha dała mi znak, że mogę już wracać do domu, ale nie chciałam. Wypiłam czarną kawę, zjadłam domowy placek i trwałam z nimi.

Wróciłyśmy dopiero nad ranem. Marzena była niezastąpiona, cały czas pomagała mi przy córce, a ja załatwiałam swoje sprawy. Nie wiem, kiedy jej się odwdzięczę, zapewne przyjdzie i na to czas. Babuszka wypła jakąś miksturę i dalej odmawiała różaniec, niedługo miała iść na pogrzeb Korallukowej, a ja padłam na łóżko. Przed snem myślałam, jak oni wykopią dół w tak twardej, listopadowej ziemi. Ale pewnie i na to mają swoje sposoby. Kiedy się obudziłam w końcu spojrzałam z miłością na swoją Marynię. Stale pod opieką obcych, prawie bez matki. Czas wracać do domu, czas odgruzować moją własną ziemię i porozmawiać z Joachimem, z Władkiem, który ciągle do mnie pisał i straszył, że zjawi się w Wałpuszu. Właściwie już nie bałam się jego gróźb, mąż mnie zdradził, a ja nie pozostałam mu dłużna. Nie czułam się winna. Wina odeszła, kiedy zobaczyłam go z tą czarną zołą w łóżku.

Zima zataczała coraz szersze koło. Przyszła szybko i nie chciała puścić. Niedawne roztopy zamarzły tej nocy. Znów dosięgły nas szpony lodowej pani. Wieczorami czułam, jak napierała na nasz niewielki, podlaski dom. Skuwała mrozem dach, okna, całe domostwo jakby kurczyło się pod jej majestatem. Już wiedziałam, że wezmę roczny urlop zdrowotny, żeby odpocząć od pracy, szkoły. Pobyt tutaj tylko upewnił mnie w podjęciu decyzji. Dziś w nocy również usiadłam do pisania. W tych magicznych chwilach pomiędzy dźwiękiem klawiatury a zapachem ciepłej imbirowej herbaty miałam poczucie niewysłowionego szczęścia. Stawałam się czarownicą, która za pomocą słów gotowała swoje zmyślane strawy ku uciechu strapionych serc czytelników.

---

\* Wszywany ręcznik, ważny element tradycji białoruskiej i ukraińskiej.

\*\* Kąt izby, pokoju o szczególnym znaczeniu.

# Legenda o wilku i karibu

W odległych czasach były tylko oceany, wiatr i ziemia. Nie istniało nic, co umiałoby latać, biegać na czterech łapach i pływać w głębinach. Po zielonej ziemi chodzili tylko kobieta, mężczyzna i ich dzieci. Pewnego dnia znużenie i senność zaczęły zasnuwać ciemną mgłą wszystko, co stało im na drodze. Opadały na kolorowe krzewy, mroziły szmaragdowe drzewa, a świat zaczynał przypominać chłodne i ciemne pustkowia. Ludzie dotknięci głębokim marazmem stawali się coraz chudszy i mniejszy, lodowate powietrze owiewało ciała ich dzieci. Kobieta ostatkiem sił otuliła się swoimi włosami, przedarła się przez śniegowe zasy, zapukała do wrót granatowego nieba.

– Och, Kaila, Kaila, uratuj nas! Panie z dobrego nieba, nudzimy się tak, że moglibyśmy wydłubać sobie oczy, a z każdym dniem coraz większa martwota ogarnia duszę i ciało. Moje włosy niegdyś pełne blasku, łamią się przy każdym dotknięciu, a dzieci tępo patrzą w niebo i na ściany gołych lasów. Nasz dom, zdmuchnięty przez arktyczne powietrze, nie daje schronienia. O Kaila, Kaila, pomóż nam!

Naraz kobieta usłyszała odpowiedź:

– Idź i zrób dziurę w lodzie, ale nie patrz w nią, tylko włóż w nią rękę i zobacz, co wyciągniesz.

Udała się więc nad zamrożone morze, a bosa stopy przyklejały się do lodu przy każdym stąpieniu. Woda była lodowata, aż z bólu zaskrzypiały kości matki, ale wiedzioną nadzieją daną przez boga zaczęła jedno po drugim wyciągać z przerębla różne zwierzęta, a ostatnim, jakie wyjęła, było karibu. Przyjrzała się jego mądrym oczom, długiemu porożu i pokrytej sierścią skórze. Kobieta wypuściła zwierzę na wolność.

Z czasem jej synowie nauczyli się polować, przynosili do domu tłuste i dorodne renifery, dzięki którym nie byli głodni i mieli zajęcie. Nie brakowało ubrań, butów ani skóry na namioty, a to wszystko dzięki karibu. Dni przechodziły w miesiące i lata. Ludziom północy zaczął doskwierać kolejny problem. Na ziemi najwięcej było chorych i starych karibu, a tych tłustych i dorodnych zaczynało brakować. Kobieta martwiła się o choroby, które mogą spaść na jej rodzinę. Znowu będzie brakowało pożywienia. Kolejny raz udała się pod gromowładne niebo i zastukała do bram:

– O Kaila, Kaila, któryś jest bogiem nieba! Twój pomysł nie był dobry, karibu stają się coraz słabsze i chore, niedługo dopadnie nas zaraza.

Kaila odpowiedział natychmiast:

– Idź do drugiej przerębli i zobacz, co z niej wyciągniesz.

Jak kazał, tak zrobiła. Tym razem wyłowiła wilka. Zanim kobieta puściła go wolno, wilk przemówił:

– Dopóki moje łapy nie dotkną ziemi, jestem duchem. Powiem innym duszom opiekującym się wilkami, aby przemówiły do swoich zwierząt i kazały im zjadać tylko chore i słabe karibu, a wtedy człowiek będzie mógł panować nad ziemią w zdrowiu.

Kobiecie na powrót oczy zaczęły płonąć nadzieją.

I tak też się stało. Na ziemi zapanowały spokój i harmonia, kobieta rodziła kolejne dzieci, przekazywała im swoją mądrość, a wraz z nią historię o powstaniu świata. Opowieść przetrwała wieki. Odtąd każdy Inuita wie, że tam, gdzie jest dobro, pojawi się również zło, tak samo wilk i karibu to jedność, gdyż karibu jest pożywieniem dla wilka, a wilk utrzymuje karibu i ludzi w pełnym zdrowiu\*.



## Moc kobiety

Wiele razy słyszałam tę legendę, w których Kaila raz jest boginią nieba, a raz bogiem. W niektórych wersjach bohaterka od razu wyciąga z przerębli wszystkie zwierzęta, w niektórych dopiero po wypowiedzeniu drugiej prośby pojawia się wilk, ale co do jednego wszystkie są zgodne. To właśnie kobieta ratuje rodzinę i świat. Ona stoi między realnym światem a mistyczną naturą, pośredniczy między niebem a ziemią. To ona, a nie mężczyzna, posiada ponadmysłowe i ponadracjonalne kompetencje, które pozwalają jej doświadczyć głosu boga. Nie wątpi w to, co widzi, tylko robi to, co czuje. Wie, że musi ratować rodzinę. Jest zmęczona, ale nie narzeka, dobrze zdaje sobie sprawę, że to ona ma naturę pośredniczącą, nie mąż czy synowie. W tej opowieści mężczyźni tylko przynoszą pożywienie, a to, co jest strawą duchową, jest domeną założycielki rodu. Jest medium, które z łatwością może rozmawiać z bóstwem i umacnia nas w przekonaniu, że kobiety XXI wieku też mogą w ten sposób rozwiązywać wielorakie trudności.

Kobieta z opowieści nie różni się od nas. Wierzy jednak swojemu „trzeciemu oku”. Nie musi o nie pytać, wątpić czy szukać, ona po prostu wie, że jest i działa wedle jego magicznej instrukcji. Dlatego powinniśmy przyjąć, że intuicja jest bardziej kobietą niż mężczyzną. Wykorzystujmy ją.

---

\* Z legendą zapoznałam się, studiując materiały dotyczące życia i wierzeń rdzennych ludów Syberii, Grenlandii, Alaski, Ameryki Północnej – Inuitów (Eskimosów), m.in. Farley Mowat, *Nie taki straszny wilk*, Warszawa 1996, s. 60, H. Grimaud, *Dzikie wariacje*, Warszawa 2007, s. 212.

# Przywołać wypuszczonego wilka

Zanim weszłam do domu, zamknęłam oczy i wzięłam kilka głębokich oddechów. Ptaki nie śpiewały, nawet wiejskie psy nie przerywały tej ciszy szczekaniem. Moich zwierząt na podwórku w ogóle nie było. Jakby zapadły się pod ziemię. Ołowiane chmury nie pozwalały przedostać się żadnemu promieniowi słonecznemu. Chyba przeczuwały nadchodzący ciężki czas. Z podwórka przed moim domem jesienią, gdy drzewa zgubią już swój przyodziewek, widać linię jeziora. Na drugim jego brzegu majaczył zarys lasu, a gdzieś w głębi ukryta była leśniczówka Bojana. Wszystko zapadało w sen: kolory ziemi, emocje noszone w sercu, zwierzęta, rośliny, nawet mój mazurski dom poszarzał. Okna nie uśmiechały się do słońca, z komina nie wydobywał się dym. Popsuta furтка, łechtana podmuchem wiatru zapraszała do wejścia. Bałam się wejść do środka. Nie wiedziałam, kogo i co tam zastanę. Informowałam wcześniej Joachima w mailu, że przyjeżdżam, ale nie odpisał. Bałam się, że córka zobaczy albo usłyszy coś, czego nie powinna. Myślałam, że znam swojego męża od lat, ale ten lęk przed jego reakcją tylko utwierdził mnie, jak bardzo się myliłam. Jak można bać się własnego męża, jego słów, tego, co zamierza? Jak można mieszkać latami pod jednym dachem z człowiekiem, przez którego nie jestem w stanie się wyspać, wypocząć, przez którego nawet senna niedziela może stać się polem bitwy? Każde jego wyjście wzbudzało we mnie niepokój i paniczny strach, że wróci pijany i że może to zobaczyć nasza córka. Kiedy chciał, był idealnym ojcem, a kiedy nie chciał, starałam się oszczędzić Marysi widoku pijanego ojca.

Wraz z przekroczeniem progu mieszkania znów poczułam strach. Postawiłam torby i zanim rozebrałam Marysię, naprzeciwko nas stanął Joachim. Nasze oczy spotkały się tuż nad głową córki. Na jego twarzy malowało się napięcie. Zmarszczone czoło i ściągnięte brwi potęgowały grozę spojrzenia. Był najzwyczajniej w świecie wkurwiony, a ja przestraszona. W ułamku sekundy pomyślałam: „Do cholery, co jest ze mną? Przecież to ja widziałam go z tą czarną wywłoką w łóżku!”. Marysia rozładowała napięcie, wtulając się w jego nogi. Zaprowadził nas do kuchni i stawiając talerze z zupą na stole, powiedział:

– Przespałaś się z nim?

Łyżka z ziemniakiem, którą trzymałam w dłoniach, wypadła na stół, zakrztusiłam się. Poczułam

mocne uderzenie męskiej ręki w plecy.

– Boże, dzięki, chyba bym się udusiła – wymamrotałam, łapczywie łapiąc powietrze. Oczywiście wysiłku zaszczyliły mi łzami.

– Nie zmieniaj tematu. Przespałaś się z nim czy nie. – Joachim nie ustępował.

Jednak się nie przesłyszałam. Wziął Marysię na ręce, zaniósł do dużego pokoju i włączył program z bajkami. Przez ułamek sekundy zastanawiałam się, co wie, co jeszcze mogę nakłamać, żeby wyjść z tego cało. Czy Władek tu był, a może on blefuje? Siadł przede mną i drążył:

– Nie odpowiedziałaś na pytanie. – Ścisnął obie ręce przed sobą.

– A ty się z nią przespałeś? – Stanowczo zaczęłam odpierać jego atak. Zupełnie nie wiedziałam, jak z tego wybrnąć.

– Nie wiem... – odpowiedział z satysfakcją w głosie.

– Ja też nie wiem... – Kończąc zupełną, wrzuciłam z hukiem łyżkę na talerz. Poczułam w sobie odwagę. Przecież on też zawinił, nie będę się kajać!

– Jaśmina, co ty wygadujesz? Co się w tym domu w ogóle dzieje? Pewnie byłaś teraz u niego, co? Co to jest za facet? Skąd ty go wytrzasnęłaś?

– Nie byłam u niego. Musiałam pobyć sama, żeby to wszystko sobie poukładać. A ty co? Tak się napiłeś, że nie wiesz, czy się przespałeś z tą blacharą?

– Sama ją tu sprowadziłaś, a tak w ogóle bardzo dobrze masuje. – Na samą myśl podniosły mu się kąciki ust w błogim uśmiechu.

– Pewnie nie tylko nogę? Ale co ty możesz wiedzieć, biedaku. Pewnie i tak nic nie pamiętasz. – Krzyżując ręce na piersiach, zaczęłam bujać się na krześle.

– Masz mi to wyjaśnić. Co to jest za facet? – pytał dalej.

– To jest mój kolega, który chyba stał się psychopatą! Łazi za mną już od ponad pół roku! Nie przespałam się z nim! Po prostu jest moim kolegą z lat szkolnych. Spotkałam go kiedyś przypadkiem w Olsztynie, a potem od słowa do słowa, sam powinieneś wiedzieć! – wykrzyczałam z do tej pory tłumioną złością.

Trochę nakłamałam, ale przecież tak właśnie było, zaczęło się niewinnie od słowa do słowa, a potem słowo ciałem się stało.

– Ładny mi kolega! Przyjechał tu mówiąc, że cię kocha, że ja jestem tyranem, i kazał mi wziąć z tobą rozwód! Czy ty to rozumiesz?! Jaśmina, co to jest za historia?! – zaczął tak wymachiwać rękami, że zbił talerz, a wstając od stołu, mało się nie przewrócił o własne nogi.

Skuliłam się, obejmując się ramionami. Na chwilę przykleiłam się do krzesła.

Mówił dalej:

– Dałem mu kilka razy po mordzie i wywaliłem za drzwi! Co to za palant! Czy to jest twój kochanek? Jaśmina, odpowiadaj!

– Nie drzyj się tak, bo Marysia usłyszy! Ten facet nic dla mnie nie znaczy, przyczepił się jak pijawka! Mówiłam ci już! Ty lepiej mi powiedz, o co chodzi z tą dziewczyną. Myślisz, że z jakiego powodu stąd uciekłam? Widziałam was razem w łóżku! W naszym łóżku!

– Tak, tak nasze łóżko, dobre żarty, już od dawna nic się tam nie dzieje. – Próbował wszystko obrócić w żart.

– Joachim, za dużo pijesz! I dlatego tak to wszystko wygląda! Nawet pewnie nie wiesz, co się tamtej nocy stało! Mam dosyć ciebie, zapachu alkoholu, tych twoich superkolegów i tego, że traktujesz mnie jak powietrze! Mam tego dosyć! Co to za różnica, czy się zdradziliśmy, czy nie! Kochasz mnie jeszcze?

Po tym pytaniu zapadła długa cisza. Joachimowi nie mogło przejść przez gardło jedno z najważniejszych dla kobiety słów. Słyszeliśmy tylko dźwięk bajki dobiegający zza drzwi i radosny śmiech naszego dziecka. Czas stanął w miejscu. Dopiero teraz uzmysłowiłam sobie, że ta rozmowa będzie naszym rozwodem. Nic już nie będzie takie jak dawniej, nic. Powtórzyłam to pytanie jeszcze kilka razy, zanim on z całkowitym spokojem powiedział:

– Nie wiem. Jaśmina, przepraszam, ale nie wiem, co mam odpowiedzieć. A ty? A czy ty mnie kochasz? – Usiadł przede mną. Już się nie ciskał jak wcześniej. Chyba sam się w tym wszystkim pogubił.

– Joachim, ja też nie wiem. Musimy od siebie odpocząć, bo się pozabijamy. Ty warczysz na mnie, ja na ciebie, a tak naprawdę za to wszystko obrywa tylko Marysia. Ustalmy jakieś zasady, może któreś z nas powinno się wyprowadzić, to nie może tak wyglądać. Bez konsultacji z tobą podjęłam decyzję, że jeszcze w tym roku idę na roczny urlop zdrowotny. Muszę napisać książkę, na którą nie mam czasu, kiedy pracuję. To będzie też dobry moment, żebyśmy od siebie odpoczęli.

– A jak stracisz pracę? Przecież w tym miasteczku nie znajdziesz niczego lepszego.

– Nie mogę zakładać najgorszego scenariusza. Jestem zmęczona szkołą, tym ciągłym hałasem, tym, że nikt nie ma dla nauczycieli szacunku. Wszystkiego mam dosyć: ciebie, siebie, pracy. Chcę się poukładać na nowo, potrzebuję tego czasu. To jest moja decyzja bez względu na finał. Nie wyprowadzę się stąd, bo nie stać mnie na to, ciebie zresztą też. Trzeba tak urządzić mieszkanie, żebyśmy nie wchodzili sobie w drogę, OK? – Miałam nadzieję na szybki kompromis.

– Widzę, że już wszystko od dawna masz zaplanowane. Długo nad tym myślałaś? – Znów zaczynał swoje potyczki słowne. Irytował mnie.

– Joachim, ja chcę jak najlepiej dla dziecka. Jak przeprowadzisz się do tego pokoju przy garażu, to nic ci się nie stanie. Jest tam oddzielne wejście, będziesz miał swobodę. Nie mogę codziennie wyczekiwać z nadzieją, że wrócisz do domu. Chcesz chodzić na imprezy, to sobie chodź, ale kurewstwa w tym domu nie zniosę.

– Jakiego kurewstwa? Jaśmina, już ci tłumaczyłem, jak wyglądała sprawa z tą fizjoterapeutką! Do

niczego nie doszło.

– Ale leżałeś z nią w jednym łóżku i nic o tym nie wiedziałeś! To mnie boli bardziej niż to, czy ci stanął, czy nie! Czy ty tego nie rozumiesz?! Joachim, na Boga! Zlituj się! Ustalmy teraz, jak przez najbliższy czas będziemy żyli. Idą święta, trzeba będzie pojechać do rodziny, nie róbmy niepotrzebnych szopek, a co potem przyniesie nam życie, to się okaże. Proszę, nie utrudniaj tego wszystkiego jeszcze bardziej.

– Czyli mam się wynieść do garażu?

– Nie do garażu tylko do pokoju przylegającego do niego! Lodówkę i kuchnię będziesz miał razem ze mną. Nie wchodźmy sobie w drogę przez jakiś czas i zobaczymy, co nam z tego wyjdzie. Może któreś zatęskni za dawnym życiem. Ja w tej chwili nie wiem, czy mam dosyć ciebie czy twojego picia.

– Czy jesteś tego pewna, że chcesz takiej separacji?

– Tak, jestem zupełnie pewna.

– Zgadzam się. Tylko jak jeszcze raz zobaczę tego palanta na moim podwórku, to go zabiję.

– Spokojnie, Joachim, jeżeli ten facet jeszcze raz się tu pokaże, to sama zadzwonię po policję. Już ustaliliśmy, że ani ty, ani ja nie będziemy tu nikogo zapraszać. Tego bym nie zniosła. Co do opieki nad dzieckiem, jakoś się dogadamy. I trzeba ustalić, co z Bożym Narodzeniem. Chciałabym zaprosić na całe święta Zosię z chłopcami. Przy nich łatwiej będzie mi udawać przed Marysią, że nic się nie zmieniło. Może nawet nasza córka niczego nie zauważy. Co ty na to?

– To Zośka już o nas wie? Szybka jesteś.

– Joachim, bądź poważny! Nic jej nie mówiłam, ale prędzej czy później i tak wszyscy się dowiedzą. Wyobrażasz sobie nas przy wigilijnym stole? Nasze rozmowy, spojrzenia, sztuczne uśmiechy? Myślałeś o tym? Ona też nie ma co ze sobą zrobić. U nas jest więcej miejsca, będzie nam wszystkim łatwiej. Poza tym i tak ja gotuję i sprzątam. Ty tego nie robisz, a Zosia mi we wszystkim pomoże.

– No tak! Przecież ja nic, zupełnie nic w tym domu nie robię! Drewna na opał nie przywożę, śmieci nie wyrzucam, szafek nie przykręcam! Twoim zdaniem nic, zupełnie nic nie robię, tylko leżę i piję piwo! – mówił podniesionym głosem. Wydawało się, że wypełnił swoją agresją całą kuchnię, od podłogi po sufit. Przeszły mnie ciarki.

– Joachim, nie krzycz, proszę cię, nie krzycz. Nie będziemy teraz licytować kto więcej sprząta. Znowu nie możemy ze sobą normalnie rozmawiać. Zgadzasz się na tę wigilię czy nie? Przeniesiesz się do drugiego pokoju?

Mamrotał coś pod nosem, że go własna żona z domu wyrzuca, już nie mogłam tego słuchać, zatkałam sobie uszy i czekałam na werdykt.

– Dobra, zgadzam się. Ale nawet nie myśl o tym, że zabierzesz mi Marysię.

– Skąd ten pomysł? Człowieku, opanuj się, jak na razie to sam sobie ograniczasz kontakt z nią, bo



albo jesteś pod wpływem alkoholu, albo cię w ogóle nie ma.

– Bo zarabiam na ten dom! Dlatego mnie nie ma! A w przeciwieństwie do jej mamusi nie puszczam się z obcymi dziadami!

– Nie obrażaj mnie! Po za tym lepiej z dziadami niż z blacharami!

– Nawet jej palcem nie dotknąłem! Sama mi do łóżka wlaźła!

– Dobra, Joachim, przestańmy! Rachunki mamy wyrównane: jeden do jednego dla nas. Zakończmy ten pojedynek remisem i zacznijmy nową rozgrywkę już na zupełnie innych zasadach.

– Myślisz, że tak łatwo ci to wszystko odpuszczę?! To wszystko twoja wina! To ty mnie zdradziłeś!

– Joachim, nie poniżaj się. Jeśli nawet doszłoby do formalnego rozstania, to ja mam zdjęcia, jak leżysz z tą łajzą w łóżku i jak cały dom zarzygałeś! Nic nie będzie z mojej winy!

Wstał od stołu, prawie rzucając krzesłem z wściekłości. Celując we mnie wskazującym palcem, rzucił na odchodne:

– Jeszcze cię załatwię. – Poszedł pakować swoje rzeczy.

Kłótnia, awantura, krzyki. Podobno każdy kij ma dwa końce. Nie wiedziałam, jak się zachować, żeby nie wywoływać kłótni. Nie zamierzałam milczeć. Każde słowo potęgowało w nas rosnący gniew. Nie umieliśmy normalnie rozmawiać. Bałam się konfrontacji, ale jak widać, zupełnie niepotrzebnie. Wszystko samo się rozwiązało, tylko nie podejrzewałam, że Władek posunie się aż tak daleko. Nawet nie chciałam pytać męża, czy mu mocno przyłożył. Strasznie to jest trudne. Między wyobrażaniem sobie pewnych sytuacji a przeżyciem czegoś jest kosmiczna przepaść. Nigdy do końca nie wiemy, jak zachowalibyśmy się w danej sytuacji, dopóki się w niej nie znajdziemy. W ciągu kolejnych dni nasze relacje polegały jedynie na wymianie ciosów, przytyków i złośliwości. Prawie w ogóle się z nim nie widywałam. Jadał chyba na mieście, bo w kuchni też rzadko się widywaliśmy. Nawet kiedy coś ugotowałam i mówiłam, żeby się poczęstował, odmawiał. Było mi cholernie przykro. Nie tęskniłam za nim, tylko za normalnością, jak dawniej. Zabierał Marysię na spacer, wycieczki. Kiedy wyciągał do niej ręce, a ona wtulała się w niego, czułam nieopisany żal i smutek, że moje dziecko nie będzie miało pełnej rodziny. Były takie dni, kiedy chciałam się z nim pogodzić, spróbować od nowa, ale gdy zasypiał w dużym pokoju przed telewizorem, roztaczając dookoła kolosalny bałagan: skarpety, brudne talerze, cuchnące smarami ubrania, przechodziło mi jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Chodziłam do niego nocami, popatrzeć, jak śpi. Chciałam, żeby ktoś mnie przytulił, ale kiedy widziałam, że znów się nie umył i położył spać w tym, w czym wrócił z warsztatu, odechciewało się choćby najdrobniejszych pieszczot. Czasami jeździliśmy razem na zakupy. Taki zwykły normalny dzień szarych ludzi, tyle że ja wkładałam do koszyka oliwę, a on butelki z piwem. Nie próbowałam nawet zwracać mu uwagi, bo przecież nie takie były ustalenia. Myślałam, że uda się zjednoczyć nasze światy w tych warunkach, ale brakowało mi sił, a może raczej chęci.

Były też dobre strony tej separacji. Odzyskałam tak bardzo potrzebny do życia czas i niezależność. Nawet nie zdawałam sobie sprawy z tego, ile czasu zabierało mi pielęgnowanie męża albo uprzątnięcie spraw po nim. Już pierwszego dnia mojego długiego urlopu obudziłam się w swoim czystym i pachnącym łóżku z przekonaniem, że dzisiaj „nic nie muszę”, tylko „chcę”. Nie muszę na niego czekać, zastanawiać się, o której wróci z warsztatu, nie muszę czyścić jego poplamionych ubrań, nie muszę wyczekiwać, kiedy wróci od swoich kumpli, słuchać bzdurnego telewizora, bo po moich uwagach załatwił sobie własny. Nie muszę sprzątać pokoju, w którym przebywa, a który z biegiem czasu zaczął wyglądać jak melina (nawet pościeli nie zmieniał, nie przeszkadzały mu też resztki jedzenia pozostawione na talerzach, a co dopiero mówić o zalegającym kurzu). Dopadała mnie czasami myśl, że stałam się zupełną egoistką. Przecież każde małżeństwo wygląda tak, że się sobie nawzajem pomaga, sprząta, ma wspólne sprawy. Wszystkie poradniki mówią, żeby sobie wybaczać i starać się nie rozpamiętywać tego, co złe, co za nami.

Dziwiłam się samej sobie, bo wraz z upływem czasu samotność zaczynała mi służyć. Były takie dni, kiedy budziłam się i zdawałam sobie sprawę z tego, że nie muszę robić niczego, co wniosłoby w moje życie zamieszanie. Świadomie wybrałam ciszę i spokój. Nie chciałam żadnego mężczyzny i związanych z nim problemów. Chciałam mieć siebie na własność, byłam sama sobie najbardziej potrzebna, więc wybrałam. Wyrzuty sumienia pojawiały się najczęściej, gdy patrzyłam na Marysię, ale odganiałam je, wiedząc, że zawsze może być gorzej. Nastał teraz czas dla mnie i dziecka. Czas zimowych porządków i wieczorów spędzanych przy klawiaturze komputera, czas, który był łaskawy, bo zamykał mnie w ciepłym domu przy kubku kawy czy gorącej herbaty zakrapianej wiatrem i deszczem. Próbowałam sobie wytłumaczyć ten świat tak, że bym nie przypłaciła tego wszystkiego chorobą psychiczną. Kołysałam sama siebie w takt własnej melodii.

Oczyszczenie przychodziło nocami. Nie krzątałam się po kuchni, jak zwykle miałam w zwyczaju, przygotowując produkty albo obiad na kolejny dzień. Robiłam to wszystko w określonej porze dnia, bez pośpiechu. Moje ruchy jakby zwolniły, nie chciałam poganiać ciała, ani myśli. Świat za oknem witał mnie w zimowym uśpieniu. Marysia co prawda chodziła do przedszkola, ale były takie dni, kiedy zostawała ze mną i byliśmy tylko dla siebie. Spałyśmy razem w sypialni. Lubiłam jej niewinny zapach, a niedbale rozrzucone włoski na kołdrze mogłabym głaskać bez końca. Zaparzałam herbatę i całkiem świadoma tego, co się wydarzyło, zasiadałam do pisania romansu. Zastanawiało mnie tylko jedno: gdzie podziała się moja wilczyca? Nie chodziło mi o domowe zwierzęta, bo jak się okazało, psy niekarmione regularnie przez Joachima zawędrowały aż do Mietka i tam spędziły tych kilka dni, kiedy mnie nie było. Szukałam mojej wewnętrznej wilczej przewodniczki, która co jakiś czas przychodziła do mnie w snach albo w bardzo dziwnych wizjach. Najczęściej po zabawie z kartami tarota. Czulałam jej ducha w sobie, ale nie było dookoła żadnych śladów, które mogłaby zostawić, żadnych znaków. Jeszcze niedawno miałam wrażenie, jakby prowadziła mnie za rękę przez te życiowe manowce, a teraz? Przecież nie jestem mniej uduchowiona, nie pozbyłam się problemów, wręcz przeciwnie –

urośli do jeszcze większych rozmiarów. Czytałam książki, coraz częściej medytowałam, wkładając problemy „do łodzi”. Oczy i duszę miałam naprawdę szeroko otwarte. Chłonełam moją mazurską przyrodę każdym porem skóry, na każdym spacerze do wiejskiego sklepiczku czułam pod stopami wdzięczność do ziemi i świata, w którym żyję. Bardzo chciałam, żeby przyśniła mi się wilczyca. Czytałam więc przed snem o wilkach, pisałam o nich opowiadania, zgłębiałam legendy, w których pojawiały się te magiczne zwierzęta, ale nie przychodziła. Nie czułam się jednak opuszczona, zagubiona w tym wszystkim. Miałam wrażenie, że stoi gdzieś z boku i mnie bacznie obserwuje, pilnując, czy sobie poradzę bez jej pomocy. Niewidzialny obserwator mojego życia. Byłoby mi łatwiej, gdyby przyszła i powiedziała, co mam robić, choćby się pokazała na chwileczkę, na drobny ułamek sekundy, aż pewnego dnia...

Wstałam wcześniej niż zwykle. Dookoła wszystko spało pod puchową pierzyną, świat okrywał się śniegiem, a Marysia otulała się nową pościelą w renifery i białe gwiazdki. Staralam się po cichu zejść do kuchni, ale drewniane schody również miały ochotę się przywitać i skrzypiały przy każdym kroku. Świąteczne, kremowe lampki, które zawiesiłam na framudze okna, oświetlały mi drogę. Uwielbiam świąteczne dekoracje. Napęniają dom ciepłem i rozświetlają mroczne dni. Na nogi włożyłam wełniane skarpety, jeszcze mocniej zawiązałam kremowy szlafrok i zaparzyłam kawy. Miałam ochotę na mleczną piankę i napar z ekspresu. Nic tak nie pobudza porannych zmysłów do pracy jak dobra kawa. Czasem miałam ją w starym młynku z korbką odziedziczonym po babci, innym razem wolałam iść na ławiznę i tylko wsypać pachnące ziarenka do ekspresu, kiedy indziej znowu tylko zalewałam wrzątkiem miąż, a jeszcze inne okazje skłaniały do zaparzania jej w kafeterce.

Wyjrzałam przez okno, było ciemno i cicho. Gdzieniegdzie dało się zauważyć opadające płatki śniegu. Nie zdziwiłabym się, gdyby przeleciała przez podwórze jakaś czarownica na miotle albo zaprzęg reniferów ze Świętym Mikołajem. Na Mazurach może się zdarzyć wszystko. Niewidzialne duchy tych miejsc oplatają serca zielonym igliwem albo blaskiem gwiazd. Dokądkolwiek byś pojechał, będziesz miał przed oczami znane obrazy. Tu zawsze chce się wracać. Zapaliłam świecę stojącą na kuchennym parapecie. Bardzo lubiłam jej światło, wstawiłam ją do drewnianego lampionu ze szklanymi drzwiczkami. Jeszcze chwilę stałam nad jej nikłym płomieniem, wciągając zapach wanilii wymieszany z aromatem kawy. Chwyciłam filiżankę i usiadłam na krześle, opierając się o ścianę. Światło lampek odbijało się od szyby i mieniło mlecznym blaskiem na drewnianej podłodze. Siedziałam tak przyklejona do mroku za oknem i głuchoj ciszy, przerywanej raz po raz mruzeniem rudego kota. Miałam wrażenie, że ta ciemność za oknem jest moja, podobnie jak chłód bijący od jeziora czy trzeszczące na mroźnym wietrze gałęzie. Opowiadałam sobie ten mazurski świat, wypełniałam nim dni od samego rana, przez popołudniowe brzegi po końce zmierzchów. Każda pora roku ma swój urok. Latem można usiąść z kawą na ganku obrośniętym winoroślą, kwiatami i słuchać deszczu, jak dudni o parapet. Zamknąć oczy i wsłuchiwać się w szept opowiadanych przez krople historii.

Byłam wdzięczna za ten spokój, gdzieś w tyle głowy kłębiły się myśli, że tak nie będzie zawsze, ale byłam wdzięczna choć za tę nastrojową chwilę. Karmiłam się nią jak najbardziej smakowitym daniem. Dzieliłam ją na drobne porcje i powoli połykałam, delektując się tym kunsztownym świątecznym smakiem.

Podjadałam suszone jabłka. Tak zasmakowały mi u szeptuchy, że zaczęłam robić takie same. Ich miękkość i słodycz sprawiały, że rozpływały się w ustach. Wyciągnęłam przepiśnik i zaczęłam robić notatki. Nastrojowe piosenki z głośników radia, dźwięk dzwoneczków, zasmarkane nosy, zalew pomysłów gospodyń domowych na pyszne dania coraz częściej przypominały o nadchodzących świętach i Wigilii. Kiedy nie wiedziałam, jak przygotować duże przyjęcie, zawsze robiłam spis najpotrzebniejszych produktów i dań, a potem wybierałam z niego najlepsze i tworzyłam minikonspekt. Każdą potrawę trzeba przygotować wcześniej, albo kupić, i odpowiednio zamrozić. Na moim stole wigilijnym musiały się pojawić paszteciki z grzybami, domowej roboty barszcz, pierogi z soczewicą i kapustą, zupa owocowa, ciasto marchewkowe i pierniki, obowiązkowo karp w galarecie i wiele, wiele innych. Nie wiem, czy jakikolwiek mężczyzna byłby w stanie sam przygotować takie duże przedsięwzięcie. Mnie też szło to zawsze opornie, może dlatego, że nigdy nie miałam na to dość czasu? Teraz jest zupełnie inaczej. Mogę kontemplować każdą chwilę, aż do końca urlopu, przecież nieprędko się powtórzy. Następnym razem zwolnię tempo chyba dopiero na emeryturze. Wzięłam kolejny łyk kawy i włączyłam jedną z ulubionych płyt. Odtwarzacze stały w kuchni i w pokoju Marysi. Kiedy gotowałam, a czasem musiałam się do tego niestety zmuszać, wolałam to robić przy dźwiękach ulubionych piosenek. Tym razem Magda Umer i Janusz Gajos w elektryzującym duecie. Jej aksamitna barwa i jego męski głos. Popłynęły dźwięki, rozganiając ciszę:

*Nie zagram już*

*Żadnej z ról*

*Upomnę się dziś o mój śmiech*

*O sens i ból*

*Nawet o ból*

*Nie à propos*

*A życiem moim żyć wolę*

*Gdyby pytał ktoś*

*Ja po siebie wracam*

*(...)*

*Pa! Role*

*Pa! Role (...)\**

Ja chyba też wracam po siebie. I nie zagram więcej żadnej z tych ról. Niech pozostaną tylko matka. Czas żony już się wypełnił. Może kiedyś ktoś tam na górze mi wybaczy, może Marysia pochyli się nad siwą głową matki i szepnie do ucha: „Mamo, wybaczam”. Nie chcę jej ranić, ale tym bardziej nie chcę żyć w kłamstwie, jak wiele kobiet. Może kiedyś wybaczy. Targają mną wyrzuty sumienia, ale czy lepiej jest udawać, że się kogoś kocha? Może pora się rozstać? Muszę temu sprostać i poddać się tej decyzji.

Wpisywałam kolejną potrawę, która miała umilić nam świąteczny wieczór, gdy wtem usłyszałam tuż pod oknem skowyt. Przerazający pisk od razu zamienił się w głośne szczekanie. To nie były moje kundły, ich nawoływania rozpoznałabym od razu. Podeszłam do okna i zobaczyłam jakieś duże zwierzę przypominające wilka, biegające chaotycznie po zaśnieżonym podwórku. Przeskoczyło przez płot i zniknęło. Początkowo myślałam, że to jakiś bezpieczny, dziki pies, ale nie zdążyłam odejść od okna, gdy znów z głośnym szczekaniem pojawiło się na podwórku. Cholera! Zaraz obudzi Marysię! Aż strach wychodzić. Nie widziałam go dokładnie, bo było ciemno, ale kiedy zwierzę stanęło przy zaśnieżonej jabłonce, na której zawiesiłam świąteczne lampki, zauważyłam, że ma wystające żebra. Przecież to Luna! Nie myślałam o tym, żeby cokolwiek na siebie włożyć. Tak jak stałam, wybiegłam przed dom. Gdy tylko mnie zobaczyła, zaczęła machać ogonem i szczekać. Nie dawała się w ogóle pogłaskać, próbowałam zagonić ją do domu, ale mi się nie udało. Biegała koło domu, a kiedy ją wołałam, przybiegała i znowu uciekała, głośno ujadając. Miała na szyi porządną, skórzaną obrozę z widocznym adresownikiem. Widocznie Bojan w końcu o nią zadbał, a suka jak zwykle uciekała. Chciałam ją złapać, ale bezskutecznie. Byłam już przemoczona i przemarznięta. Nie włożyłam nawet butów. Skarpety powoli przymarzały do stóp, jak nic zaraz sobie je odmrozę. Krzyczałam coraz głośniej: „Luna, Luna, chodź tu!”, aż w jednej chwili otworzyły się drzwi od garażu i stanął w nich Joachim z łopata. Wyszedł bladym świtem odsnieżyć posesję. Suka, gdy tylko zauważyła mężczyznę, od razu wtuliła mu się w nogi i wbiegła do garażu.

– Joachim, zamknij drzwi! To pies naszego leśniczego! Trzeba będzie mu ją odwieźć! – krzyknęłam, powoli chowając się w domu.

– Jakiego leśniczego! Co tu się, kurwa, znowu dzieje, kolejny twój chłop? – Wymachując szuflą, mało się nie opluł z wściekłości.

Spojrzałam na niego z politowaniem, znowu poczułam narastającą falę złości. Krzyknęłam:

– Odpieprz się! – Nie chciałam już niczego tłumaczyć. Jedno jego zdanie wystarczyło, żebym poczuła jednoznacznie, że to już koniec.

Zeszłam do garażu, żeby oczyścić Lunie łapy. Joachim coś wykrzykiwał, mówił, że nie zasłużył sobie jako mój mąż na takie traktowanie. Nie odpowiedziałam mu, po prostu milczałam, wzięłam psa na swoje terytorium i pobiegłyśmy od razu do pokoju Marysi. Córka już oczywiście nie spała. Na zegarku było wpół do siódmej. Suka wachała każdy kąt i nie mogła znaleźć sobie miejsca. Stawała na

tylnych łapach, przednie kładąc na parapecie, szukała wyjścia nawet przez okno. Gdy tylko zobaczyła rudą kotkę, rzuciła się na drzwi. Ledwo zdążyłam je zamknąć. Postanowiłam, że zapakuję Marysię i psa do samochodu. Zaraz po przedszkolu odwiozę Lunę Bojanowi, bo albo tam się coś stało, albo najzwyczajniej w świecie suka znowu dostanie łomot od pana.

Wsadziłam Lunę do bagażnika, ale w obawie, że przejdzie na tył samochodu Marysię wraz z fotelikiem przesadziłam na miejsce pasażera koło kierowcy. Wiedziałam, co robię, bo już po pierwszych minutach jazdy suka wdrapała się na tylne siedzenia i zaczęła nerwowo poszczekiwać tuż nad moim uchem. Myślałam, że je odgryzie. W końcu znalazła swoje miejsce, zwinęła się w kłębek i położyła, czekając na rozwój wydarzeń. Kiedy wysadzałam Marysię, za wszelką cenę próbowała wyjść z nami, ale w porę zdążyłam zatrzasać drzwi. Teraz już do przedszkola nie odprowadzało nas szczekanie, tylko przeciągłe i smutne wycie. Intuicja podpowiadała mi, że coś się wydarzyło, ale starałam się jej nie słuchać.

Droga do leśniczówki była zaśnieżona. Raz wpadłam w niewielki poślizg, który suka przypłaciła skokiem na szybę. Szybko wgramoliła się na fotelik dziecka. Jazda z tym psem nie należała do bezpiecznych, jej poszczekiwanie tylko rozpraszały moje nieudolne próby skupienia uwagi na drodze. Nie zapowiadał się słoneczny dzień, wręcz przeciwnie, kredowe do tej pory chmury przybrały brudnawy odcień. Szarobiały las smagany wiatrem poruszał gałęziami, a ja w duchu modliłam się, żeby się gdzieś nie zakopać. Co chwila na przednią szybę z drzew spadał śnieg. Miałam wrażenie, że jakieś leśne lichy siedzi na drzewach i specjalnie strzepuje go na mnie. Zimą, kiedy noce są takie długie, a dni krótkie, wszystko jest możliwe. Zimą ludzie zawsze widzieli więcej i bali się bardziej. Licho lubi przychodzić tam, gdzie jest radość i szczęście. W takich okolicznościach może zamieszkać na dłużej. Nęka chorobami, złymi myślami, szepcze do ucha najczarniejsze scenariusze, a jak wiadomo, wszelki opór nie wychodzi na zdrowie, więc się człowiek poddaje i ulega, bo tak wygodniej. Myśleć nie trzeba, szukać pomocy nie trzeba, ale zapaść się pod kołdrę trzeba. Bojan właśnie taki był. Nie pozwalał odejść zmarłej żonie. Alkohol go nie wyleczy. Czemu akurat teraz o tym myślałam? Leśne lichy, cholerne leśne lichy zawitało tej zimy także do mojego domu, ale nie pozwolę mu zagościć tu na dłużej. Niech idzie gdzieś dalej. I na to znajdziemy sposób.

Kiedy znajdowałyśmy się tuż za zakrętem do leśniczówki Luna zaczęła drapać pazurami w szybę. Jechałam naprawdę wolno, próbowałam ją głaskać między zmianą biegów a trzymaniem kierownicy, ale nie skutkowało. Zachowywała się, jakby mnie w ogóle nie było, a jej psie szaleństwo nabierało dopiero mocy. Szarpała się, wyła, szczekała, zeszkakiwała na wycieraczkę, potem zaraz wskakiwała na fotelik, była całkowicie nie do opanowania. Myślałam tylko o tym, żeby bezpiecznie dojechać. Skręcając na podjazd przed chatą, już wiedziałam, że coś jest nie tak. Drzwi wejściowe były otwarte na oścież. Ślady dużych butów na śniegu prowadziły za dom. Były już lekko przyprószone, nie wyglądały na świeże. Najpierw wypuściłam Lunę, a sama zostałam w samochodzie. Pobiegła od razu tam, gdzie prowadziły ślady na śniegu. Wyobrażałam sobie wszystko, od rozkładających się zwłok

leśniczego po niecny podstęp Władka, żeby złapać mnie w pułapkę i zgwałcić. Zamknęłam się w samochodzie, serce waliło jak opętane, szukałam czegoś ostrego. Pod swoim siedzeniem znalazłam niewielką saperkę. Wzięłam kilka głębszych oddechów i wyszłam.

Bałam się, a półmrok potęgował mój lęk. Poszłam za dom, ale niczego nie zauważyłam. Luna czekała gdzieś niedaleko, ale jej ślady na śniegu były dosłownie wszędzie. Nie byłam w stanie z nich wyczytać, dokąd pobiegła. Tuż nad moją głową przeleciał czarny kruk i zawisł w powietrzu kilkadziesiąt metrów za szopą. Po chwili przyleciał kolejny. Natychmiast przypomniałam sobie obraz szeptuchy, która idąc za krukami, znalazła w lesie padlinę. „Boże, tylko nie to!”, pomyślałam i ruszyłam z miejsca. Zasy nie ułatwiały przedarcia się na skraj podwórza, ale kiedy już dobiegłam, moje serce przestało bić. Zobaczyłam nieprzytomnego Bojana leżącego w kałuży krwi. Rozpięty kożuch miał zachlapaną czerwoną cieczą, która na śniegu przybrała już nieco inny, bardziej rozwodniony odcień. Przenikając w głąb białej pokrywy, utworzyła niewielkie leje i wyżłobienia. Podziurawiła śnieg, kropla, po kropli utworzyła wokół Bojana jakby bladoczerwoną haftowaną serwetę, a on, zupełnie nieruchomy, leżał pośrodku tej majestatycznej, krwistej mandali. Dopiero po chwili zauważyłam, że miał zranioną lewą rękę. Po prawej stronie leżała siekiera. Podbiegłam do niego i próbowałam obudzić mocnymi uderzeniami w przemarznięte policzki. Gdy tylko zbliżyłam się do jego twarzy, chcąc sprawdzić tętno, poczułam odór alkoholu. Dotknęłam lewej ręki... kciuk...! Już wiedziałam, co się stało. Pijany poszedł rąbać drewno i zapewne nie trafił siekierą tam, gdzie trzeba. Ciekawe, jak długo tu leży! Pobiegłam po telefon, ale oczywiście nie było zasięgu! „Boże, co ja z nim zrobię! A jak mi tu umrze?! Przecież nie dam rady wciągnąć go do samochodu! On waży ze sto kilogramów!”, pomyślałam. Jedyne, co przyszło mi do głowy, to przeciągnąć go po śniegu do leśniczówki i pojechać po pomoc. Wyciągnęłam z samochodowej apteczki bandaż i próbowałam zatamować wciąż obfite krwawienie. Kiedy już założyłam amatorski opatrunek, chwyciłam go za kożuch i z całych sił próbowałam przeciągnąć do domu. Bojan ani drgnął. Spróbowałam tak kilka razy, aż w końcu pomyślałam, że nie dam rady! Do cholery, on tu zamarźnie! Wyobraziłam sobie, jak jeżdżę po sądach, żeby opowiadać, w jakich okolicznościach znalazłam pijanego faceta, który przy mnie umarł. I pewnie jeszcze mnie oskarżą o nieudzielenie pomocy! Na Boga! Wystarczy mi problemów! Poczulałam w sobie taką złość i gniew, że aż we mnie zawrzało. Wtedy centymetr po centymetrze udało mi się zaciągnąć go do chaty. Zła na siebie i cały świat, a przede wszystkim na kolejnego zachlanego faceta, obiecałam sobie, że więcej tu nie przyjadę. Choćby stado haszczaków krążyło się pod moimi oknami, nigdy więcej!

Scena wyglądała jak z horroru. Drobna kobieta taszcząca na śniegu ogromnego faceta, który za sobą zostawiał ślady krwi. Połamałam paznokcie, przedramiona zaczęły niewiarygodnie boleć i jeszcze do tego Luna skacząca dookoła mnie i swojego nieodpowiedzialnego pana.

Kiedy już wciągnęłam go do mieszkania i położyłam na podłodze w salonie, rozpałam kominku i starałam się go jakoś ogrzać. Przyniosłam koce, wsadziłam jego stopy i ręce do misek

z ciepłą wodą. Telefon nadal nie miał zasięgu. Czułam, że ma tętno, ale nie potrafiłam ocenić jego stanu. Spakowałam swoje rzeczy i tuż przy wyjściu usłyszałam:

– O Jezuu, moja, moja, moja ręka. Ssss... auu! – Nieruchome do tej pory ciało delikatnie poruszyło się przy kominku. Bojan odzyskał przytomność. Natychmiast podbiegłam:

– Bojan! Dasz radę wstać? Jesteś znowu pijany, chłopie! Odrąbałeś sobie palec! Musi to jak najszybciej zobaczyć lekarz! Pamiętasz coś? Jak długo tam leżałeś?! – Za wszelką cenę próbowałam go podnieść.

– Jaki lekarz? Jaki palec? O matko, mój kciuk – podparł się na prawej ręce i próbował usiąść na podłodze. – Jaśmina, co ty tu robisz? Ja nie jestem pijany, tylko wczorajszy! Luna przestań mnie lizać! – Zamachnął się na sukę, która przestraszona wybiegła do drugiego pokoju.

– Zostaw ją! Gdyby nie ten pies, to byś tam zamarzł! Jak można doprowadzić się do takiego stanu? Życie ci niemiłe?! Wstawaj, jedziemy do Biskupca, tam jest najlepszy szpital, w Szczytnie nie ma czego szukać.

Nie mogłam na niego patrzeć. Wyglądał jak bezdomny. Stary kozuch, podziurawione skarpety, do tego nieprzystrzyżony zarost, przetłuszczzone włosy i te brudne ubrania. Na pewno nie zmieniał ich od kilku dni. Widziałam, że się zmieszał.

– Nie jadę do żadnego szpitala! O, zobacz! – Podniósł w moim kierunku zakrwawioną rękę – to tylko skóra wisi, kość jest cała. Żaden lekarz tu nie będzie potrzebny! – I w tej samej chwili zbliżył usta do zranionej ręki i odgryzł sobie wiszący płat skóry, wypluwając go wprost do kominka. – Widzisz? Już po sprawie. Ssss.... Cholera, ale piecze, przynieś spirytus z szafki pod zlewem, trzeba to odkazić.

Nie mogłam ruszyć się z miejsca. To nie był człowiek, on w tej leśniczówce powoli zamieniał się w dzikie zwierzę. Adrenalina pewnie jeszcze mu nie opadła, dlatego tak zrobił. Ludzie, będąc w szoku po wypadku, robią różne dziwne rzeczy. Zrobiłam, jak kazał. Przyniosłam butelkę z przezroczystą cieczą. Od razu wylał ją na palec. Widać, że go bolało, zmarszczył twarz i skulił się. Potem kazał wyciągnąć jakąś maść z barku i wysmarował nią rękę, zabandażował i padł. Oczy nadal miał otwarte. Wbijając wzrok w sufit, wymamrotał:

– Zemdlałem? Ja – Bojan, zemdlałem?! – To było i stwierdzenie i pytanie skierowane chyba do mnie.

– Tak, chłopie! Znalazłam cię za domem, w miejscu, gdzie rąbiesz drewno. Wiesz, ile tam jest krwi? Musiałeś przeciąć sobie jakąś żyłę. To trzeba komuś pokazać. Dobrze, że się nie wykrwawiłeś.

Opowiedziałam mu w wielkim skrócie, jak się tu znalazłam. W ogóle mi nie przerywał. Mówiłam, jakby ktoś mnie nakręcił. Kopnęłam go lekko w kostkę:

– Żyjesz?!

– Tak. Jestem załamany. Ja bym tam zamarzł. Jeszcze nigdy w życiu nie zemdlałem. Wczoraj



piłem, ale niedużo, tylko pół litra...

– Tylko pół litra...? – powtórzyłam z niesmakiem. – Mnie taka dawka by zabiła – dokończyłam.

– Bo ty jesteś kobietą! Chłop musi umieć pić. Ale dzisiaj miałem jechać do nadleśnictwa. – Jego głos jakby stał się łagodniejszy. Nie wyczuwałam w nim ani pychy, ani wyższości. Jednak dalej leżał niewzruszony i tępo patrzył w drewniane belki stropu.

– Bojan, musisz coś ze sobą zrobić, bo zamienisz się w jakiegoś potwora. Jak ty wyglądasz? Twoja żona umarła już dawno. Daj jej odejść. Nie trzymaj tak kurczowo przy sobie, bo sam się w końcu wybierzesz na tamten świat. Kiedy ostatni raz byłeś na jej grobie?

Milczał.

– Może warto, żebyś jeszcze raz spojrzął na datę jej śmierci? Od tego wypadku minęły już trzy lata. To nie była twoja wina, stało się. Ludzie giną w różnych okolicznościach, nie bierz tego wszystkiego na siebie. Jesteś zdrowym, silnym mężczyzną, a jak ci się życie nie podoba, to zanim popełnisz samobójstwo, podpisz papiery i oddaj komuś swoje organy! Wiesz, ile ludzi walczy teraz o życie? O to, żeby choć przez chwilę móc jeszcze patrzeć w oczy swojego dziecka, żony, matki? Kurwa, Bojan, jesteś większym egoistą ode mnie! Ogarnij się albo zrób to tak, żeby ktoś jeszcze miał z ciebie pożytek! Śmierdzisz wódką! Nawet jak nie pijesz, to śmierdzisz wódką!

W pewnej chwili stwierdziłam, że to chyba nietaktowne tak na niego krzyczeć. W końcu nie wiem, jak się czuje wdowiec, ale wiem na pewno, że jak mu ktoś nie pomoże, to zdechnie tu jak zwierzę.

– Bojan! Bojan! Czy ty mnie w ogóle słuchasz? Jest ci potrzebna pomoc specjalisty, sam sobie z tym nie poradzisz.

– Wiem – odpowiedział stalowym głosem.

Zaczynało się robić naprawdę gorąco od płomieni w kominku.

– Wiem, wiem, wiem, wiem.... – powtórzył jeszcze kilka razy, ale ani myślał wstać.

– Jedź już. Zostaw mnie tu. – Teraz głos zaczynał mu drżeć.

– No tak, i znowu wygrzebiesz alkohol i tym razem zapijesz się już na dobre?

– Nie. Zostaw mnie tu, muszę to wszystko przemyśleć. Czy ten pies naprawdę pobiegł do twojego domu?

– Tak. Luna uratowała ci życie.

Odwrócił głowę w bok, suka siedziała w odległości metra od swojego pana i w tym samym momencie podeszła do niego i zaczęła lizać po twarzy. Ogonem machała ile sił. Bojan ścisnął ją ogromnymi dłońmi za kark i jak to mają w zwyczaju wrażliwi ludzie przytulił się do niej. Zacisnął powieki, spod których wypłynęła ogromna jak łza. Czułam, że jest zmieszany. Zabrałam rzeczy i już byłam przy drzwiach, gdy usłyszałam:

– Jutro wypuszczamy młodego do lasu. Jak chcesz, możesz do nas przyjechać. Im mniej ludzi, tym lepiej, ale jestem ci coś winien. Spotykamy się o ósmej wieczorem w leśnictwie Wykno, a potem

jedziemy w teren. Tylko się nie spóźnij. I nie perfumuj się, nie maluj, najlepiej to się dziś nie myj, wilki wszystko czują. Włóż ciepłe ubrania, byle nie kozaki na obcasie. Chcesz?

– No pewnie, że chcę! Bojan, dziękuję! – wykrzyczałam z dziecięcą radością. Gdyby nie leżał na podłodze, to pewnie bym go z tej wesołości wyściskała.

– Idź już, zostaw mnie! – ryknął, trzymając dalej Lunę.

Zamknęłam drzwi i pojechałam.

Kiedy wjechałam do mojej wsi, wszystko już zbudziło się do życia. Psy szczekały, kury pogdakiwały, ziemia była mi bardziej przychylna, a przecież nic się nie zmieniło. Słońce nie wyszło zza chmur, mróz też nie zelżał, nadal mieszkalam z mężczyzną, do którego nic nie czułam. Żyłam nadzieją, że znowu zobaczę prawdziwego wilka, posłucham wycia, będę w środku lasu nasłuchiwała zwierzęcych rozmów. A może właśnie tak jest z całym naszym życiem? Może trzeba wzbudzać w sobie nadzieję, iskrę rozpalić w sercu większy płomień ufności i żyć tym. Zaufać sobie i światu, że gdzieś hen, tam w oddali jest i dla mnie przyjazne miejsce, projektować w głowie obrazy powrotów do ciepłych gniazd, wspaniałych ludzi, wierzyć w to, że to, co wydaje się końcem wszystkiego, jest dopiero początkiem nowej drogi? Zmienić sposób myślenia. Jeszcze dziś rano byłam załamana zachowaniem swoim i męża, a teraz? Wyczekuję chwili, która sprawi mi radość, tak po prostu. Może powinniśmy tak robić częściej? Szukać w głowie odpowiedzi na pytanie, co sprawi, że stanę się szczęśliwsza?

Od jakiegoś czasu starałam sobie przed snem zadawać podobne pytanie, tylko inaczej je formułowałam: „Jakie emocje w tym dniu czy roku sprawiły, że poczułam się szczęśliwa, a może to były konkretne zdarzenia?”. Zapach świeczki, aromatyczna kawa, wyjazd na Podlasie, odkrycie mojej wewnętrznej wilczycy, podjęcie trudnej decyzji o separacji... nawet to ostatnie wydarzenie z perspektywy czasu sprawiło, że poczułam się lepiej. To była nasza wspólna decyzja, nie schowałam głowy w piasek, nie udawałam, że wszystko nam się udaje, podjęłam decyzję, i już. Konsekwencje będę ponosić później, ale nikt mnie do tego nie zmuszał, serce wybrało tę drogę. Być jak kamień leżący na dnie rzeki. Czasem nurt go poruszy, a niekiedy spokojnie będzie trwał. Miałam w sobie pewien spokój, ale było go stanowczo za mało. Chciałabym umieć nie krzyżeć na Marysię, nie wściekać się na Joachima, tylko z odpowiednią dozą opanowania prowadzić dyskusję. Przecież moje zdenerwowanie niczego nie zmieni, nie sprawi, że Marysia przestanie rozrabiać, a Joachim gadać głupoty. W ten sposób mogę tylko zniszczyć swoje zdrowie i zmarnować kolejny dzień mojego życia.

Dookoła mnie jest tyle rzeczy, które tak bardzo lubię. Moje samopoczucie nie może być uzależnione od „złej kondycji” tej drugiej osoby. Lubię swoje koty, kwiaty w doniczkach nawet zimą kwitną, bo potrafię je pielęgnować, a dom wygląda przyjaźnie, lubię swoją wieś, śnieg i atmosferę, którą roztacza, bez niego nie byłoby zimowych herbat i mroźnych poranków, choinek z lampkami i wełnianych skarpet. Lubię, kiedy śnieg zasypuje mój dom z każdej strony, jak skrzypi rankiem pod

butami, jakby mówiąc „dzień dobry”. Lubię marzyć zimową porą, od dobrych myśli serce staje się jaśniejsze a umysł bardziej czysty. Lubię być kobietą. Lubię się stroić i smarować ciało pachnącymi kremami, mieć rozpuszczone włosy i czuć w nich wiatr albo sztywność mrozów. Jest dużo rzeczy, które lubię, więc dlaczego pozwalam komuś psuć ten nastrój? Nastrój mojego świadomego istnienia? Chwil, gdy jestem z moim cudownym dzieckiem. Przecież to ja ją uczę, jak odbierać świat w kolorowych czy ciemnych barwach, ona jest moją kalką, kiedy widzę, jak rozmawia z innymi ludźmi, zwierzętami, jak kontempluje naturę i las. Dlaczego sama sobie wielokrotnie już odbierałam radość z tych chwil?

Jestem spokojna i sama w domu. Szukam starej, grubej kurtki. Jest czarna i już trochę sprana, ale ma odpowiednią długość – do kolan, na pewno nie zmarznę. W ręce wpadła mi również rosyjska futrzana czapka podszyta atłasem. Wyglądam w niej jak rosyjska matrona. Uśmiecham się do odbicia w lustrze, aż dziwne, jak mi pasuje. Jeszcze wełniany fioletowy indyjski szal w czarne, lekko połyskujące wzory. Jest ciepły i bardzo go lubię. Mam już skórzane rękawiczki, botki z grubą podeszwą, nie wyglądam w nich dobrze, poszerzają łydki, ale zawsze wkładałam je na kuligi i wyprawy do lasu. Nie przemakają i co najważniejsze, są bardzo wygodne.

Na obiad odgrzałam sobie ruskie pierogi. Lubię ich smak i zapach, czasem robię sama, czasem kupuję w szczytnickiej pierogarni, zawsze są tam świeże i smaczne. Delikatnie je dosoliłam i popieprzyłam. Wypełniłam ciepłym pustym żołądek. Te najprostsze dania są chyba najsmaczniejsze. Zimą lubię również ugotować gar gorącej zupy. Fasolowa, krupnik, rosół, cebulowa, pieczarkowa, no i dyniowa są u mnie zawsze. Jestem otoczona zapachami, dobrymi myślami i zwierzętami, czegoż chcieć więcej? Za oknem zaczyna sypać śnieg, powoli robi się ciemno, choć wczesna godzina. Nie chcę jeszcze jechać po Marysię, jeszcze nie teraz, kiedy na stole paruje herbata z utartym imbirem i łyżeczką miodu. Przygotowałam już ubrania i usiadłam przy niewielkim stoliku w sypialni. Popijam herbatę, patrząc na stos piętrzących się przede mną książek, na cerkiewnego anioła w drewnianej oprawie i na rzeźbionego Jezuska w kapliczce. Lubię religijność wiejskich ludzi, ich wiarę w niezmienność świata. Pewnie dlatego kolekcjonuję dewocjonaalia, ze szczególnym uwielbieniem Maryjek i Jezusków w kapliczkach. Przywodzą mi na myśl taką miłość, która potrafi blaskiem rozbić najbardziej zatwardziałe serca, która poruszona w człowieku raz, jak dzwon echem rozniesie się po okolicy. Miłość, co wybacza najgorsze ciosy, które zadaliśmy sami sobie, sprzeciwiając się wewnętrznemu głosowi. Miłości, wiary i wolności brakuje ludziom. Takiej wolności, którą mają wilki. One same wyznaczają jej granice, wiedząc, co można, a czego nie. Podążają przez lasy do miejsc, gdzie będzie im lepiej. Nie osiadą w jednym miejscu w obawie, że ktoś je przypadkiem zobaczy i pozbawi rodziny. Stale wędrują.

Myśli szybko przepływały przeze mnie. Próbowałam te ważniejsze zapisać, żeby móc kiedyś jeszcze wykorzystać je w swojej książce. Nie mogłam uwierzyć, że udało mi się zrealizować swoje marzenia. Przecież ich nie porzucę z powodu gróźb dyrektorki o zwolnieniu, nie teraz, kiedy ktoś

otworzył przede mną tajemnicze drzwi. Wystarczy tylko się przez nie wychylić, wejść i zobaczyć, co czeka po drugiej stronie.

Joachim zgodził się zostać wieczorem z Marysią. Nie tłumaczyłam, dokąd wychodzę, on miał się zająć małą, i już. Ja też czasem wyręczałam go w opiece rodzicielskiej i nie wypytywałam o nic. Bałam się, że zboli, wołałam nie wiedzieć, tak było prościej.

Ubrałam się i wyszłam w ciemną noc. Śnieg sypał niespiesznie, wirował w powietrzu, płatki osiadały na moim nosie i czapce. Krążyły w powietrzu, wijąc nieśmiałe piruety. Z utęsknieniem czekały chyba na spotkanie z ziemią. Wiatr śpiewał leśnym zwierzętom zimową kołysankę, tym razem nie chłostał twarzy, delikatnie po niej przemykał, chował się w kieszeniach kurtki, szukał przedmiotów, które mógłby porwać i podarować lasowi. Było cicho, miałam wrażenie, że ptaki śpiewały tylko w promieniach słońca. Szary, pochmurny dzień, a tym bardziej noc sprawiały, że milkły zupełnie. Czasem tylko odzywał się samotny kruk. Samochód początkowo nie chciał zapalić i już się bałam, że nie wyjadę spod domu, ale udało się.

Gdy wjeżdżałam na posesję leśnictwa, uderzył mnie porządek, jaki tu panował. Budynek nie należał do najładniejszych. Zwykła sześcienne bryła, a dookoła niej metalowa siatka. Byłam bardzo podekscytowana i zarazem przerażona, przecież zupełnie nikogo tu nie znam. A jak Bojana w ogóle nie będzie? Pewnie będą sami mężczyźni, do których ostatnio czuję jedynie wstręt. Chwyciłam plecak i wyszłam z samochodu. Podskoczyłam, przestraszona, bo przy moim samochodzie nagle pojawił się Bojan. Nie myślałam, że po mnie wyjdzie. Nie cuchnął alkoholem, miał na sobie czystą kurtkę moro i spodnie, na chorej ręce zauważyłam profesjonalny opatrunek. Widocznie skorzystał jednak z pomocy lekarskiej, założono mu kilka szwów, ot wszystko. Był jakiś miły i pogodny. Wziął ode mnie plecak, w którym oczywiście miałam termos z gorącą herbatą i kanapki, poklepał mnie po plecach i zaprowadził do budynku.

Było tak, jak myślałam. Oprócz trzech innych mężczyzn była tam jedna kobieta, na oko starsza ode mnie o jakieś dziesięć lat. Uderzyły mnie jej piękne, sięgające łopatek, białe włosy. Nie były ufarbowane, opadały na ramiona, delikatnie falowały, kiedy się poruszała. Odbijały światło, jakby miała nad głową aureolę. Nie umalowała się, a jej lekko pomarszczona skóra delikatnie połyskiwała (zapewne od kremu) w sztucznym świetle lamp. Zdziwiło mnie, że ma długie zielone tipsy... Wyglądała prześlicznie, nawet z tymi paznokciami. Pozazdrościłam jej urody i tego wiecznego blasku. Dwaj mężczyźni wyglądali na starszych od Bojana. Jeden chudy jak patyczek, po drugim widać było, że lubi zjeść. Oczywiście wszystkie spojrzenia skierowały się na mnie. Czułam, jak ze wstydu rumieniać mi się policzki.

– To jest moja najbliższa leśna brać, a to jest Jaśmina. Od niej właśnie dostaliśmy sierść dla szczeniaka. Pojedzie z nami – stanowczym głosem oznajmił Bojan, a ja stałam jak słup soli.

Mężczyźni tylko rzucili ciche „darzbór!” i dalej wertowali mapy oraz zaglądali w komputery.

Podeszła do mnie kobieta:

– Witaj! Jestem Jagoda. – Podała mi swoją ciepłą, szczupłą dłoń. Wyglądała trochę jak anioł. Mężczyźni zupełnie nie byli zainteresowani moją obecnością.

– To co, może od razu poznasz się z naszym wilczkiem? – dodała po chwili. – Jest uroczy, ale tęskni za wolnością. Trzeba go jak najszybciej wypuścić. Chodź ze mną, a wy, panowie, kończcie już i przyjdźcie po młodego, same nie damy rady z klatką.

Chwyciła mnie za rękę i wąskim korytarzykiem poprowadziła do innego pomieszczenia. Już z oddali było słychać głośne, piskliwe wycie. Gdy tylko je usłyszałam, nieświadomie mocniej ścisnęłam rękę Jagody, ta roześmiała się i powiedziała:

– Tak, tak, to nasz Lobo, strasznie chce już do swojej rodziny. Od dwóch dni tak wyje. Nie można już tego wytrzymać. Przyszedł już czas.

Nic nie odpowiedziałam. Bo i jak tu zagać rozmowę z zupełnie obcą kobietą? I to w tak dziwnej sytuacji? Kiedy przekręciła klucz w drzwiach, wilczek zaczął głośno poszczekiwać i już po chwili zobaczyłam bardzo wysoką, metalową klatkę, w której kręciła się popielatobrązowa kulka z długim, puchatym ogonem. Nie mogłam z wrażenia złapać tchu, miałam zimne i spocone dłonie. Był dużo większy, niż to sobie wyobrażałam. Szczenię zwykłego psa nie jest aż tak masywne. Sięgał mi nad kolana, jego chude, ale umięśnione łapy stukały długimi pazurami o metalowe podbicie klatki. Podeszłam bliżej, a on podniósł nos, wyczuwając nowe zapachy. Miał bystre i czujne, piwne oczy, otoczone czarną obwódką. Przez chwilę patrzyliśmy na siebie, rozpoznając swoje intencje. Nie był mnie pewien. Był zupełnie inny niż domowy pies. Hipnotyzował mądrym spojrzeniem. Znów budziło się we mnie pragnienie wolności i szczęścia. Jagoda dostrzegła moje poruszenie, mówiąc:

– Widzę, że też robi na tobie wrażenie. Wilk to wyjątkowe zwierzę. W dzisiejszych czasach właściwie tylko leśniczowie albo ludzie związani z lasem mają okazję go zobaczyć. Dobrze, że są już w Polskiej Czerwonej Księdze Zwierząt, całkowicie pod ochroną. Tylko niestety człowiek jest taki głupi, że wciąż na niego poluje. Ani skór zgodnie z prawem nie można sprzedawać, ani mięso jego dobre, nie wiem, czemu to robią, chyba żeby ego połechtać.

– Bojan opowiadał mi o nim, ale nawet nie byłam w stanie sobie wyobrazić, że jest taki dostojny, dumny i piękny. Myślisz, że odnajdzie swoją watahę? – zapytałam zaniepokojona, pierwszy raz spojrzałam w oczy Jagody, były jasne i dobre.

– Już dawno zlokalizowaliśmy wilcze jamy, w których potencjalnie może ukrywać się jego rodzina. Wilka łatwiej jest wytropić zimą, szczególnie na świeżym śniegu, więc pogoda nam sprzyja. Mamy dwie lokalizacje. Najpierw pojedziemy na Wykeńskie Wzgórze, tam spróbujemy je złapać, a jak nie będą odpowiadały, to spróbujemy niżej, w dolinie. Gdzieś powinny być, jeszcze wczoraj były. Miejmy nadzieję, że zostały.

– Chyba daleko by nie odeszły przez jedną dobę?

– Ooo, moja droga, wilki to jedyni w swoim rodzaju piechurzy, potrafią w ciągu jednej doby przebiec nawet sto kilometrów, nawet jeśli śnieg trochę przeszkadza. Kiedy jest dużo śniegu, a po nim przyjdzie odwilż, i zaraz potem znowu przymrozi, to na śniegu tworzy się taka cienka skorupka lodu, która utrzymuje wilki na powierzchni. Potrafią po niej chodzić, nie zapadając się. Zwierzęta jeleniowate niestety grzęzną, a wilki na otwartych przestrzeniach biegną jak szalone. Są takie dzikie.

– Może... – westchnęłam, kładąc ręce na metalowej klatce.

– Możesz go pogłaskać. Szczeniaki nie są wcale takie niebezpieczne. Dopiero kiedy dojrzewają, budzą się w nich instynkty dominacji. Włóż rękawicę. Nam ufa, ale to jednak dzikie zwierzę. Nigdy nie wiadomo. – Podała mi skórzaną, długą aż pod sam łokieć, nieco podartą rękawicę i otworzyła niewielkie drzwiczki klatki.

Lobo najpierw obwąchał rękawicę, trochę ją polizał i powolnym ruchem przesunęłam ręką po jego grzbiecie. Serce mi łomotało, oczy rozwarły się, jakby ktoś włożył między powieki zapalki, nie mrugnęłam ani razu. Dreszcz podniecenia przeszył mi kręgosłup i nogi. W końcu Jagoda pozwoliła mi zdjąć rękawicę. Teraz już czułam pod palcami szorstką sierść. Wydawało się, że miejscami była miękka jak ogon króliczka. Drżała mi ręka, nie mogłam opanować dygotania. Lobo chyba wyczuł moją niepewność, bo szczerknął tak głośno, że przestraszona wyciągnęłam dłoń z klatki, odruchowo kładąc ją na piersi. Jagoda zaczęła się śmiać, a ja czułam się, jakby ktoś otworzył we mnie wrota do zupełnie innej bajki. Znowu coś we mnie zawyło, coś mówiło tam w środku: „Jesteś w dobrym punkcie, wszystko będzie dobrze, tylko idź swoją drogą i nie zbaczaj z niej, niebo zawsze daje to, co trzeba”. Patrzyłam na niego z otwartym sercem, jakbym chciała zobaczyć siebie odrodzoną na nowo. Silną, wolną, niezależną.

Nasze spotkanie przerwali leśnicy. Nadszedł już czas, by wypuścić wilka. Klatkę niosło dwóch mężczyzn. Zwierzę szarpało się, miało rozbiegany wzrok, chyba traciło poczucie bezpieczeństwa. Kiedy leśnicy wsadzili klatkę do bagażnika największego jeepa, wilczek uspokoił się. Mówili, że lubi jeździć samochodem. Później zapakowaliśmy do drugiego samochodu nadajniki, laptopy, plecaki i wyruszyliśmy. Jagoda, Bojan i ja jednym autem, pozostali leśnicy i Lobo drugim.

Śnieg sypał delikatnie, jakby miał za chwilę całkowicie przestać. Mrok lasu przecinały jedynie światła i hałas naszych samochodów. Leśna droga była słabo odśnieżona. Moją osobówką na pewno bym się nie przedarła przez to dzikie pustkowie. Bojan włączył radio i popłynęła znana melodia świątecznej piosenki radiowej Trójki: „Krok po kroku, krok po krocisku, najpiękniejsze w całym roczku, idą święta, idą święta”. Wywołała uśmiech na twarzy Jagody i mojej. Bojan kazał Jagodzie włączyć nawigację w telefonie, nie wiedział, w który rozjazd skręcić, ale szybko rozwiązał swoje wątpliwości. Przedzieraliśmy się przez zupełnie nieznaną mi las. Jechaliśmy wąską ścieżką, drzewa rosły tu bardzo gęsto. Na ich rozłożystych gałęziach leżały czapy śniegu, przy silniejszym podmuchu wiatr zrzucił je na ziemię. Cały czas jechaliśmy lekko pod górę. Z tylnego siedzenia obserwowałam

Bojana, był zamyślony i skupiony. Ciekawe, ile ma lat i jak trafił do tego lasu? Kim byli jego rodzice? Jakie kończył studia? Ciekawa byłam jego historii.

Samochód się zatrzymał. Gdy tylko mężczyźni wynieśli klatkę z wilczkiem, ten jakby znieruchomiał. Spoglądał pytająco w nasze oczy. Podnosił nos, wachając zapachy niesione przez wiatr. Nie wydał z siebie ani jednego dźwięku. Myślałam, że kiedy dotrzemy na miejsce, będzie skakał w klatce z radości, ale był troszkę zdezorientowany. Weszliśmy z klatką w gęsty las. Przeszliśmy może ze sto metrów, Jagoda szła z przodu i świeciła dużą latarką, w środku mężczyźni nieśli klatkę, a cały pochód zamykał Bojan, również oświetlając wszystkim drogę latarką. Klatka była ciężka. Zrobiliśmy mały postój. Jagoda z Bojanem nieco oddalili się od nas, szukając wilczych śladów na śniegu. Zostaliśmy w trójkę, stojąc blisko siebie, rozmawialiśmy o wilczku. Nagle usłyszeliśmy wycie. Włosy stanęły mi dęba, nogi struchlały. Wtem usłyszeliśmy je znowu. Nie mogłam wyjść ze zdumienia i przejęcia, szepnęłam do leśniczych: „To wilki?”. A ci zaczęli się śmiać. Zupełnie nie rozumiałam dlaczego. Przecież nie powiedziałam niczego głupiego. Dopiero jeden z nich wytłumaczył mi, że to Bojan zaczął już nawoływać. Prawdziwy wilk, nawet gdyby był blisko, nie dałby o sobie znać. Skąd mogłam wiedzieć? Musiałam mieć komiczny wyraz twarzy. Wyobrażając go sobie, sama zaczęłam się śmiać. I chyba pękła między nami jakaś bariera. Mężczyźni zaczęli opowiadać o wilkach, o tym, jak opiekowali się Lobo, a Bojan co chwila wył gdzieś w oddali. Kiedy już odpoczęliśmy, ruszyliśmy dalej do miejsca, w którym las nieco się przerzedzał.

W końcu znaleźliśmy się na niewielkim wzgórzu. Wyłoniło się przed nami czyste, granatowe niebo usiane gwiazdami. Nie mogłam się napatrzeć, były tak nisko, prawie jak na wyciągnięcie ręki. Teraz Jagoda zupełnie nas zaskoczyła i zaczęła nawoływać. Stanęliśmy w niewielkich odległościach od siebie, wyłączyliśmy latarki, a księżyc delikatnie oświetlał nasze twarze. Jagoda zwinęła ręce, przykładając je do ust, i zawyła. Wyła tak przeciągle i wysoko, że nie mogłam oderwać od niej wzroku. Nie krępowała się naszym towarzystwem. W jej wyciu słyszałam radość, skargę, miłość, modlitwę i śpiew. Kiedy przestała, zamilkliśmy, wsłuchując się w las i powietrze, ale nic nam nie odpowiadało. Po chwili znów odezwał się Bojan, ale jego głos był zupełnie inny, twardy, stonowany, szorstki jak sierść wilka.

Znów zapadła cisza. Teraz Bojan i Jagoda skierowali ku sobie twarze, zwinęli ręce w tuby i wspólnie zaczęli nawoływać. Kobięcy głos przenikał się z męskim basem, a we mnie narastało jakieś nieopisane rozrzewnienie. Nie mogłam się poruszyć, zamknęłam oczy i słuchałam, aż nagle dołączył się do nich najważniejszy z naszego stada, Lobo. Zupełnie niespodziewanie postanowił wołaniem odnaleźć swoją rodzinę. Spojrzałam na jego klatkę, siedział w niej spokojny, z wysoko podniesionym łbem. Widziałam tylko, jak przy każdym jego szczenięcym wyciu wydobywa się z jego pyska para. Popłynęły mi łzy, miałam nadzieję, że nikt tego nie widzi. Wyli tak jeszcze chwilę, rozmawiając z wszechświatem, a gwiazdy nad nami migotały, słuchając. Jagoda podeszła do mnie bliżej i szepnęła:

– Spróbuj. Zawyj. – Dostrzegłam na jej twarzy uśmiech.

– Nie, nie, nie umiem – odpowiedziałam zupełnie zaskoczona.

Jagoda chwyciła moje ręce, ułożyła je w tubę i znowu szepnęła, ale ciszej:

– Dasz radę. Jak się wstydzisz, to wyj ze mną.

Od kręgosłupa w dół poczułam mrowienie. W jednej chwili spociłam się ze strachu. Leśniczowie byli dość daleko, Bojan zupełnie zniknął. Oszołomiona spojrzałam w gwiazdy, zamknęłam oczy i pomyślałam: „Jak nie teraz, to kiedy?”. No właśnie, kiedy znowu ktoś pozwoli mi wyć w lesie razem z wilkami?! Przyłożyłam ręce do ust i spróbowałam. Dźwięk, jaki z siebie wydobyłam, przypominał pisk małego kurczaka, następny był podobny, ale już jakby pewniejszy. Stopniowo zyskiwałam kontrolę nad swoim głosem. Czułam, jak jego wibracje rozgrzewają moje wnętrze. Czegoś podobnego doświadczyłam na pustych nocach szeptuchy. Przerwałyśmy na chwilę tylko po to, by złapać oddech i zawyć jeszcze raz. Moja dusza usłyszała tę prośbę, poruszyła się we mnie, zadrżała, otuliła serce i pozwoliła na upuszczenie kilku łez. Pierwsza łza, ta największa, zatrzymała w sobie wspomnienie o Joachimie, o jego niegdyś kochającym ciele, dobrych i silnych dłoniach, męskości. Druga łza umknęła prawie niezauważona, a niosła w sobie winę za niedotrzymanie obietnicy wierności. Trzecia kurczowo trzymała się powiek, musiałam pomóc jej wypłynąć na wyżłobione zmarszczki. Miała w sobie strach związany z samotnym wychowaniem dziecka. Czwartej nie było, dopóki nie pomyślałam o sobie, o swoich ukrytych lękach, tajemnicach, niewypowiedzianych słowach. Ta miała największą moc oczyszczenia.

Wracałam do domu duszy, naturalnego schronienia wszystkich żywych stworzeń. Niebo było nade mną, a miłość we mnie, grzała się nią spragniona ciepła, podchodziłam do niej coraz bliżej. Nakładałam na siebie nową skórę, przybierała kształt wilczego ciała, obrastała sierścią, w której chowały się migoczące gwiazdy, ogonem zagarniała wiatr wolności, niosła zapach lasu. Serce mi się ścisnęło, bo zaczynałam rozumieć, jakiej potrzebuję watahy i plemienia.

Pojawił się Bojan i wspólnie podjęliśmy decyzję, że chyba przeniesiemy się w inne miejsce, bo naszego nawoływania pozostały bez odpowiedzi.

Staliśmy jeszcze przez chwilę w zupełnej ciszy, nasłuchiwaliliśmy trzeszczących gałęzi i szumów. W końcu mężczyźni wzięli klatkę i wszyscy skierowaliśmy się ku gęstym świerkom. Lobo zaczął ujadać, tak jakby krzyczał na nas z wyrzutem, potem rzucał się na metalowe pręty, chcąc je przegryźć. Tak się szamotał, że leśniczym wypadła klatka. Wtedy Bojan zatrzymał się, spojrzał w niebo, kazał nam zostać obok największej sosny i się nie ruszać, a sam oddalił się i znowu zawył. Chciałam zawyć razem z nim, ale Jagoda mnie powstrzymała. Wsłuchiwaliliśmy się w noc, byliśmy chyba jedynymi ludźmi w lesie, którzy rozumieli siłę milczenia, aż nagle stało się! Gdzieś z oddali, z drugiego krańca lasu wiatr przyniósł nam dźwięk, którego tak bardzo pragnęliśmy. Był cichy, ale wyraźny. Jeden z leśniczych szepnął: „Udało się, mamy je!”, ale Jagoda nie była pewna, czy to nie zdziczały pies. Te obawy rozwiały się od razu, gdyż teraz zawyło więcej głosów. Lobo oszalał, skamlał, piszczał, wył.



Wycie Bojana stało się jeszcze bardziej doniosłe, dołączyli się Jagoda i Lobo, a ja stałam oniemiała i słuchałam. Odpowiadały całą watahą. Najpierw jeden, pewnie ten najważniejszy, a dopiero po krótkiej przerwie wyły inne. Nie mogłam wyjść z podziwu, jaką mają siłę. Leśne echo niosło ich śpiew, który odbijał się od każdej napotkanej gałęzi. Teraz już im nie przeszkadzaliśmy, rozmawiały ze sobą w tylko im znanym języku. Młody wilczek i jego stado. Byłam zahipnotyzowana ich tajemnicą, którą niosły te głosy.

Gdy zamknęłam oczy, zdawało mi się, że rozumiem ich język. Lobo żalił się okrutnie, opowiadał o swoim strachu wobec ludzi, o samotności i nadziei, że kiedyś znowu ich spotka, o snach, które przychodziły w ciemnej klatce, o pustym brzuchu, który doskwierał podczas leśnej wędrówki. Nie chciałam im przerywać, ale Jagoda szepnęła:

– Teraz wyj, namierzyły go, są już coraz bliżej. Zaraz będziemy musieli się zwijać.

Nie czekałam ani minuty, teraz łączyłam się z nimi w jedno, a one odpowiadały, śpiewały, snuły baśnie i karmiły nas swymi historiami. Śpiewały tak jak inni się modlą, były żarliwe i oddane, wyznawały swojego nocnego boga, a taka wiara ma coś z cudu. Ich głos był starszy od jądra ziemi, a oczy widziały stworzenie świata, zapuszczały pazurami korzenie w ziemi, mówiły, że księżyc i gromowładne burze nadają ich życiu sens. Karmiły się spadającymi gwiazdami i powietrzem, a najcięższe wichry głaskały ich sierść. Nucily, że wśród wilków nie ma sierot, żyły ponad podziałami, znały tajemnice wszechświata.

Należały do lasu za dnia i w nocy. Nikt nie udomowi tego zwierzęcia, nikt go nie pojma, odbierając siłę, nikt nie zabierze honoru. Tak jak nikt nie schwyta nieba nad lasem, tak i nikt nie odbierze wilkowi wolności. A ten, który go ujrzy, usłyszy, ma oddać mu pokłon i pójść dalej.

I wtedy zrozumiałam, gdzie się podziła moja duchowa wilczyca. Odeszła do bardziej potrzebujących, zostawiając w sercu siłę i tajemny alfabet języka, którym mam ją przywoływać, nauczyła mnie tropić, a teraz pozwoliła wyć. Dała znać, że będzie wracać do domu mojej duszy, gdy tylko o to poproszę, ale teraz musiała już biec. Nie chciałam jej zatrzymać.

Bojan podszedł do nas od tyłu i nieźle nas wystraszył. Wilki były już blisko. Otworzył klatkę. Lobo niepewnie wychylił z niej głowę, ale nie wyszedł. Potem kilka razy zakręcił się wokół własnej osi i znowu wychylił łeb. Byłam pewna, że wybiegnie i nawet ślad po nim nie zostanie, a on bardzo ostrożnie postawił na śniegu jedną łapę, potem drugą i węszył dokoła. Bojan mówił do niego:

– Młody, dawaj do swoich, my musimy już wracać, no już, już, czas ucieka!

Lobo udawał, że go nie rozumie. Teraz był już poza klatką. Rozejrzał się i usiadł. Wyglądało na to, że w ogóle nie chce nas opuszczać. Jagoda załamała się zupełnie, mówiąc, że od początku nie należało go głaskać, żeby się nie przyzwyczaił. Przypisywała całą winę sobie. Prawie się rozpłakała. Nagle szczenię wstało, okrążyło nas dwa razy, spojrzęło w ciemną przestrzeń, zawyło i dało susa prosto między szumiące sosny. Został po nim tylko ślad łap na śniegu. Chciałam zrobić im zdjęcie

telefonem, ale Bojan i reszta poganiali. Musieliśmy jak najszybciej się oddalić, żeby wilki mogły spokojnie przyjść po malucha.

Wracaliśmy szybko, świecąc latarkami po swoich śladach. Śnieg już nie sypał, skrzypiał jedynie pod ciężkimi butami. Byłam spocona z wrażenia, trzęsły mi się jeszcze trochę nogi i ręce. Modliłam się, żeby Lobo odnalazł rodzinę. Na szczęście był na tyle duży, że udało się założyć mu nadajnik w postaci obroży. Jak tylko weszliśmy do samochodu, Bojan włączył jakiś elektroniczny sprzęt i zobaczyliśmy na monitorze czerwoną kropkę. To był Lobo. Pogratulowaliśmy sobie pomyślnie zakończonej eskapady i odjechaliśmy. Całą drogę rozmawialiśmy o wilkach. Widziałam, że Jagodzie przypadło do gustu moje towarzystwo. Okazało się, że słuchamy podobnej muzyki, czytamy te same książki, ale, o dziwo, Jagoda nie była leśniczym, była wdową po nadleśniczym i od kilku lat prowadziła targ staroci we wsi, w której mieszkała, o pięknej nazwie Czarny Piec. Stare meble i różne inne przedmioty zwoziła z całej Polski. Odnawiała je, miała również swój mały zakład stolarski. Kiedy żył mąż, było to ich wspólne hobby, teraz niestety musiała sobie radzić sama. Dostałam od niej zaproszenie i bardzo się ucieszyłam. Ja też zwoziłam do swojego domu dużo takich mebli, a moje kwiaty najczęściej stały w bardzo dziwnych doniczkach: posklejanych kaflach, dzbankach albo konewkach. Byłam tak rozemocjonowana, że nie mogłam przestać mówić. Bardzo żałowałam, że tak szybko dotarliśmy na miejsce i nadszedł czas rozstania. Polubiłam tych ludzi. Przepakowując się do swojego auta, przypomniałam sobie o herbacie, którą miałam w termosie. Była taka pogodna i rozgwieżdżona noc, że nie chciało się wracać. Oparłam się o samochód, wzięłam kubek w ręce i delektowałam się jeszcze przez chwilę jej smakiem. Bojan od razu wyczuł zapach malin i cytryn. Nalałam mu w drugi plastikowy kubeczek i podziękowałam za to niezwykle spotkanie. Przypomniałam sobie o jednej bardzo ważnej rzeczy, którą miałam schowaną i zawsze nosiłam ze sobą:

– Bojan, dziękuję za to wszystko. Nigdy nie słyszałam wilczego śpiewu, jeszcze raz dziękuję. Mam coś dla ciebie. – Nieśmiało wygrzebałam z plecaka niewielkie zawiniątko.

Na twarzy leśniczego malowało się niemałe zdziwienie.

– Proszę. To jest kieł wilka, chroni przed złymi mocami, daje siłę i odwagę. – Amulet włożyłam wprost do jego zimnej dłoni.

Bojan zaśmiał się, mówiąc:

– Jaśmina, wiesz, ile ja takich mam?

Zawsze był sarkastyczny, ale zbyt dobrze go już poznałam, żeby wiedzieć, że za tą skorupą kryje się niewyleczona depresja. Powiedziałam więc tylko:

– Ale takiego ode mnie nie masz. Ten jest wyjątkowy, bo z Podlasia, wprost z rąk szeptuchy, a to zupełnie co innego.

Przyjrzał się mu uważnie, potarł w dłoniach i schował do kieszeni, kwitując:

- Nie no, od samiuśkiej szeptuchy z podlaskiej wioseczki to ja jeszcze nic nie mam, ha, ha!
- Bojan, uważaj, z czego się śmiejesz, bo lichy nie śpi. On ci pomoże, tylko musisz tego chcieć.
- Mnie może pomóc tylko lekarz.
- Masz umówioną wizytę?
- Tak.
- Kłamiesz?
- Nie. – Odwrócił się na pięcie i odszedł do swojego jeepa. Miałam nadzieję, że mówił prawdę.

W domu nie mogłam zasnąć. Wystarczyło, że tylko zamknęłam oczy, a słyszałam wycie całego stada. Wyobrażałam sobie, jak mogły wyglądać ich ciała. Masywne czy raczej chude, z wystającymi kośćmi, takimi jakie ma Luna. Skrycie miałam nadzieję, że w tym stadzie była również moja szara wilczyca, którą poznałam tego lata. Ciekawe, co się z nią dzieje? A może Lobo to był jej syn? To spotkanie dało mi ogromną siłę. Wcale się nie dziwię legendom, w których mowa jest o czarownicach czerpiących moc ze światła księżyca. Ja dziś zrobiłam dokładnie to samo. Byłam i jestem współczesną czarownicą. Muszę robić więcej rzeczy, które mnie cieszą, które sprawiają, że jestem po prostu szczęśliwa!

Podeszłam do okna, patrzyłam w nie długo. Potem usiadłam do pisania, dokończyłam kolejny rozdział i gdy chciałam już zamknąć komputer, przyszyły do mnie słowa, które ułożyły się w wiersz:

*Przywołaj swojego wilka*

*niech da ci*

*odwagę*

*siłę*

*męstwo*

*a potem*

*wypuść go*

*bo nie przeżyje na łańcuchu*

*żyj wiedzą, która płynie z tego spotkania*

---

\* Fragment tekstu Andrzeja Poniedziałkiego do piosenki *Pa! – Role* z płyty *Duety* Magdy Umer (oryg. *Paroles, paroles*, śpiewa Dalida z Alainem Delonem).

# Aromaterapia z piernika, czyli magia świąt

Śnieg pada teraz spokojnie, tkając białe dywany. Nawet nie marzyłam o takiej zimie, ale klimat na Mazurach lubi zaskoczyć. Gdy w całej Polsce są dodatnie temperatury, u nas zazwyczaj jest inaczej. Moje oczy tęskniły za białymi świątami. Późną jesienią z każdym spadającym liściem prosiłam niebo o te maleńkie drobinki, które dają tyle szczęścia. Marysia uwielbia lepić śniegowe kule. Na podwórku mamy już dwa bałwany i ostatnio nawet pojawiło się igloo. Drzewa przed domem wyglądają, jakby ktoś utkał z nich czyściutki szydełkowy obrus. Misterna praca rąk zimowej pani jest widoczna przy każdej najdrobniejszej gałązce. Świat za jeziorem zdawał się nie mieć końca. Czasami szare, zamrożone jezioro zlewało się kolorem z metalicznym poszyciem lasu. W radiu zapowiadali, że nadchodzący tydzień będzie mroźny. Temperatura ma zejść nawet do minus piętnastu stopni. Na wieść, że śnieg utrzyma się aż do Wigilii, sama sobie podziękowałam za ten czas, który wybrałam. Czas spokoju, bez gonitwy za pracą. Codziennie sprzątałam, śpiewałam, przystrajałam dom, pisałam książkę i czytałam książki innych autorów, bawiłam się z Marysią i z radosnym sercem zabierałam się do gotowania. Znów czułam, że czarowanie nad garami sprawia mi przyjemność. Odzyskałam kontrolę nad życiem. To tak ważne, aby pielęgnować dom, w którym żyje nasz duch. A co mają powiedzieć ci ludzie, którzy nie mogą wziąć urlopu i muszą pracować ponad swoje siły. Oni też przecież czują, że czerpią energię z „rezerwy”, że kiedyś ciało i dusza mogą tego nie wytrzymać. Trzeba regularnie odpoczywać, minimum trzydzieści minut dziennie. To może całkowicie zmienić sposób myślenia. Ten czas pozwoli zregenerować siły. Każdy może znaleźć sposób na siebie, ale najtrudniejszy jest ten pierwszy krok. Najważniejsze to chcieć spróbować, a potem systematycznie dążyć do utrzymania tego stanu każdego dnia, ćwicząc ducha coraz częściej.

Za siedem dni Wigilia, na którą zaprosiłam Zosię z dziećmi. Tak dawno się z nią nie widziałam. Zdziczałam w ostatnich miesiącach do tego stopnia, że nawet nie telefonuję do moich przyjaciółek. One zresztą są jak zwykle zabiegane i też nie znajdują na to czasu. Chciałabym z kimś porozmawiać o swoich problemach, ale z drugiej strony myślę, że te ważniejsze decyzje powinniśmy podejmować

w zupełnej ciszy, gdzieś tam w sobie, kalkulując „za” i „przeciw”. Decyzje, które zaważą na naszym dalszym życiu, nie powinny być podejmowane przez matki, ojców, koleżanki, babcie, bo jeśli coś się nie uda, będziemy mieć pretensję nie do siebie, tylko do innych.

Rozmyślałam również o Bojanie. Od ostatniego spotkania nie odzywał się do mnie w ogóle. Wcześniej pisał choć raz na tydzień maila, relacjonując, co z wilczkiem, a teraz milczał. Ostatnio, robiąc zakupy, w sklepie spotkałam Jagodę. Rozmawiałyśmy nawet dość długo. Powiedziała, że Bojan wziął jakiś długi urlop i w ogóle nie ma z nim kontaktu. Nie dopytywałam, podejrzewałam najgorsze, że może leczy się w jakimś zakładzie zamkniętym. Współczułam mu bardzo, nie chciałam być w jego skórze. Z drugiej strony, każdy z nas ma swoje problemy. Dla mnie teraz najważniejsza była córka. Chciałam spędzić z nią dużo czasu, który zapamięta lepiej niż bożonarodzeniowe prezenty. Dlatego dziś wzięłyśmy się ostro do pracy, piekąc pierniki na choinkę. Ich przygotowanie zawsze sprawiało nam mnóstwo radości. Są twardsze niż te ze standardowego przepisu, bo mają zdobić, a nie wypełniać brzuchy. Zresztą, żeby je zmiękczyć, wystarczy zamknąć ciastka w jakimś szczelnym pudełku razem z dużymi kawałkami świeżych jabłek lub pomarańczy (oczywiście owoce trzeba co jakiś czas wymieniać, żeby nie spleśniały). Pierniki chłoną wtedy wilgoć z owoców i stają się miękkie. Można też położyć je przy uchylonym oknie, gdy pada deszcz, ale nam ich twardość zupełnie nie przeszkadza. Piernikowe bombki robimy ze specjalnego przepisu, a pierniczki do jedzenia z innego. Do dekoracji piernikowych twardzieli nie używam lukru... służą nam do tego ziarna pieprzu, kaszy manny, pszenicy, maku, gorczycy, ziela angielskiego, małych fasolek, pestek słonecznika, dyni, orzechy, goździki i co tylko nam się spodoba. Pierniki zdobi się już po upieczeniu. Do tego celu używamy kleju, żeby ziarna nie odpadły. Efekt jest niesamowity!

Zaczęłyśmy więc przygotowywać ozdoby, które bardzo często stają się również karmą dla ptaków. Uwielbiam opuszkami palców dotykać przypraw, czuć ich szorstkość. Pewnie dlatego tych używanych najczęściej (choćby do zup) nie trzymam w foliowych, sklepowych woreczkach tylko kupuję ilości hurtowe i przesypuję do pięknych szklanych pojemniczków. Lubię patrzeć na przyprawy. Nie chowam ich w szafkach. Dumnie stoją na kuchennych półkach i cieszą oczy kolorami, a później smakiem. Kocham goździki wzmacniające smak kompotów, ciast czy zimowych deserów, bez ich zapachu nie wyobrażam sobie świąt. Podobnie jest z korzeniem imbiru, kardamonem oraz cynamonem. Najbardziej lubiłam robić misterne zdobienia. Jak już Marysia się znudziła i szła do swoich dziecięcych spraw, siadałam w kuchni i tworzyłam. Pokrywałam klejem całe piernikowe serca, żeby oprószyć je kaszą manną albo makiem, na obrzeżach przyklejałam cieciorkę albo suszoną jarzębinę. Zachwyciłam się tym pomysłem i naturalnym, pachnącym zdobieniem, kiedy byłam w Warszawie, żeby podpisać umowę z wydawnictwem. Helena, prezes wydawnictwa, zaprosiła mnie na kawę do Piernikarni Tebe\* i tam całkowicie przepadłam. Pojawiają się w naszym życiu czasem miejsca, do których chcemy wracać, o których myślimy z rozrzewnieniem albo tęsknimy mocniej. Odurzona zapachami, smakami i wystrojem lokalu, zapałam do tego miejsca ogromną miłością, aż w końcu

postanowiłam sama zabawić się w artystę.

Pierwsze pierniczki wychodziły mi dość nieudolnie, ale z każdą minutą szło coraz lepiej. Udekorowane ciastka wysychają na parapecie. Joachima nie widziałam od ponad dwóch dni i niestety zauważyłam to tylko dlatego, że mamy nieodśnieżony podjazd. On zawsze wykonywał tę pracę. Przychodził też czasem do kuchni, żeby coś podjadać. Najgorsze jest to, że mi go nie brakuje, przynajmniej tak mi się wydaje. Złapałam się na tej myśli dzisiaj podczas robienia wypieków. Straciłam rachubę czasu, kiedy ostatnio z nim rozmawiałam? Czasami zapominam, że w ogóle mieszka w tym domu. A może ktoś mi wyciął serce? Ten mężczyzna mi zupełnie zubożył. Jeszcze do niedawna mogłam czekać na niego całą wieczność, pragnęłam go jak Boga, a dziś? Już czas, żeby się rozstać, dojrzałam do tego. Oswoiłam się z tą myślą i nie mam wyrzutów sumienia. Przeżyjmy jakoś te święta, przecież to wszystko i tak robi się dla dziecka, a potem koniecznie musimy ustalić, co dalej. Przecież nie będziemy tak mieszkać całe życie. On jak pies w budzie w jakimś pokoju przy garażu, a ja ni to rozwódka, ni to mężatka, status bliżej nieokreślony. Dziś chyba ufam losowi i życiu bardziej niż kiedykolwiek. Mimo tych wszystkich zawirowań czuję nad sobą opiekę. Czyją? Nie wiem, po prostu tak jest.

Marysia chciała wyjść ze mną na dwór. Śnieg już trochę się uspokoił, więc wymyśliłam, że pójdziemy do lasu po gałęzie iglaków i zrobimy stroiki. Zawsze wolałam te żywe niż plastikowe ze sklepów. Tworzyłyśmy z nich koła, delikatnie skręcając drucikiem, potem dekorowałyśmy je brokatowymi bombkami i wtykałyśmy w środek świeczkę. Taki stroik najczęściej umieszczaliśmy na białym talerzyku, żeby wosk nie pobrudził stołów. Wyglądał bajecznie. W stroiki, które robiłyśmy do Marysi pokoiku, wczepiałyśmy znacznie bezpieczniejsze plastikowe świeczki. Udało mi się kupić kilka takich z wbudowaną baterią. Nawet nie trzeba było martwić się o podłączenie do prądu.

Cały dzień spędziłyśmy na zdobieniu. Suszyłyśmy również plastry pomarańczy oraz cytryn, aby móc później zawiesić je na choince. Dom pachniał świętami i miłością. Rozłożyłam na podłogach więcej niż zazwyczaj kolorowych, rustykalnych dywaników, aby stworzyć jeszcze cieplejszy nastrój. Uwielbiałam przebierać w domowych ozdobach, czułam, że wiałam gniazdo na nowo i nie wiem czemu, ale nie potrzebowałam tu żadnego mężczyzny. Chciałam być samowystarczalna, ale czy to się uda? W dużym jednorodzinym domu zawsze jest coś do zrobienia. A to drewno na opał trzeba przywieźć, a to kran się popsuje. Mam pomocnych sąsiadów, zawsze mogę również liczyć na Mietka, ale we wsi żyje się zupełnie inaczej niż w mieście. Wiatry wieją mocniej, a i do sklepów daleko, ale nie będę martwiła się na zapas. Jest mi to teraz niepotrzebne. Już nie chciałam stąd uciekać, jak chociażby ostatnio, na Podlasie. Chciałam celebrować każdy moment nadchodzących świąt właśnie tu, w moim domu, w którego murach mieszka duch moich dziadków. To jest właśnie proste szczęście, którego można bardzo łatwo doświadczyć. Wystarczy rozejrzeć się i wypełnić nim od środka, aż po brzegi zimowego, białego podwórka. Myślałam o latach, które już bezpowrotnie minęły, wspominałam siebie jako nastoletnią, zbuntowaną dziewczynę. Widziałam moje sukcesy i porażki,

bez których nie byłabym sobą, nie byłabym akurat w tym miejscu.

Gdy już dom zasnął, psy przestały szczekać i ucichł dziecięcy śmiech, pożegnałam ten dzień, dziękując za tu i teraz. Za książki, które mogę czytać, za zapach piernika na stole, za gości, którzy niebawem mają się u mnie zjawić. Otuliłam się nocą, miękką od pohukiwań sów i czystą światłem księżycy, podziękowałam jej za spokojne niebo nad moim domem, za ten niebiański kawałek powietrza, którego nie można złapać, ani dotknąć, a można go jedynie poczuć w sercu. Patrzyłam w płomień świecy, którą zawsze paliłam, jak tylko zaczynało się robić na świecie zimniej, i milczącą wdzięcznością podziękowałam za dziś. Po takich słowach i dobrych myślach zasypia się ufnie i beztrąsko, przecież wszechświat jest jak dobry anioł z rozpostartymi skrzydłami. Trzeba się tylko w nie wtulić i zaczekać, aż cię obejmie od świtu do nocy.

Dokąd do tej pory zaprowadziła mnie ścieżka życia?

Czy chcę tu być?

Co sprawi, że nie poranię sobie stóp, idąc tą drogą? Może czas na wygodniejsze obuwie albo zmiany?

Zamknij oczy i wyobraź sobie dwa domy: pierwszy, w którym mieszkasz, i drugi, na który czekasz. Co je różni? Czego w nich nie ma, a co jest? Może nie trzeba uciekać na koniec świata? Może wystarczy coś poprzenieść, wymienić, posadzić, sprzątnąć albo dokupić? Nad którym gwiazdy świecą najjaśniej?

Zastanów się, czy dobrze żyjesz, będąc w zgodzie ze swoją duszą, czy potrzebujesz powrotu do Źródła. Co jest tym Źródłem? Poszukaj tego w sobie i nazwij TO. Podobnie jak zwierzęta i ludzie mają swoje imiona, tak i Twoje własne Źródło czeka, aż je nazwiesz, a tym samym przywołasz. Jak przywołać osobę, którą widzi się z daleka, nie znając jej imienia? Na pewno szybciej obejrzy się, gdy głośno wykrzyczysz jej imię.

Czekałam na Zosię i jej chłopców z ogromnym utęsknieniem, dlatego dzień ich przyjazdu postanowiłam wyjątkowo uczcić. Miło jest gościom wejść do domu, który na nich czeka. To oczekiwanie widać po gospodarzach, po ich sposobie zachowania, gestykulowania, mówienia. Wtedy nawet bałagan w domu nie przeszkadza, każdy kącik wita a świece i lampy świecą jaśniej. Jakby chciały już z oddali przywołać swym blaskiem. Dobrze, że nie mam kłopotu z pedantyzmem. Kiedyś nie przyjmowałam gości, jeśli nie miałam idealnie wysprzątanego kurzu czy niepozmywane naczynia. Zanim kogoś zaprosiłam, potrafiłam zacząć sprzątanie już tydzień wcześniej. Męczyło mnie to strasznie, wydawało mi się, że każdy, kto tu przychodzi, ocenia tylko zawartość mieszkania, aż pewnego dnia jakaś koleżanka powiedziała mi: „Słuchaj, nie masz czasu się spotkać, bo cały czas sprzątasz, ja nie przychodzę sprawdzać, co masz w kątach, tylko do ciebie”. I wtedy zastanowiłam się, co ja wyprawiam? Przecież nigdy nie będę miała idealnie wysprzątanego chałupy, bo jak się tu żyje, to cały czas coś się dzieje, gotuje, brudzi, tym bardziej jeżeli mieszkają tu

jeszcze zwierzęta. Doszło do tego, że przestałam zapraszać gości, bo stale wydawało mi się, że mam bałagan. Byłam wiecznie zmęczona już na samą myśl o tym, że muszę wypucować ten wielki dom. Przecież to jest chore, takie myślenie zabija przyjemność spotykania się z ludźmi i wspólnego spędzania czasu. Utał się w społeczeństwie schemat, że czysty aż do przesady dom to zdrowy dom, a to wcale nieprawda. Lubię mieć posprzątane, ale nie za cenę mojego zdrowia fizycznego i psychicznego. Dużo czasu mi zajęło wysprzątanie głowy z tych toksycznych nawyków. Robię, co do mnie należy, ale nie mogę stać się niewolnikiem we własnych czterech ścianach. Tym bardziej że pracuję na cały etat, gotuję na cały etat i jestem matką na cały etat – tak się nie da. Kiedy to odpuściłam, miałam wrażenie, że jestem lżejsza o jakieś dziesięć kilogramów. Dlatego czekałam na moich gości z otwartymi ramionami, czystym domem i nieumyтыми oknami, za to z fenomenalnym torcikiem marchewkowym, który nie ma w sobie ani grama chemii, a smakuje wyśmienicie i wcale nie czuć w nim marchwi, jedynie soczystą nutę czekolady i ziaren. To ciasto nie może się nie udać. Jego przygotowanie trwa chwilę. Idealnie wpasowuje się w klimat świąt bożonarodzeniowych. Wolałam coś upiec, niż zawzięcie i z determinacją sprzątać. Jak się ma pełen żołądek, to nic nie przeszkadza, a niestety od samego patrzenia na czysty dom brzusek się nie wypełni. To był mój wybór. Wszystkiego naraz się nie zrobi. To jest nie możliwe do wykonania. Ja czasami odpuszczam.

Zosia jak zwykle weszła do mieszkania bez pukania. Jedyne, co usłyszałam, siedząc na górze to:

– Ho, ho, ho, pokój temu domowi i jego mieszkańcom! – wystarczyło, że przeszli mój próg, a rozległy się krzyki.

Chłopcy nanieśli do przedpokoju dużo śniegu, poodklejał się im od butów i od razu rozpuścił. Na środku podłogi utworzyła się niewielka kałuża. Zosia ganiła ich za ten bałagan, a ja tylko w duchu uśmiechnęłam się sama do siebie, przypominając o niedawnych rozmyślaniach na temat sprzątania. Zośka wyglądała tak kobieco jak jeszcze nigdy. Troszkę przytyła i dzięki temu wypełnił jej się biust i poznikwały zmarszczki. Kolor włosów zupełnie zmieniony na wypalony rudy! Miała jak zwykle zadbane paznokcie. Ubrana była w zwykły, długi szary golf aż do kolan, do tego grube brązowe rajstopy i długie czarne kozaki na koturnach. Kiedy jeszcze pół roku temu pojawiła się w tych drzwiach, wyglądała jak wychudzone, bezdomne zwierzę z zapłakanymi oczami. A teraz? Po rozwodzie nie było widać ani śladu! Co czas robi z człowiekiem! Wypełnia go bezgranicznym spokojem i miłością, tylko trzeba poczekać i dać mu na to przyzwolenie. Trzeba sobie samemu pozwolić na niedokładność, nieidealność, na błędy, a potem to wszystko samo się wyprostuje, najgorsze życiowe supły się rozwiążą i drogi staną się równe. Tylko trzeba odpuścić i dać sobie odrobinę luzu.

Kiedy już wszyscy ochłonęliśmy i najedliśmy się do syta, a dzieci poszły się bawić, usiadłyśmy w kuchni, żeby w spokoju porozmawiać. Opowiedziałam Zosi, co się u nas w domu do tej pory wydarzyło. Znała kilka szczegółów z rozmów telefonicznych, ale na więcej nie było czasu. Jak tylko słowa rozgrzebywały rany w sercu, to milkłam i miałam ochotę jedynie na płacz. Nie z powodu braku



miłości, czy naszej domowej separacji, ale z poczucia winy, że świadomie zabieram dziecku ojca.

– Jaśmina, czy ty myślisz, że żyłoby ci się łatwiej, zaciskając zęby i płacząc w poduszkę? Przypomnij sobie, co mi mówiłaś jeszcze pół roku temu. Siedziałam dokładnie w tym samym miejscu, właśnie u ciebie w kuchni, i nie wyobrażałam sobie życia bez mojego męża. Przecież nie możemy pozwalać sobie na brak szacunku! Co on będzie sobie do domu jakiejś baby przyprowadzał, a ty masz na to pozwalać?

– Zosia, ale to nie było tak. On mi wszystko wytłumaczył. – Próbowałam jakoś usprawiedliwić Joachima.

– Srak, a nie tak... może się z nią nie przespał, ale przecież pił i teraz, jak mieszka sam, to nie wiesz, czy dalej pije. Zaglądasz do niego?

– W sumie to masz rację. Nie wiem, co on tam robi. Ostatnio jest dość cicho i prawie w ogóle się nie widzimy.

– Więc widzisz sama, jak to wygląda. Mówisz, że ci go w ogóle nie brakuje, więc się nie obwiniaj. Inne dzieci widzą gorsze rzeczy. Nie rób tego, co większość kobiet, którym wmawia się, że jak się ma jednego męża to chociażby cię bił, katował, zdradzał, pił, trzeba z nim być i mu pomagać. Tylko jakoś kobiecie się nie pomaga, a faceta trzeba wyciągać z najgorszego bagna. Najgorzej, jak sam cię tam wciągnie. Przecież dzieci to wszystko widzą. Wiesz, jaki ja mam teraz spokój, odkąd jestem sama z chłopcami? Z nikim się nie kłócę, układam sobie plan dnia tak, że na wszystko starcza mi czasu. A jak nie umiem czegoś zrobić, no przecież samochodu nie naprawię, to proszę o pomoc jakiegoś kumpla z pracy. Jak tylko zostałam sama, to okazało się, że wszyscy chcą mi pomagać.

– No tak, ale całkowita wina leży po winie Marka, a nie twojej. W naszym przypadku dałoby się jeszcze to wszystko odkręcić, ale... ale on się nawet o mnie nie stara, a nawet jakby to robił, to ja... ja już go chyba nie kocham.

– Jaśka, musisz być w zgodzie ze sobą, szczególnie jeśli kogoś nie kochasz, to nie będziesz umiała mu wybaczyć.

– Tak, masz rację, ale dalej nie mieści mi się w głowie, że Marysia nie będzie miała pełnej rodziny. Na razie o nic nie pyta, ale przecież nie możemy całe życie tak mieszkać. – Opuściłam głowę, znowu miałam ochotę się rozplakać.

– Jaśka, masz zdrową córkę, dom i pracę. W tej chwili niczego nie musisz zmieniać, poczekaj na rozwój wydarzeń, to suma małych rzeczy daje duży efekt. Sama mi to kiedyś mówiłaś. Nie poukładasz tego teraz. Zobaczysz, że wszystko już jest na swoim miejscu, dopiero jak się to stanie. Daj sobie czas. Na razie mamy piękne święta. Zobacz, ile śniegu! – Wstała i zachłannie wyglądała przez okno. – Jaśka, kiedy ja ostatnio widziałam śnieg! W Warszawie od razu się topi, a jak się utrzyma to zaraz robi się brudny! Wiesz, jak się ucieszyłam, że nas zaprosiłaś?!

– Naprawdę? – Nie mogłam uwierzyć, bo Zosia mimo swojego pochodzenia była typowym

mieszczuchem. Odnajdywała się w Warszawie idealnie.

– No pewnie! Ja zostałam już zupełnie sama. Odkąd wzięłam rozwód, z rodzicami nie mogę się porozumieć. Matka cały czas uważa, że wszystkie błędy Marka to moja wina, że powinnam wybaczyć i wrócić do niego, ale ja już tak nie umiem. Ja sobie ze wszystkim poradzę, tylko niech nikt mi już w tym nie przeszkadza. Zobacz, mieszkają w Szczytnie, a na święta nikt mnie nie zaprosił oprócz ciebie. Matka uważa, że za rozwód będę smażyła się w piekle, bo „co Bóg złączył, człowiek niech nie rozdziela”. Pamiętaj, Jaśka, że Bóg jest miłością, tam gdzie nie ma miłości, nie ma Boga. Ja już nie mogę słuchać tych jej morałów, a gdybym się jej słuchała, to byłabym strasznie nieszczęśliwym człowiekiem. Nasz kontakt jest sporadyczny, zawsze jak od nich wracam, to jestem wściekła. Jakbym cały czas siedziała na bombie. Jak byłam z Markiem też było podobnie, aż w końcu wybuchło. Nie karz siebie za to, nie obwiniaj się. – Położyła mi rękę na plecach, pogładziła i przytuliła. – Ach, miałam ci dać prezent dopiero w Wigilię! Ale co tam, już nie mogę wytrzymać, jak tak patrzę na ciebie! Uśmiechnij się, Jaśka! Specjalnie przywiozłam ci coś dla ciała i ducha. Szybko otwórz!

Dostałam misternie zapakowane pudełeczko. Granatowy papier w brokatowe białe gwiazdki przewiązany był czerwoną wstążką. Już samo opakowanie wyglądało na bardzo drogie. Udało mi się tylko wyszeptać „dziękuję”, bo byłam zaskoczona! Dopiero uświadomiłam sobie, że ja nie mam dla nikogo żadnych prezentów! Na śmierć zapomniałam!

Zosia ponagliła mnie:

– Otwórz i zobacz! Przecież każdy lubi dostawać prezenty.

Nieśmiało odwinęłam świąteczny papier i zobaczyłam flakonik do podobny buteleczki perfum. Zosia od razu wytłumaczyła mi, że to jest suchy olejek o wszechstronnym zastosowaniu, robiony z naturalnych składników: ogórecznika, dziurawca, orzechów makadamia, słodkich migdałów, kamelii i orzechów laskowych. Pierwszy raz widziałam takie чудо. Podobno można nim pryskać szorstkie włosy, smarować twarz, ciało i ręce. Wystarczyło, żebym raz spryskała dłonie, i już wiedziałam, że zostanę mu wierna na długie lata. Zapach był niezmierny, a olej nie zostawiał na skórze żadnego filmu. Nie było więc obawy, że pobrudzę nim ubranie czy meble. Wyglądał na bardzo drogi, ale Zośka już mi wytłumaczyła, gdzie go kupować i kiedy, żeby trafić na promocję. W Internecie można kupić praktycznie wszystko, i to za bardzo niewielkie pieniądze. Od kiedy moja przyjaciółka została sama, stała się mistrzynią oszczędzania, mimo tego, że nie rezygnuje z przyjemności, takich jak dobre kosmetyki czy ubrania. Po prostu poluje na okazje.

Ja nigdy nie przywiązywałam wagi do kosmetyków, oczywiście lubiłam wysmarować się dobrym i pachnącym kremem, ale zazwyczaj byłam tak zmęczona pracą, domem i dzieckiem, że wykonywałam tylko podstawowe czynności pielęgnacyjne. Patrząc na Zosię, mogłam pozazdrościć jej wigoru i urody. Czasami kobiety dostają prezent od natury i rodzą się po prostu piękne. Starzeją się szlachetnie, nie przykładając do tego większych starań, my niestety odziedziczyłyśmy po rodzicach

dość popularne rysy twarzy, pogłębiające się łwie zmarszczki i cellulit. Nigdy nie uważałam się za piękność, ale brzydka też nie jestem. Oświeciło mnie dopiero po przeczytaniu biografii Heleny Rubinstein, która była polską bizneswoman żydowskiego pochodzenia, najstarszą z ośmiorga dzieci. W bardzo młodym wieku wyjechała za granicę, aby pracować na swój sukces. Pisała, że „nie ma kobiet brzydkich, są tylko zaniedbane”. Zapamiętałam to zdanie, bo rzeczywiście tak jest. O miłość, spokój, dzieci, zdrowie, o to wszystko trzeba dbać. Dobrze, że przyjechała Zosia, nawet nie wiedziała, że uświadomiła mi, jak bardzo się zapuściłam.

Kiedy byłam z Władkiem, dbałam o siebie, bo miłość mnie uskrzydlała. Teraz, po tylu przepłakanych nocach, porządkowaniu myśli, nie czułam się już tak atrakcyjnie, a przecież powinnam być dla siebie samej piękna, także pod względem duchowym. Można użalać się nad sobą godzinami, ale czy to coś da? Może lepiej wstać i zacząć dzień od nowego postanowienia: od dzisiaj ćwiczę choć kwadrans, jem co najmniej trzy marchewki albo rezygnuję ze słodyczy. Już niewielkie ilości zdrowych produktów czy ograniczenie tych mniej zdrowych mogą spowodować lepsze samopoczucie. Nigdy nie chciałam wyglądać jak modelka, ale zawsze marzyłam o niespożytych pokładach energii, zdrowym wyglądzie cery i jędrnym ciele.

Spoglądając na prezent od Zosi, już wiedziałam, co muszę zacząć robić, żeby żyło mi się jeszcze lepiej, żeby nie dać się upływającemu czasowi, posępnym myślom i problemom. Muszę, a może raczej bardzo chcę zacząć dbać o ciało. Postanowiłam, że będę zmieniała swoje nawyki po jednym dniu. Dziś do kawy będą orzechy zamiast ciasteczka.

Zoska śmiała się ze mnie do rozpuku, ale ja już naprawdę nie mogłam patrzeć na wylewające się boczki (choć były niewielkie, naprawdę denerwowały!) i opadający tyłek (nie był zły, ale nie wyglądałam, jakbym miała osiemnaście lat). Postanowiłam, że codziennie będę ćwiczyć, choć troszeczkę. Zośka chwyciła mnie za rękę, mówiąc:

– Słuchaj, jak chcesz coś zmienić, to musisz zacząć od teraz, wieczorem nie będziesz miała siły. Wyciągaj maty!

Byłam zaskoczona, myślałam, że wspólnie poćwiczmy wieczorem.

– No, już, już, dawaj maty. Ćwiczyłaś kiedyś jogę, to gdzieś tu są.

– Zosia, ale teraz mieliśmy jechać do miasta, przecież nie mam prezentów! Miałaś mi pomóc coś kupić! – Podświadomie próbowałam przeciągnąć ten temat.

– Nie, kochana, prezenty poczekają. Teraz ćwiczymy. Ja lubię ćwiczyć z pewną panią z YouTube’a, daj komputer, rozłożymy się w dużym pokoju.

Skubnęłam jeszcze kilka orzechów, znalazłam maty, ubrałam się w stare legginsy i znoszony podkoszulek. Myślałam, że mam w szafie więcej sportowych ubrań, a tu zupełna pustka! Obie stanęłyśmy na matach i zaczęłyśmy ćwiczyć. Zośka nadawała tempo. Jako stała bywalczyni warszawskich klubów sportowych wiedziała, co i w jaki sposób rozciągać, natomiast ja już po kilku

machnięciach nogami nie miałam siły na więcej. Ciało zaczęło się trząść, brzuch nie utrzymywał nóg w poziomie, jednym słowem – tragedia. Zośka się śmiała, a ja z minuty na minutę byłam coraz bardziej przerażona. Jak można się tak zaniedbać? Żeby nie mogła zrobić skłonu na wyprostowanych nogach, chcąc dotknąć palcami u rąk podłogi? Kiedyś w takiej pozycji potrafiłam całą rozłożoną dłońią dotknąć stóp! To był jakiś koszmar! Zośka wzięła z kuchni dwa kilogramowe opakowania cukru zamiast hantli, kazała mi trzymać je w dłoniach i na przemian zginać łokcie. To ćwiczenie miało pozbawić mnie „pelikanów”, czyli zwisającego tłuszczu na mięśniach dwugłowych ramienia. Udało mi się tak machać rękami z cukrem może kilkanaście razy, potem ciało odmówiło posłuszeństwa. Byłam wściekła na samą siebie. Natychmiast zakwitła we mnie niezgoda na brak kondycji. Mogłam zdecydować o tym, żeby rozejść się z mężem, a nie jestem w stanie doprowadzić ciała do pełnej sprawności? Coś tu jest nie tak, koniec z tym!

Poćwiczyłyśmy zaledwie kilkanaście minut. Wystarczyło, żeby uporządkować myśli. Już kiedy szłam pod prysznic, poczułam, jak ta gimnastyka na mnie wpłynęła. Moje ruchy były sprężyste, nie powłóczyłam nogami jak słoń. Przecież kondycja naszego ciała ma wpływ na to, jak się czujemy. Koniecznie muszę zmienić swoje nawyki, przestać się garbić, wyprostować sylwetkę. Często oszukujemy kłębiące się w nas emocje. Ja na przykład próbowałam sobie poradzić z psychiką, a zapomniałam o ciele. Jeśli chcę utrzymać się na powierzchni i nie zwariować to muszę zadbać o jedno i o drugie. Jak wyglądałby mój chód, gdybym chciała zawrzeć w nim całą esencję swojej kobiecości? Gdybym chciała nim pokazać namiętność, energię, szacunek do siebie? Na pewno bym nie powłóczyła nogami ze zmęczenia. Próbowałabym za wszelką cenę się wyprostować i wyżej podnosić głowę, a nie tępo patrzeć pod nogi, jak do tej pory. Czasem mam wrażenie, że zamykamy swoją kobiecość w siatkach z zakupami, dzieciach, w pracy, której nie lubimy, a najczęściej oddajemy ją mężczyznom, którzy jej nie chcą. Po co się udręczać i oszukiwać, jeżeli serce czuje, że ON nie jest dla mnie? Tylko po to, żeby zadowolić rodzinę i świat, który jest dookoła? Przecież świat mnie nie uzdrowi, jeżeli nie będę chciała zobaczyć ukrytego w nim piękna. Bo to, co najistotniejsze, jest ukryte w głębi duszy, w jestestwie, w drobnych chwilach spokoju, w ciele, we mnie...

Zosia koniecznie chciała iść na spacer, a ja nie miałam prezentów, postanowiłyśmy więc wybrać się razem. Niespodziewanie zjawił się Joachim. Był posepny i mocno zamyślony, ale wyglądał dosyć schludnie. Zdziwiło mnie, że nie miał rąk brudnych od smaru, zwykle po przyjściu z pracy od razu szedł do łazienki. Bałam się, że zacznie mówić jakieś nieprzyzwoite rzeczy, ale zachował resztki godności – przywitał się z Zośką i dziećmi. Chłopcy od razu chcieli iść z nim do garażu, obejrzeć narzędzia i różnego rodzaju sprzęty, o których nie miałam zielonego pojęcia. Z racji wykonywanego zawodu Joachim miał ich dość dużo. Zgodził się zostać z całą trójką, a my czym prędzej, jak spuszczone z łańcucha, ubrałyśmy się i pognałyśmy do samochodu.

Moje Szczytno wyglądało jak miasteczko z bajki. W centrum na wszystkich drzewach okalających główne ulice rozwieszono białe lampki. Śnieg już nie padał, ale i nie stopniał. Jego duże sterty

zalegały wzdłuż chodników. Zauważyłam, że wokół Jeziora Dużego Domowego ludzie suną na nartach biegowych. To jest urok naszego miasteczka: dwa dobrze zagospodarowane jeziora w centrum, wokół których biegną trasy rowerowa i spacerowa. Wystarczy ciepło się ubrać i wyjść z domu, żeby już za chwilę znaleźć się nad zamarzniętymi akwenami, w pobliżu śnieżnobiałych lasów. Czułam się jak w bajce. Mam nadzieję, że każdy mieszkaniec wie, jakie ma szczęście, że żyje w tak pięknym miejscu.

Zośka nie mogła się nadziwić, że pomimo świątecznego tłoku żyje się tu łatwiej, bo wszędzie można szybko dojechać albo dojść pieszo. Ci, którzy mówią, że nic tu się nie dzieje, grzeszą. Może są zbyt leniwi, żeby czytać plakaty na drzewach albo zwyczajnie rozmawiać z ludźmi, paniami ekspedientkami w sklepach czy znajomymi. W domu kultury zawsze odbywają się jakieś warsztaty, w bibliotece wystawy, a i koncertów mamy wiele. Wystarczy wychylić się zza płotu, baczniej otworzyć oczy, idąc do sklepu czy na spacer. Zawsze jest łatwiej marudzić niż wyjść z inicjatywą i zorganizować samemu spotkanie towarzyskie czy zwykłe wyjście do kina. A jak się nie ma z kim, to idzie się samemu, przecież zawsze można kogoś spotkać. Jak drobnymi szczegółami usiane jest piękno świata, tak życie składa się z przypadków. Niektóre drogi wybiera się samemu, ale przypadki smakują znacznie wyraziściej.

Nie spieszyłyśmy się, chodząc po sklepach. Zosia sama wybrała swój prezent: piękny szal idealnie pasujący do jej kurtki, dla chłopców samochody do ich kolekcji, dla Marysi audioobooki i przytulanki, uwielbiała dostawać nowe. Wymyślała pluszakom imiona, chodziła z nimi spać. Nie wiedziałam, co kupić Joachimowi, nie był dla mnie tak bliską osobą jak kiedyś. Nie wysiliłam się zbytnio, jedyne, co mi przyszło do głowy, to perfumy, ale do pracy nie były mu przecież potrzebne. W warsztacie samochodowym nie zwraca się uwagi na zapachy, chyba że smaru lub oleju. Potem przyszedł kolejny pomysł – zestaw do golenia, ale Joachim nosi zarost, również nie używa takich rzeczy. Zawsze brakowało mu skarpet i rękawic roboczych, więc kupiłam, a pani ładnie zapakowała.

Znieczulona byłam na męża, na wszystko, co jego, dla niego i z nim związane. Czy to normalne? Po tylu wspólnych latach nie miałam ochoty słuchać jego głosu, patrzeć mu w oczy. Zośka mówiła, że „opatrzył mi się” tak samo jak dom, w którym się mieszka, z czasem przestaje się podobać, trzeba wyjechać na jakiś czas i wrócić. Wtedy pięknieje i chce się w nim wic gniazdo. A mąż? Czy można go zostawić na jakiś czas i potem do niego wrócić, gałązki, puszki, okruszki, szmatki, gałganki, sznureczki, niteczki – na nowo to wszystko zbierać i wic? Pan Bóg mówi, że nie można, a co mówi człowiek? Przeważnie, że chciałby tak żyć. Chociaż spróbować, ale przecież nie można... Ja się nie wybielam, nie chcę być czysta jak suknia panny młodej, jak biała bluzka, wolę być jak śnieg, żeby z czasem móc się roztopić. Szarobiała wolę być. Może jestem jak ptak, któremu wicher zrzuca gniazda, a ten już na innych gałęziach próbuje od nowa? Zawsze można spróbować jeszcze raz, ale czy się chce jemu i mnie? Czy nam się chce tym gniazdem być?

Pojechałyśmy jeszcze na ryneček. Było już dość późno i ciemno, ale w dni przedświąteczne zawsze jest tu gwarno. Kupiłyśmy ryby, warzywa i zobaczyłyśmy piękne, rozłożyste choinki. Do

samochodu zmieściła się nam jedynie jemioła, po drzewko trzeba będzie iść do lasu albo przyjechać jeszcze raz. Dostałyśmy od jakiegoś gospodarza spory worek siana, dokupiłam jeszcze przyprawy i buraki do barszczu. Byłyśmy szczęśliwe, obie samotne, ale radosne, bo razem.

W kobietach jest siła i jakaś niespotykana moc tworzenia. Taka plemienna potrzeba bycia razem. Zapomniałam o tym, że mogę z kimś porozmawiać, a czasami warto. Szukałam dla siebie nowego imienia, czasami chciałam przyjąć twarz innej osoby, ale się nie udawało. Na powrót chciałam być swoja własna, odzyskać to, co zabrały mi jego ręce i słowa, chciałam wilczych łap i skrzydeł. Dopiero wtedy dotarło do mnie, że nie potrafię być CZYJAŚ na zawsze. Nie chcę. Może gdybym urodziła się w innych, trudniejszych czasach, zrobiłabym wszystko, żeby nie pamiętać, i wmówiłabym sobie, że kocham, dziś tego nie umiem. Dobrze, że mam mazurski śnieg, mogę się do niego przytulić jak do wełnianego koca. Dobrze robi moim oczom ta biel. Są momenty, kiedy pada tak mocno, że mam wtedy wrażenie, że ktoś chce mi w ten sposób przesłać wiadomość z zaświatów, tylko nie umiem jej odczytać. Czasem płatki układają się we wzór Buddy spokojnego jak skała, a czasem wyglądają jak rozwiane włosy. Niebo ucałowało ziemię na biało.

Czy wszystkie mężatki wiodą podwójne życie? A małżonkowie? Może potrójne albo poczwórne? Kto to wszystko poukładał całkowicie na opak, nie tak, jak powinno być? Odkąd postanowiłam nie mieć męża, potrafię i z Władkiem porozmawiać jak z człowiekiem, a nie kochankiem. Przepraszałam go za ten incydent z Joachimem, ale na dobrą sprawę sam się w to wpakował. Jaki kochanek przy zdrowych zmysłach przyjeżdża do domu swojej wybranki? Przecież to wszystko mogło się skończyć tragicznie właśnie dla Władka. Gdyby Joachim nadal coś do mnie czuł, to by na pewno pojechał do jego żony. No właśnie. Nie zastanawiałam się nad tym wcześniej, ja na miejscu Joachima zrobiłabym to już dawno ze złości, z goryczy, z urażonej dumy. To wszystko rozeszło się po kościach dość szybko, aż za szybko. Widocznie Joachim ma na swoim sumieniu podobne przewinienia, inaczej, próbowaliby ze mną rozmawiać, wyjaśniać sytuację. Teraz już wszystko rozumiem. To nie ma sensu, udawanie miłości jest jak sztuczny miód – nie smakuje i przylepia się do zębów.

Wiele rozmyślałam przez ten czas przygotowań do świąt. Cieszyłam się dziećmi, sankami, lasem, dobrym, zdrowym jedzeniem i intensywnymi zapachami, które królują w kuchni i na stołach. Szukałam wytłumaczenia dla tych wszystkich sytuacji, ale nie było go ani w zasięgu wzroku, ani w mądrych książkach. Może czasami jest lepiej nie wiedzieć niż próbować na siłę. Każdy z nas jest rozdarty pomiędzy tym, co sprawia mu radość, a tym, co musi robić, żeby być akceptowanym przez otoczenie. W tym wszystkim musi znaleźć się miejsce na równowagę. Dlatego postanowiłam wprowadzać jedną zmianę dziennie. Wypijając wieczorną herbatę, nadaję tej czynności charakter rytuału wdzięczności. Najpierw przygotowuje ją starannie, żeby była dobrze zaparzona. Potem delektuję się jej smakiem. Każdy łyk jest myślą, która wypełnia to, co puste. Pierwszy łyżeczek jest wdzięcznością za zdrowe ciało. Drugi to ufność, że los przyniesie to, co najlepsze. Trzeci jest pamięcią. Pielęgnuję w sobie tylko dobre wspomnienia, przecież tyle pięknych chwil spędziłam

z nim... tu. Czwarty łyk jest mną. Odpuszczam światu i sobie.

---

\* Piernikarnia istnieje naprawdę przy Alejach Jerozolimskich w Warszawie. Latem można w ogródku napić się kawy, oczywiście w piernikowych czarkach, mieszając napar piernikową łyżeczką, a zimą kupić mnóstwo przepięknych i starannie wykonanych ozdób.

# Bezowa Maryjka

Dzień Wigilii przywitał nas wiatrem i drobnym śniegiem. W tym roku nikt na Mazurach nie miał wątpliwości, że będzie biało i mroźnie. Gdy parzyłyśmy kawę w kuchni, przyszedł Mietek i przyniósł szynki, które sam wędzi. Zaprosiłyśmy go do środka i wspólnie delektowaliśmy się porannym, niespiesznym rytuałem śniadania. W tym roku było zupełnie inaczej niż zwykle. Nie chciałam zapraszać całej rodziny, wybrałam tylko tych, których chciałam. Dzięki temu nie byliśmy zestresowane tym, że coś nie jest dokładnie sprzątnięte czy odpowiednio ugotowane. To był mój wybór. Potrzebowałam tego jak chleba. Siedziałyśmy więc w kuchni w piżamach i szlafrokach, dzieci cały czas kleiły i dowieszały nowe ozdoby na choinkę. Chodziły od okna do okna, wyczekując Świętego Mikołaja. Uwielbiałam udawać, że kręci się koło domu. Rzucałam przed drzwiami na wycieraczkę jajka z niespodzianką i wielce zdziwiona wołałam dzieci, żeby zobaczyły, co Mikołajowi wypadło z worka. Tu i ówdzie znajdowały również inne smakołyki. Były jeszcze w tym wieku, że chciały wierzyć. Ja pomimo upływu lat nigdy nie wątpiłam w jego istnienie. Tradycję, miłość i dobro nosi się w sercu, widać je w każdym naszym ruchu, słowie, spojrzeniu czy geście. Prezenty są tylko miłym dodatkiem, kto nie lubi ich dostawać! Ale to, co najważniejsze, jest w domu i rodzinie. W uśmiechach dzieci, dobrej muzyce, przyjaznym kącie i mruczeniu kota. Dobrze, że była ze mną Zosia z dziećmi, bez nich smutne byłyby to święta.

Przygotowałam nam wszystkim zupę migdałową, za którą dzieci przepadają. Zjawił się nawet Joachim. Wyczuwał ten zapach z kilometra, to była jedna z jego ulubionych zimowych potraw. Usiadł z nami w kuchni i zjadł ze smakiem. Nie czułam dusznej atmosfery. Starał się nikomu nie narobić przykrości, szczególnie mnie. Wystarczyła drobna chwila życzliwości i stało się tak przytulnie i miło. W takich sytuacjach tęskni się za powrotem, ale przecież to tylko chwila uniesienia, piękno świąt i tradycji. I niech tak zostanie choć na ten smakowity czas radości i zrozumienia. Nie będę płakać nad rozlanym mlekiem, ktoś czegoś nie dopilnował, za dużo ognia, wylało się, wykipiowało, teraz trzeba posprzątać.

Zapraszałam Mietka do nas na Wigilię, ale uparł się i nie chciał zostać. Ubrałam się pospiesznie i odprowadziłam go do furki. Dziś nie było słońca, niebo zasnułe jakby szarym prześcieradłem czasem sypnęło drobnymi płatkami, ale widocznie też chciało odpocząć. Wszędzie było cicho, jakiś pies donośnie poszczekiwał, kury sąsiadów pochowane w swym drewnianym domku grzały kuperki,



również nie gdały. Świat zamarł, tylko las szemrał zimowe pieśni. Miałam już wracać, ale usłyszałam ciche miauknięcie. Myślałam, że to moje koty, ale obeszłam dom, nigdzie ich nie dostrzegając. Znow podeszłam do furtki. Droga wiodąca z mojego domu do miasta była dobrze odśnieżona, ale i tam niczego nie dostrzegłam. I naraz znow to usłyszałam, jakby cichy pisk, jęk, a może skrzek? Wyszłam na drogę, przeszłam kilka metrów i zobaczyłam w oddali biało-popielaty, przemieszczający się dość szybko punkt. Stała z wrażenia, może to szczur? W końcu uświadomiłam sobie, że to przecież kot! Był biały z popielatą łatką na głowie i tułowiu. Wyglądał jak śnieżynka, która spadła prosto z nieba. Ocierał się o moje nogi i bardzo głośno miauczał. Próbowałam sobie przypomnieć, czyja to zguba. We wsi zna się wszystkich sąsiadów, ale nie przychodził mi do głowy zupełnie nikt. Wszystkie nasze Wałpuszowe koty były popielate, prążkowane, albo czarne, zdarzały się też rude. Ja byłam właścicielką Rudej i szarego Lucka. Kocica była dosyć mała i brudna. Była piękna jak biała beza albo okruszek. Pod sierścią wyczułam, że ma nieco powiększony brzusek, ale nie podejrzewałam, że może być kotna, wyglądała na młodą.

Nie odstępowała mnie na krok. Serce mi się krajało, ale przecież nie mogę brać każdego napotkanego kota do domu. Na wsi są ich tysiące, wystarczyły mi już moje psy i koty, dostatecznie dużo z nimi roboty. Zamknęłam jej furtkę przed nosem i odeszłam. Stała i miauczała przeraźliwie. Jakby ją ktoś ze skóry obdzierał. Odwróciłam się, a ona już stała na drewnianym płocie, szybko poradziła sobie z jego przeskoczeniem. Była naprawdę piękna. Miała niespotykane, zielonoszare oczy. Moje koty miały bardziej żółto-brązowe źrenice. Tym razem już jej nie pogłaskałam, nie chciałam przyzwyczajać do siebie. Możliwe, że komuś uciekła, wielu turystów przyjeżdża na Mazury na święta. Pobiełam do domu i zamknęłam drzwi.

Wszyscy chętnie pomagali w przygotowaniach. W dużym pokoju ustawiliśmy stół z kuchni, przyniosłyśmy biały obrus, pod którym umieściłyśmy sianko. Nie miałam białych talerzy, u mnie w domu królowała zastawa z Bolesławca i jego podróbki oraz różne nie pasujące do kompletu kolorowe talerze. Uwielbiałam ten rustykalny chaos, pasował do mnie. Nie chciałam nic zmieniać. Na środku postawiłyśmy pachnący stroik, po drugiej stronie drewniany lampion ze świeczką w środku. Wszystko oświetlał blask choinkowych lampek i ozdób. Było przepięknie. Włączyłam kolędy rodziny Pospieszalskich, a potem wigilijną piosenkę naszego szczytnickiego barda Krzysztofa Klenczona *Jest taki dzień*. Ta melodia była ze mną od zawsze. Już w przedszkolu panie puszczały ją z głośników. Teraz chciałam jeszcze lepiej przygotować siebie na nadchodzące święto, a muzyka, jak wiadomo, łagodzi obyczaje, szczególnie ta płynąca z serca.

Wiara jest dla mnie ważna tak samo jak moje dziecko. Nie wyprę się jej, nikomu nie oddam, pielęgnuję. Nie przestanę jej kochać, bo daje mi miłość, pozbawia egoizmu i uczy cierpliwości. Nie jestem ortodoksyjna, ale w coś trzeba wierzyć i łatwiej mi żyć, wiedząc, że ktoś trzyma nad tym wszystkim swoją niebiańską rękę. Dlatego święta Bożego Narodzenia były i są dla mnie ważne. W końcu Jezus jest miłością. Wiara to cud przebaczenia, wytrwałości, cud ufania życiu. Każdy Bóg

jest Źródłem Miłości i Dobra. Źródło, z którego pochodzimy, jest dobre, to się po prostu czuje. Dlatego buduję na niej swój dom.

Powiesiliśmy na choince ostatnie ozdoby, a ja cały czas myślałam o Joachimie i bezowej kotce. Mąż krzątał się po domu, ale nie podchodził do mnie, cały czas czułam dystans. Wyglądałam przez okno, szukając kotki. Na pewno ktoś na nią czeka, pewnie wróciła do domu. Zosia dostawiła dodatkowy talerz dla zbłąkanego wędrowca i zaczęliśmy znosić i przygotowywać ostatnie potrawy. Zośka miała zamiar jeszcze przystroić krzesła zielonym igliwem, nie chciało mi się już opuszczać ciepłego domu, ale włożyłam buty i wyszłam na dwór, żeby zerwać kilka gałązek. Stojąc na podwórku pod choiną, rozglądałam się za kotkiem. Myśl o nim nie dawała mi spokoju, ale może i dobrze, że zniknął. Co ja bym z nim zrobiła? A jeśli zamarzał?

Zapadał zmrok, wyjrzałam jeszcze na drogę, ale nigdzie nie było kotki. Zaczęłam mieć wyrzuty sumienia. Spojrzałam w niebo, pojawiały się na nim już pierwsze nieśmiałe gwiazdy, mróz delikatnie szczypał w nos. Odwróciłam się w stronę domu, a tam na wycieraczce przed drzwiami siedziała biała kotka! Złękniiona zbiegła po schodach, jej małe łapki grzęzły w śniegu, próbowała się do mnie jak najszybciej dostać. Wyglądała nieporadnie, ale tak uroczo. No przecież jej tu nie zostawię. Pogłaskałam ją. Była brudna. Musiała się długo wałęsać po piwnicach, gdyby komuś uciekła, nie byłaby aż tak umorusana.

Wystawiłam jej miskę z jedzeniem. Pomyślałam, że jak się naje, to sobie pójdzie. Obejrzałam jej brzuszek teraz już dokładniej. Naprawdę mogła być ciężarna, ale wychudzona. Jak zwykle z garażu wychylił się Joachim.

– O nie! Jaśmina, znowu dokarmiasz jakiegoś kota? Nie za dużo już ich mamy? Daj spokój. Zaraz się przyzwyczai i zostanie. – Podszedł do schodów i zaczął łopatać do odśnieżania straszyć kotkę. – No już, poszła stąd! – odezwał się znowu.

– Zostaw ją! Jak możesz! Joachim! My razem nie mamy żadnych kotów, tylko ja je mam! Ostatnio, kiedy mnie nie było, zwierzęta wyprowadziły się do Mietka, bo ich nie karmiłeś.

– No to trzeba było mnie poprosić, żebym je karmił, a ty zostawiłaś wszystko i sobie wyjechałaś nie wiadomo gdzie. Przecież ja też mam pracę. Prawie mnie tu w ogóle nie ma. – Zmarszczył brwi w gniewnym grymasie.

– Może jeszcze miałam ci za to płacić, żebyś je nakarmił? Czy ty w ogóle słyszysz, co mówisz? – Teraz już kotka ze strachu prawie weszła mi na ręce. Miałam cały sweter brudny od jej sierści.

– Nie chcę tu żadnego innego kota, rozumiesz? Zobacz, jaki ma brzuch, na pewno jest kotna. Będziesz miała tu całe kocie przedszkole. Nie chcę w ogóle na to patrzeć! – Ostatnie słowa wykrzyczał.

– Joachim! Możesz skończyć z tymi pretensjami? Chociaż dziś się opanuj, przecież jest Wigilia. Nie chcę się z tobą kłócić, nie teraz. Idź się odświętnie ubrać, zaraz zaczynamy kolację.

Zrobiło mu się głupio, odwrócił ode mnie wzrok i odszedł, pomrukując coś pod nosem. Zośka, jak tylko usłyszała nasze wrzaski, wyszła na ganek:

– Ludzie, możecie się przestać kłócić?! Przecież to słyhać. Nie dziś, proszę tylko nie dziś! Jaśmina, a co ty tu masz? – Zajrzała mi przez ramię. – Jezusicku kochany, jaka kruszynka, jaka białutka. No, daj ją do domu. Chcesz, żeby zamarzła?

– Zocha, ja już mam dwa koty, no ile można... – próbowałam się bronić. Tym razem Joachim miał rację. Każde zwierzę, które z nami mieszkało, to była przybłąda, i w dodatku przygarnięta przeze mnie. – Zobacz, jaki ma brzusek, albo nigdy nie była odrobaczona, albo się okoci. – tłumaczyłam się dalej, głaszcząc ją czule. Nie wiedziałam, co zrobić.

– Jaśmina! A Matki Boskiej z Jezusem też nikt nie chciał przyjąć! No jak tak możesz mówić! I to jeszcze dziś, w Wigilię! Dawaj tę „Maryjkę” do domu! Mało masz tu miejsca? A talerz dla wędrowca to też ustawiłaś na pokaz?

Wyrwała mi kotkę z rąk i poszła z nią do łazienki, a ja zostałam na śniegu, nie mogąc dojść do siebie. Chciałam wędrowca, więc przyszedł... Joachim również stał zdumiony. Patrzyliśmy na siebie, nic nie mówiąc. Zrobiło nam się obojgu wstyd. Żeby jakaś warszawska bizneswoman musiała uświadamiać mi, wiejskiej babie, co jest ważniejsze. Wzięłam kocie miseczki i poszłam.

Założyłam białą bluzkę i dobrałam do niej kilka jaskrawych, połyskujących bransoletek. Rozpuściłam włosy, a one delikatnie opadały na ramiona. Umalowałam usta czerwoną szminką i zaczęliśmy kolędować. Duży pokój przypominał sielski obrazek z kolorowego czasopisma. Szczęśliwe dzieci, ozdoby, pachnące potrawy, zielona choinka i cała gromada zwierząt. Bezowa kocia Maryjka natychmiast została wygłaskana przez dzieci. Psy jej nie ruszały, bo od dawna były do kotów przyzwyczajone, a one z zaciekawieniem wahały. Trochę jej pilnowaliśmy. Bałam się, że Ruda kocica może jej zrobić krzywdę, w końcu będą musiały ustalić na nowo hierarchię w swojej kociej drużynie, ale, o dziwo, nawet jej nie zaczepiały.

Nadszedł najtrudniejszy moment wigilijnego wieczoru, czyli dzielenie się opłatkiem i składanie życzeń. Wiedziałam, co powiedzieć moim gościom i córeczce, ale jak przełknąć gorycz, którą nosiłam w sercu wobec Joachima? Kiedy już byliśmy blisko siebie, nie potrafiłam spojrzeć mu w oczy, bełkotałam coś o zdrowiu i patrzyłam na kredens, który stał za nim. Zawsze był przystojny, a dziś jakoś szczególnie, czy nie mógł tak dbać o siebie częściej? Ale to i tak nie miało wpływu na moje uczucia. Od dawna wiedziałam, że nie mam już dla niego miejsca w sercu. Życzył mi, żebym była szczęśliwa, czyli już wiedział, że nasz rozwód jest tylko kwestią czasu. Gdyby chciał odbudować nasz związek, padłyby zupełnie inne słowa. Kiedy usiadłam do wieczerzy, ręce zaczęły mi się trząść. Tłumaczyłam się, że to wzruszenie, ale to był żal. Czy każde małżeństwo tak się kończy? Lena, moja przyjaciółka malarka, wybrała samotność, Zośka nie musiała wybierać, Marek zrobił to za nią i teraz dołączyłam do nich ja.

Przy stole panował miły harmider. Mąż nie usiadł przy mnie, w ogóle nie patrzył w moją stronę. To było przykre, ale jednoznaczne, już nic oprócz Marysi nas nie łączyło. Uspokoił mnie płomień białej świecy ze stroika. Postawiłam przy nim Anioła Stróża, którego przywiozłam ze Świętej Góry Grabarki. Przecież zawsze w życiu się układa i tak jak po nocy wstaje dzień, a po burzy słońce, ten życiowy mętlik nie będzie trwał wiecznie. Przecież wszystko, co mnie spotyka, musi mieć jakiś głębszy sens. Nie jestem na tej ziemi tylko po to, aby żyć, nie czując w tym wszystkim głębszej treści. Teraz mam więcej czasu na realizację swoich marzeń i zainteresowań. Nie będę się mazgaić, może ten czas został mi dany właśnie po to, abym zrozumiała, jak ważny jest powrót do domu własnej duszy. Ale czy musiałam to wszystko przypłacić nieformalną separacją? Skoro tak się stało, to widocznie nie było innego wyjścia. Chcę ten czas wykorzystać najlepiej, jak potrafię. Widocznie to ma być mój czas.

Dołożyłam sobie śledzi z jabłkami w śmietanie, uwielbiałam ich smak i zapach, do tego ziemniaki, rozmrożony koperek z mojego ogrodu. Bezowa Maryjka cały czas kręciła się przy moich nogach. Musiałam uważać, żeby jej nie nadepnąć, jak tylko wychodziłam do kuchni zanieść talerze albo przynieść kolejne smakołyki, biegła za mną, cichutko pomiaukując. Domagała się nieustannej uwagi i pieśczoły jak kobieta w ciąży. Głaskałam ją i cały czas jej powtarzałam, że już nie musi się bać, że zostaje tutaj ze mną. Byłam coraz pewniejsza, że ktoś ją wyrzucił, widząc powiększający się brzuszek. Moja mała Bezowa Maryjka. Kiedy już się uspokoiła, znalazła sobie miejsce tuż pod choinką. Joachim się nie odzywał, widząc, jak wacha kąty domu, a dzieci się śmiały, że sprawiłam sama sobie prezent. Patrzyłam na nią, jak się wylizuje, jak mości sobie kocie gniazdko. Słyszałam jej mruczenie nawet z drugiego pokoju. Spadła mi z nieba w wigilijną noc. Przecież to nie może być przypadek. Nie dziś. Tej magicznej nocy przychodzi na świat Boże Dzieciątko, a kto nie wierzy, niech pielęgnuje piękno spotkań rodzinnych, które temu świątecznemu zabieganiu towarzyszy. To jest najlepszy moment, żeby powierzyć niebu swoje zmartwienia i troski, żeby chcieć wyrwać z siebie nienawiść.

Co roku chodziłam na pasterkę. Przed wyjściem do kościoła spisywałam na ładnej karteczce prośby do Stworzyciela. Czasem prosiłam o zdrowie, kiedy go brakowało, czasem o wybaczenie, a czasem o miłość. Składałam kartkę i wrzucałam do skrzyneczki, którą w kościele postawił ksiądz. Ten niewielki drewniany pojemniczek był wypełniony intencjami. Raz dziennie były wyjmowane i ksiądz modlił się. Wzięłam niewielki arkusz papieru i atramentem zapisałam słowa wiersza Adama Ziemiańska, który najlepiej oddawał to, co czułam.

## **MODLITWA KOŃCA MOJEGO WIEKU**

*Ty który śmieszne kawki*

*nauczyłeś latać*

*Ty który jesteś z tego*

*i nie z tego świata*

*Uchowaj dzisiaj od nienawiści  
Moje serce moje oczy moje myśli*

*Ty który stworzyłeś  
jaśminu gałązkę  
Ty który orzech włoski  
zawijasz w piąstkę  
Zachowaj dzisiaj od nienawiści  
Moje serce moje oczy moje myśli*

*Ty który ciepłym słońcem  
napętniasz mieszkania  
Ty który dałeś nam  
trudne przykazania*

*Uratuj dzisiaj od nienawiści  
Moje serce moje oczy moje myśli*

*Ty który kaczeńce  
Wymyśliłeś dla nas  
A żaby nauczyłeś  
Nocnego kumkania*

*Odwróć dziś – proszę – od nienawiści  
Moje serce moje oczy moje myśli*

*Ty który do morza  
Prowadzisz swe rzeki  
Ty który zmęczonym  
Zamykasz powieki*

*Nachyl dziś – proszę – w stronę miłości  
Moje serce moje myśli moje oczy*

Kiedy skończyłam pisać, przeczytałam wiersz jeszcze raz. Zostawiłam na papierze kilka łez. Tak trudno wyzbyć się pogardy, agresji, odrazy, szczególnie kiedy ktoś nam wyrządza krzywdę, kiedy

tracimy największą miłość życia, spokój sumienia. Kiedy nie jesteśmy w stanie pogodzić się z tym, co nas spotkało. Bo przecież u innych niech się wydarza, nie u mnie. Tracimy pracę, rodzinę, bliskich, umierają dzieci, mężowie toczą się wojny w ciepłych domach i na dalekich kontynentach, niech ktoś tam z góry nie każe nam tego rozumieć, tylko zabierze nienawiść z serca.

Obok wiersza narysowałam aniołka, kwiatki i Bezową Maryjkę, która pojawiła się dziś zupełnie niespodziewanie w domu. Starannie złożyłam kartkę na dwie równe części i schowałam do torebki. To była moja modlitwa, którą miałam powierzyć Najwyższemu. Ja nie chciałam niczego pojąć rozumem, ale to wszystko komuś oddać, żeby nie zgnić z wyrzutów sumienia, gorzkości. Czasami tak łatwiej, lepiej i prościej. Boże, uchronij moje serce od nienawiści, a reszta się ułoży. Prawdziwa miłość nie zna wstrętu, odrazy, obrzydzenia, dobro jest prawdziwe i jasne.

Dzieci jak zwykle dostały mnóstwo prezentów. Co roku obiecuję sobie, że zachowam umiar w ich kupowaniu i nigdy mi się to nie udaje. Ale z drugiej strony po co? Przecież każdego dnia trzeba je wychowywać na uczciwych, dobrych ludzi, a jeżeli jeden dzień w roku bardziej się rozpieści, to przecież nic się nie stanie. Choinka wyglądała przepięknie. Zawsze mam w domu prawdziwą i staram się ją utrzymać jak najdłużej. Jej zielony, leśny zapach w połączeniu z cynamonowymi piernikami i świecidełkami sprawia, że pokój jest taki przytulny i bezpieczny. Lubię schować się w kącie pokoju i z kubkiem herbaty w rękę patrzeć na nią. To uspokaja. Szczególnie dziś, kiedy mogą zdarzyć się cuda te małe i te wielkie.

Powoli próbowaliśmy zagonić dzieciaki do łóżek, ale zupełnie nam to nie wychodziło, były zbyt pochłonięte zabawą z Bezową Maryjką i prezentami. Joachim rozpałił w kominku, próbowaliśmy z nim nawiązać jakiś dialog, ale tylko coś odburkiwał pod nosem, najlepiej dogadywał się z dziećmi. One niczego nie były świadome, przed nimi nie musiał niczego udawać. W końcu dałyśmy mu spokój. Zosia nie chciała jechać ze mną na pasterkę do Szczytna, mówiła, że woli sączyć wino i bawić się z dziećmi. Męża nawet nie pytałam, tylko oznajmiłam, że wychodzę. Zresztą jak co roku jechałam naładować wewnętrzne akumulatory na kolejne dni życia. Karmię w ten sposób swojego wilka, swoje dzikie dobro. Lubię pielęgnować jego sierść przy blasku księżyca, moszczę mu wtedy legowisko na wietrznej górze, jestem czarownicą i pobieram energię z kosmosu, a czasem właśnie potrzebna mu energia ludzi, którzy przychodzą do kościoła świętować narodziny Dzieciątka. Wtedy jest inaczej niż w niedziele, wszyscy gromadzą się po to, żeby mówić o miłości. Wszak nie chciałam spróchnieć od wewnątrz wyżłobiona korytarzem nienawiści, nie o to chodzi w życiu.

Pożegnałam się z dzieciakami i Zośką. Ubrałam się ciepło w moją rosyjską czapkę i kurtkę, włożyłam cieplejsze kozaki, rękawiczki, aż nagle podbiegła do mnie Maryjka. Pomiaukiwała, łaśliła się. Myślałam, że chce wyjść i wrócić do swoich, ale gdy tylko otworzyłam drzwi, odsunęła się, czując chłód wpadającego powietrza, i z bezpiecznej odległości patrzyła na mnie zielonymi oczyskami, jakby mówiła „dziękuję”. Obejrzałam się kilka razy za siebie, czy aby nikt nie stoi w korytarzu, ale wszyscy już byli w łóżkach na górze. Teraz machała puchatym ogonem (zdążyła go wylizać, robił się coraz

bardziej puszysty!) i pomrukiwała, nie spuszczać ze mnie oczu. Jeszcze raz usłyszałam „dziękuję” i nagle coś przestawiło się w mojej głowie. Przestałam się dziwić. Jeszcze do niedawna słyszałam głos wilka, to czemu nie mogłabym kota? Podeszłam do niej, głaszcząc pyszczek i bródkę. „Nie ma za co, Maryjko, wychowamy” – odpowiedziałam. Wzięłam ją na ręce i ucałowałam w brudne kocie czółko. Może mi się przesłyszało, a może zwierzęta naprawdę przemawiają ludzkim głosem?

Na dworze mróz. Idąc do samochodu, zatrzymałam się na chwilę, żeby spojrzeć w niebo. Było całkowicie bezchmurne, usypiało gwiazdy w granatowej kołysce. Wyraźnie widziałam drogę mleczną i niektóre konstelacje. Udało mi się dojrzeć Warkocz Bereniki. Gołym okiem można dostrzec w tym zbiorze około pięćdziesięciu gwiazd. Migotały jakby trochę przestraszone, a może szukały w kosmosie swojej właścicielki? Przed nią jak zwykle psy gończe, waleczne i groźne, szczypały w nos i policzki. Śnieg trzeszczał pod butami, a ręce instynktownie szukały schronienia w kieszeniach. Im bliżej podchodziłam do samochodu, tym bardziej zdawało mi się, że niebo nad jeziorem, w stronę „lasu Bojana” przybiera kolor dojrzałej pomarańczy. Ta dziwna zorza pojawiała się i znikwała. Była niewyraźna, ale zauważalna. Czasem można w tym kierunku dostrzec łunę bijącą od miasta, dlatego zbytnio się przejęłam, ale z każdym moim krokiem owo źródło jasności stawało się wyraźniejsze. Nie wiedziałam, co mogłoby dawać ten blask. Widok na jezioro zasłaniały ośnieżone liczne drzewa i krzewy. Kiedy ruszyłam autem spod domu, poświata stała się na tyle intensywna, że byłam więcej niż pewna, że w oddali płonie stary ośrodek wypoczynkowy. Wrzuciłam kolejny bieg i wcisnęłam gaz. Kiedy już znalazłam się na rozstaju dróg, ze zdumienia otworzyłam jeszcze szerzej oczy. Ogień palił się nie wśród spróchniałych domków letniskowych czy w lesie. Nie zostały też podpalone stare łódki zacumowane przy brzegu... Ognisko płonęło na środku jeziora!

Zaparkowałam na skraju drogi. Włączyłam w telefonie latarkę i szybko ruszyłam w kierunku ognia. Im byłam bliżej tego dziwnego zjawiska, tym mocniej biło mi serce. Widziałam jakieś cienie chodzące wokół ognia. Kiedy przyszło mi wejść na lód ze strachu, zatrzymałam się i chciałam zawrócić, ale do moich uszu dobiegł jakiś przyjazny dziewczęcy śmiech. Skoro są w tamtym towarzystwie kobiety, to chyba pozostali nic mi nie zrobią, tłumaczyłam sobie, a tak naprawdę coś mnie tam ciągnęło. Może to ten ogień tak hipnotyzował? Wyglądał niczym pomarańczowa kula słońca na tle mroźnego nieba. Płomienie wzbijały się w górę jak tańczące z radości ogniki i ginęły rozproszone wśród gwiazd. Słyszałam trzask palonych szczap drewna. Dziki język ognia.

Szłam bardzo wolno, wiatr czasem się wzmaczał i bił mnie po twarzy, gdzieś w oddali huczał po jeziornej równinie. Byłam coraz bliżej, teraz już dobrze widziałam to przeogromne ognisko. Gdy postaci stawały się coraz większe, wyszedł ku mnie jakiś człowiek, a może raczej zwierz? Nie miałam żadnych wątpliwości: to Bojan!

– Jaśmina! Co ty tu robisz? – Już teraz biegł w moim kierunku. Pod każdym jego krokiem śnieg na lodzie topniał, zostawiając na nim ogromne, ciemne ślady.

– Co ja tu robię? Mieszkam, człowieku, ja tu niedaleko mieszkam. A ten ogień? Powariowaliście?

To wszystko się nie roztopi?

Nad płomieniami pojawiła się jasna, prawie przezroczysta twarz, utkana jakby z nurtu górskiego źródła. To Jagoda machała już ręką na powitanie.

– Kobieto! Widać, że nie znasz się na fizyce! – Bojan machał przede mną rękami, wskazując na ognisko, wyraźnie ożywiony i jakby szczęśliwszy. – Tu nic nie ma prawa się roztopić, nie przy takich temperaturach! Prawie cały czas jest grubo na minusie. Lód ma prawie pół metra grubości! Poza tym to, co się rozpuści, od razu zamarza. Jedyne, o co możemy się martwić, to żeby nie wybuchło! Ha, ha, ha! – roześmiał się głośno i szczerze.

Pierwszy raz go widziałam w takiej euforii. Na jego ciemnej brodzie igrało światło ognia, wydobywało mahoniowe refleksy. Oczy błyszcząły jak u wilka. Miałam wrażenie, że potrafi widzieć w ciemności. Mówił dalej:

– W niektórych miejscach pod lodem zbiera się łatwopalny metan. Jak się go dobrze zlokalizuje, to można wyciąć w przerębli niewielki otwór, podpalić zapałką i lód będzie sam płonął bez ingerencji z zewnątrz! To jest dopiero zjawisko! Chodź bliżej, Jaśmina, chodź do nas! Po takim lodzie to traktorem można przejechać i nic się nie stanie! A ty myślisz, że jak przywieźliśmy tu drewno? No przecież nie w plecakach!

Rzeczywiście, w bezpiecznej odległości od ognia w oddali majaczyły dwa terenowe samochody! Nie mogłam uwierzyć. Wiedziałam, że ludzie jeżdżą samochodami po lodzie, ale żeby przyjeżdżać tu w nocy? To jest takie niebezpieczne! Objął mnie ciężkim ramieniem i popchnął ku znajomym. Nie czułam od niego alkoholu. Jego twarz nabrała blasku, stała się gładsza. Może po prostu służyła mu ciemność nocy?

– Jak myślisz, co pierwsze się zamrozi: zimna woda czy wrzątek? – Podał mi kubek gorącej herbaty prosto z termosu.

– No nie wiem, chyba zimna woda – odpowiedziałam nieco zmieszana.

– Ha... to spróbuj włożyć do zamrażalnika dwie miseczki z wodą i sama zobaczysz, co się stanie. Gorąca szybciej zamarznie.

– To niemożliwe! – Zaskoczona poparzyłam język płynem.

– Jak mi nie wierzysz, to spróbuj!

Leśniczy opowiadał dowcipy. Ogień był jak cicha muzyka. Kołysał się, trzaskał i popiskiwał. Odbijał się na naszych twarzach. Byli tu jeszcze panowie, z którymi wypuszczaliśmy Lobo, ale wyraźnie już wstawieni. Bojan był trzeźwy, może zaczął leczenie i dlatego zniknął na jakiś czas? Nie miałam śmiałości go pytać. Takie ogniska pewnie nie są legalne, ale kto zabroni leśnikom? I kto tu teraz przyjedzie gasić pożar w tę wigilijną noc?

– Bojan, a ty nie mogłeś po mnie zadzwonić? Dobrze, że zdecydowałam się pojechać na



pasterkę... inaczej ominęłoby mnie takie ognisko!

– Jaśmina, ty masz rodzinę. Nie jesteś sama jak ja, przecież dziś jest Wigilia. Normalni ludzie to albo już śpią, albo idą do kościoła. – Cały czas patrzył w ogień, jakby rozmawiał z nim, a nie ze mną.

Zdażyłam tylko smutno westchnąć:

– Nie mam już pełnej rodziny. Rozchodzę się z mężem. Nie udźwignę tego sama, nie mam na niego siły, a może już mi się nie chce? Wiem jedno: nie umiem z nim żyć.

– Co? – Był wyraźnie zaskoczony. – Kobieto! Chyba zwariowałaś? I co, pozbawisz córkę ojca? Ot tak, bo ci się znudziło?! Będzie kolejna rozbita rodzina?

– Bojan, nie denerwuj mnie. Nie wiesz, co się między nami działo. Poza tym, co ty wiesz o życiu pszczoł, jak w ulu nie mieszkasz! – Parafrazując Danutę Wałęsę, lekko się zmieszałam. Nie powinnam tego mówić. Bojan przełknął ślinę i zacisnął zęby.

– Przepraszam, nie powinienem oceniać, nie znam szczegółów. Myślałem, że może wam się uda to wszystko poskładać. Tylko żebyś nie żałowała. Później trudno to będzie odkręcić, jeśli w ogóle... – Zamilkł, po czym dokończył: – ...będzie do kogo wracać. Kobieto, to są twoje decyzje, a dziś jest taka czarna noc! Mówi się, że bez słońca świat jest okropny, a to nieprawda! – Uniósł głowę do nieba.

Rzeczywiście miał racę. Wszystko, co nas otaczało, było roziskrzane i migotliwe, gwiazdy, ogień, śnieg na lodzie mienił się jak brokatowe drobinki. Trzciny, majacząc w oddali, rzucały cień od niepełnego księżyca. Biała czapa wokół jeziora zasłaniała chyba wszystko. Drzewa i lasy od niej jakby pełniejsze, większe, a pomiędzy nimi mrok jak kudłaty ogon wilka wciskał się w każdą napotkaną szczelinę.

– Bojan, czy wy tak zawsze w tym miejscu palicie ogniska? Tyle lat już tu mieszkam i nigdy czegoś takiego nie widziałam.

– Bo nie było takich mrozów! Myślisz, że bym wszedł na jezioro, jak bym nie był pewien jego zamiarów? Aż taki głupi nie jestem. Poza tym, my jesteśmy dziwakami z lasu. Nikt tu nie ma normalnej rodziny, w święta spotykamy się i coś wymyślamy. Jedziemy na żaglówki, rozpalamy ogniska. Razem jest łatwiej, jak się chce o czymś zapomnieć... Poza tym mój dziadek, stary weteran wojenny, zawsze rozpalał ogniska w wigilijną noc. Mówił, że trzeba oświetlić drogę wszystkim wędrującym do swych domów. On kiedyś mało nie zamarzł w lesie, uciekając przed Ruskami. Uratowali go wtedy jacyś ludzie – zobaczył płomień ich ogniska. Opowiadał wtedy historię, jak matka gotowała ziemniaki w rosyjskim hełmie, na żywym ogniu, w starych zgliszczach ceglanych kamienic, bo nie było garnków ani kuchenki. Zawsze rozpalam ogień w tę noc. Oświetlam drogę dziadkowi, żeby wiedział, jak do mnie trafić... – urwał opowieść, wstał i ruszył w ciemność po kolejne szczapy drewna.

Było w nim coś intrygującego. Jak nie cuchnął sfermentowanym alkoholem, to wyglądał porządnie. Mógłby ułożyć sobie życie na nowo, ale do tego trzeba mieć dużo samozaparcia i pokory,

poza tym trzeba chcieć. Języki ognia ogrzewały zmarznięte policzki, ciepło bijące od paleniska zdawało się przybierać na sile, robiło się naprawdę gorąco. Zdjęłam czapkę i rękawiczki, rozpięłam kurtkę i usiadłam na maleńkim krzeselku przyniesionym przez leśniczego. Siedzieliśmy teraz w milczeniu. Bojan myślał o czymś przyjemnym, patrzyłam na niego kątem oka, od czasu do czasu podnosił kąciki ust w błogim uśmiechu. Zdjął szal i ciepłą katanę, jakieś diaboliczne cienie zagrały na jego twarzy. Zmarszczył czoło i rozpiął guzik flanelowej koszuli. Coś zaświeciło mu pod szyją. Zaczął delikatnie padać śnieg. Bojan przecesał ręką włosy, odgarniając je do tyłu. Teraz już byłam pewna. Ten wisiołek to był mój wilczy kiel! Podarunek z zeszłego miesiąca. Najpierw go wyśmiał, a teraz nosił? Musiał się do tego przyłożyć, przecież trzeba było go oszlifować i wywiercić dziurkę. Utkwiłam spojrzenie w płomieniach, moje policzki oblały się żarem. Ucieszyłam się, ale też trochę speszyłam. Nie zapytałam o kiel. Nie miałam śmiałości. Nie wiedzieć czemu, Bojan budził we mnie strach i respekt. Coraz częściej zastanawiałam się, ile może mieć lat. Dziś wyglądał na dużo młodszego niż wcześniej. Ale to pewnie ta głęboka noc ukryła wiek. Ogień ma w sobie coś z misterium: oczyszcza i uspokaja. Mogłabym patrzeć w niego godzinami. Miałam jechać do kościoła, żeby się pomodlić, ale przecież tu też mogę zrobić dokładnie to samo. Na pasterkę już nie zdążę, a takie ognisko żal zostawiać. Wyciągnęłam z torby karteczkę z wierszem. Ukradkiem przeczytałam go jeszcze raz, schowałam w dłoniach i zamykając oczy, powierzyłam światu swoje problemy. Poprosiłam o jeszcze jedną rzecz, może niebo mnie kiedyś wysłucha. Wstałam i niewiele myśląc, wrzuciłam prośbę do ognia. Papier zasyczał w płomieniach. Zwinął się w kłębuszek i zniknął. Niech wzbije się jego energia i wypełni cały kosmos.

Kiedy ponownie usiadłam miałam wrażenie, że ktoś mnie obserwuje. Nie była to Jagoda ani znajomi leśnicy. Oglądałam się za siebie w poszukiwaniu tych oczu, których spojrzenie czułam na karku. Myślałam początkowo, że to Luna gdzieś się schowała, ale Bojan powiedział, że zamknął ją w domu, bo nie chciał, żeby narobiła hałasu i problemów. Poczułam, jak coś przebiegło mi po nogach! Natychmiast spojrzałam na buty, ale niczego nie dostrzegłam. Za chwilę doznałam tego samego dziwnego uczucia. Teraz już podniosłam nogi, może lód pode mną pękał albo się roztopiał? Bojan zauważył moje zaniepokojenie i od razu zapytał:

– Co jest, kobieto?! Ryby cię w nogi skubią? – Ironicznie spojrzał na moje buty.

– Nie wiem. Mam wrażenie, że ktoś nas obserwuje, a przed chwilą jakby mi coś przebiegło po nogach. Może jestem przewrażliwiona? – Objęłam się ramionami, mimo ciepła skuliłam jeszcze bardziej w sobie.

– Coś cię obserwuje w noc wigilijną...? – Spojrzał w moją stronę. – To duchy wilków albo innych żyjątek leśnych.

– Jakich wilków?

– Podczas wojny mój dziadek widział, jak jego sąsiadka z niemowlęciem na rękach uciekała

z płonącego domu daleko w las. Był wielki mróz, ludzie zamarzali, a potem znajdowano ich zeszywniałe ciała. Nie było ich gdzie grzebać, bo ziemia zmarznięta. Zbierali ich w szopach, kładli ludzkie sople jeden obok drugiego, a jak śniegi puszczały, grzebali w ziemi. Łatwiej byłoby spalić, ale ogień przyciągał uwagę. Jak Ruskie poszli dalej, to szukali tej kobiety, chcieli ją godnie pochować, ale ciała nigdzie nie było. Aż pewnego dnia wyszła z lasu, twarz jej poczerniała, pokryła się jakby lodową łuską, a ręce czerwone, jak krwią myte miała. Szło za nią zdrowe dziecko. Opowiadała potem, że w lesie nawet myśli jej zamarły, nóg nie czuła i w końcu padła na śnieg. Kiedy otworzyła oczy, ujrzała dwa światła bijące z korony Matki Boskiej. Wiedziała, że umiera, gdy coś chwyciło ją za kark i uniosło. Myślała, że to śmierć przecięła jej wątłe gardło, unosząc duszę do nieba. Obudziła się w ciemnej norze. Coś piszczało, warczało nad uszami. Była pewna, że to ciasna droga do piekła, a kiedy przytulił się do niej włochaty stwór, podskoczyła przerażona, że to sam diabeł po nią przyszedł. Dopiero po jakimś czasie dotarło do niej, że to wilki przyciągnęły ją do nory i karmiły zwróconym mięsem, a dziecko mlekiem z ciepłych sutków. Kiedy ujrzała pierwszy promień słońca, wygrzebała się z nory, jakby pazurami zza grobu tunel drażyła, ale wilków już nie było. Zostało po nich tylko odchowane dziecko. Swojego już nie miała, małego nieboszczyka długo szukała, ale wokół jamy nie było po nim śladów. Wczesną wiosną więcej ludzi z lasów wychodziło. Jak przeżyli w nim srogie zimy? Opowiadali, że psy ich w zębach nosiły. Że widzieli, jak wilki odprowadzają dusze zmarłych do Boga. Takich historii tu, na naszych Mazurach, jest więcej\*. Duchy wilków i ludzi przychodzą do ognia. Obserwuj je i milcz. Rozmową można je tylko wystraszyć. Takie dusze są bardzo nieśmiałe, wszystkiego się boją. Wszędzie jest ich pełno, chowają się na gałęziach, na strychach i w piwnicach. Czekają na swoje wilki. Jaśmina, nic nie mów, tylko siedź i patrz. – Przystał opowiadać, nalał sobie herbaty do plastikowego kubeczka i znów zapatrzył się w ogień.

Odwróciłam się jeszcze raz za siebie i już zupełnie inaczej postrzegałam ten krajobraz. To nie były zwykłe jezioro i ziemia. Tu, porozrzucane niedbale, wszędzie leżały kości moich przodków. Były wszędzie. W poszyciu leśnym, a może jeszcze do tej pory wodne stworzenia karmią się ich szczątkami? Znowu zamknęłam oczy, czułam żar bijący od płomieni, jakieś stukania, szумы, trzaski gałęzi. Zdawało się, że gdzieś niedaleko pohukuje sowa, a coś stuka pazurami w lód. Siedzieliśmy jeszcze w ciszy, a każdy z nas milcząco intonował jakąś modlitwę. Myśli spletały się nad słupami ognia, mogłabym tak trwać wiecznie. Jak dobrze, że wyszłam z domu.

Spojrzałam na zegarek, dochodziła już prawie druga w nocy. Musiałam się zbierać do domu. Zosia mogłaby się martwić. Ostatni raz spojrzałam w rozgwieżdżone niebo, płatki śniegu roztapiały się na policzkach i powiekach. Poczułam wilczą łapę na czole, naznaczyła mnie już chyba na całe życie. Tajemnicza, waleczna, wolna, silna jak skała wilczyca. Zabrałam ze sobą jej czucie i zapach. Zaniośłam do wiejskiego domu, który przywitał mnie w środku nocy skrzypiącymi drzwiami, otoczył uroczystym zapachem lasu i siana. Usiadłam jeszcze na chwilę przy choince, wypiałam lampkę czerwonego wina, a Bezowa Maryjka łąsiła się już na moich kolanach. Cały czas wylizywała brudne

futerko. Głaskałam ją po brzuszku i dobrze wiedziałam, że żyją w nim inne zbłąkane kocie istnienia.

Boże uchronij od nienawiści

Moje serce i myśli.

---

\* Historia wysłuchana w Jedwabnem (w powiecie Szczytno) w 2016 roku.

# Legenda Szoszonów

## (powitanie śmierci)

Pomiędzy wysokimi szczytami pomarańczowych skał a zielonymi równinami, w odległym czasie zwanym „pradziejem” pisała się historia pierwszych ludów Ameryki. Stare kobiety i wiekowe skały były na równi czczone i szanowane, a ludzie i zwierzęta mieszkali razem. Bez obawy mogli pić wodę z tych samych jezior i strumieni. Szoszoni największy respekt czuli wobec wilka, uważając go za swojego stwórcę. Jego silne i szybkie łapy często zostawiały ślady na złotym piasku pośród kanionów, a pomiędzy namiotami wyściełano im legowiska, żeby mogły spokojnie odpocząć. Najstarsi z rodu mogli rozmawiać z wilkiem, który przekazywał im swoją wiedzę. Ale był wśród wilków również kojot, od którego ludzie stronili, wiedząc, że jest podstępny i przebiegły. Wszyscy trzymali się od niego z daleka. Kojot zazdrościł wilkowi poważania i chciał się na nim zemścić, a najbardziej pragnął, by znienawidzili go Szoszoni. Pewnego dnia wilk wyjawiał mu sekret, że potrafi wskrzesić zmarłych, wypuszczając spod ich ciała strzałę z prędkością, która chwyta ulatującą duszę.

Kojot dobrze wiedział, że to spodoba się ludziom. Podejrzewał, że właśnie dlatego Szoszoni czczą wilka, bo pewnie wskrzesza wszystkich, nie doświadczając nikogo bólem śmierci. Postanowił odwieść wilka od tych uczynków, tak bardzo jego serce było przepełnione nienawiścią i zazdrością. Codziennie przychodził do niego, mówiąc, że jak tak dalej będzie robił, to niedługo zabraknie miejsca na ziemi również dla niego i jego wilczych dzieci. Nocami szeptał mu do ucha: „Raz umarli powinni zostać martwi”. Nie dawał mu wytchnienia. Wilk nie miał już siły odpierać jego ataków. Coraz mniej rozmawiał z ludźmi, zaczął chować się w najgłębszych norach i jaskiniach, coraz rzadziej zaglądał do indiańskich namiotów.

Aż pewnego dnia przestraszony kojot przybiegł do wilka. Gonił własny ogon. W jego oczach czał się strach, a nastroszona na grzbiecie sierść świadczyła o przerażeniu. Wyglądał, jakby postradał zmysły. Wilk już wiedział, co się stało, syn kojota został ugryziony przez grzechotnika, a żadne zwierzę na ziemi nie jest w stanie tego przeżyć. Kojot słał się przed basiorem, lamentując i błagając, by wskrzesił jego dziecko, na co wilk odpowiedział mu: „Raz umarli powinni zostać martwi”.

Od tego dnia przestał przywracać ludzi do życia, zgodnie z radami kojota. Tamten dzień stał się

pierwszym, w którym na dobre rozgościła się śmierć na ziemi. Za złe uczynki kojota jego syn zmarł jako pierwszy. Od tej pory nikt już nie powstał z martwych, a każda śmierć zadawała głębokie rany. Kojot nie osiągnął swego celu, gdyż ludzie nadal czcili wilka. Odtąd wzywali jego imienia przy blasku księżyca, pozostał na zawsze w ich pamięci jako mądry i wielki król ziemi i lasów\*.



## *Nowa siła od wilka*

Ta legenda wywarła na mnie ogromne wrażenie. Skoro w podaniach wilki potrafią wskrzeszać umarłych, to dla mnie jest to jednoznaczne z tym, że są również (a może raczej przede wszystkim?) w stanie odbudować poranioną duszę człowieka. Wilk może stać się jak talizman chroniący przed złem, oznaką silnego charakteru i wielkiej odwagi. Wystarczy zamknąć oczy i posłuchać, co do nas mówi. Ma on wiele wspólnego z ludźmi. Każdy, kto się z nim utożsami, dostanie od wilczego ducha siłę i odwagę.

Człowiek w legendzie Szoszonów nie ma wygłodniałej duszy, nie cierpi, bo potrafi żyć w zgodzie z naturą i jej odwiecznymi prawami. To się zmienia, dopiero kiedy wilk opuszcza siedliska człowieka, ale zawsze w pozostaje poblizu. Przez kojota (który jest symbolem zła) człowiek staje się śmiertelny i pomimo tego doświadczenia nie przestaje wierzyć w Stwórcę. Ta historia może również znaleźć odzwierciedlenie w innych religiach. Jej sednem jest jedna uniwersalna prawda: zło powraca w najbardziej nieoczekiwanym momencie. Kojot sam wymierzył sobie największą karę. Zaślepiiony nienawiścią i zazdrością nie potrafił pogodzić się z tym, że jest ktoś ważniejszy od niego. Pragnął sławy, poklasku i był żądny władzy. Najbardziej uderzyło mnie przesłanie, według którego za szkody wyrządzone przez rodziców mogą ucierpieć ich dzieci. Odwieczne prawo karmy: ile dajesz, tyle do ciebie wróci. Wszystko, co kojot kiedyś zasiał, zebrał z potrójną mocą. Myśli, emocje i zachowanie człowieka mają wpływ na doświadczenia, jakie spotykają nas w życiu.



## *Wilk stwórcy*

Wielokrotnie spotykałam się z symbolem wilka na herbach rodowych, starych pierścieniach, banderach, tarczach bitewnych, bandanach czy nawet tatuażach. Współcześni ludzie również przybierają barwy ochronne, podobnie jak plemiona pierwotne. Jestem w stanie uwierzyć w to, że tatuaż wilka może dawać siłę, a na pewno ma za zadanie codziennie o niej przypominać. Przedstawienie wilka znajduje się w godle niepodległej Czeczenii (Iczkerii), państwa, które na arenie międzynarodowej nie jest uznawane. Wilk jest tam jednym z najważniejszych symboli narodowych.

Tamtejsza legenda głosi, że kiedy Bóg dostrzegł, że wszystko, co stworzył, nie jest idealne, że

zawiedli go ludzie, wyrządzając sobie krzywdy, nie szanując ziemi, wywołując wojny, postanowił, że zgładzi wszystko, co do tej pory stworzył, zsyłając na ziemię potężny huragan. Ludzie, uciekając, tratowali się nawzajem, nie zważając na dzieci i zwierzęta. Bóg, widząc, że człowiek się nie opamięta, zesłał na ziemię jeszcze większy huragan. Spośród wszystkich żywych stworzeń jedynie szara wilczyca położyła się na ziemi, ochraniając własnym ciałem swoje wilcze dzieci. Bóg nie mógł pojąć, jak zwierzę jest w stanie mu się przeciwstawić, i nakazał wiatrowi wiać z jeszcze większą mocą. Jednak wilczyca się nie ulękła, a jedynie jeszcze mocniej wbijała pazury w ziemię. Spostrzegłszy to, inne zwierzęta poszły za jej przykładem i przestały uciekać, próbując zмагаć się z wiatrem. W ślad za nimi poszedł również człowiek. Bóg obserwował wilczycę kilka dni i zrozumiał, że dopóki na ziemi będą istniały nieustraszone i waleczne wilki, nie uda mu się zniszczyć świata. Uszanował odwagę wilka i uciszył żywioł\*\*.

Takich historii jest znacznie więcej. Macierzyński instynkt wilczycy jest ważnym elementem legendy o założeniu Rzymu przez Remusa i Romulusa. Amuliusz kazał dzieci utopić w rzece, ale zamiast tego ich kat puścił je na wodę w koszyku. Dzieci znalazła dzika wilczyca, zaniosiła do swojego legowiska i wykarmiła własnym mlekiem. Uratowała w ten sposób obu chłopców, a kiedy później Romulus założył Rzym, karmiąca ludzkie dzieci wilczyca stała się symbolem miasta.

Wielu badaczy starało się wyjaśnić symboliczne znaczenie tego mitu i „nie bez przyczyny dopatrywano się związku z rzymskimi burdelami nazywanymi lupanariami, czyli miejscami wilczyc. W języku łacińskim słowo prostytutka oznaczało wilczycę. Stąd tylko krok do stwierdzenia, że założyciele wiecznego miasta zostali wychowani przez nierządnicę obdarzoną gorącym sercem i obfitym biustem”\*\*\*.

Kiedy o tym przeczytałam, wcale się nie zdziwiłam, a jedynie roześmiałam w głos. To kobieta jest na ziemi łącznikiem między światem duchowym a materialnym. Jej utożsamianie się z najdzielniejszym ze zwierząt może tylko pogłębić wiarę w siebie i świat. Podejmujemy ogromny wysiłek, żeby zbudować dla naszych dzieci domy, żeby zdrowo je karmić, chronić i leczyć. Możemy uzdrawiać i głęboko kochać, tylko chciejmy rozpalić w sobie tę wilczą iskrę stwarzania i tworzenia. Wykarm sobą i swoją miłością innych ludzi, obdarzaj ciepłem nawet swojego wroga, wyzbywając się nienawiści. Na tym fundamencie stworzysz złote miasto. Nie rozdawaj swojej energii każdemu, kto o nią prosi.

Pokochaj siebie na nowo i nie pozwól, by wichry zmiotły cię z powierzchni ziemi. Takie historie jak te powyżej mogą być wielokrotnie zmieniane, powielane, na nowo składane z zupełnie innych części, wybielane, bądź kolorowane od nowa. Można wyrzucić z nich kilka słów tylko po to, aby w ich miejsce wstawić coś nowego, ale nigdy nie da się o nich zapomnieć. Jest ukryta pomiędzy słowami taka prawda, która ocala od zapomnienia. Zawsze będzie krążyła gdzieś pomiędzy nocą a dniem i najgłębiej dotykała tego, co jest niewidoczne dla ludzkiego oka.

To, czego szukamy, również poszukuje nas. Trudno więc odnaleźć skarb, jeśli się go w ogóle nie zaczęło tropić, jeśli nie podjęto się trudu przetrząsania każdego kąta, aby go odnaleźć. Trudno jest odzyskać harmonię, jeśli się nie wie, co sprawia przyjemność, a co smutek. Odnajdź swoje wewnętrzne dziecko i powiedz „nie” tym, którzy na to zasługują.



## *Wilk jako zwierzę mocy*

Spotkałam się z tym pojęciem już po napisaniu mojej pierwszej książki *Zwilczona*. Dotąd nie miałam pojęcia, że „zwierzęta mocy” są częścią naszej psychiki. W odległych czasach, kiedy czarownicy, szamani, magowie cieszyli się wielkim autorytetem, z chęcią korzystano z ich pomocy. Ci ludzie o nadprzyrodzonych mocach potrafili komunikować się ze światem duchów, posiadali najgłębszą wiedzę o stworzeniu świata i człowieka. Według wierzeń Indian życie każdego człowieka związane jest z dziewięcioma totemicznymi zwierzętami mocy, które podobnie jak Bóg chrześcijan, rozdają talenty, marzenia, chronią przed niebezpieczeństwem i złem.

Szamani uważali, że w każdym z nas jest uśpiona cząstka zwierzęcej natury, a co za tym idzie, również ich mocy. Dlatego tak ważne było rozpoznanie, które zwierzę opiekuje się daną osobą. Już od dnia narodzin obserwowano dzieci, próbując nadać im właściwe imię, bądź oddać pod ochronę odpowiedniemu bóstwu. To miało ogromny wpływ na późniejsze życie: jeżeli silny chłopiec wiedział, że jest „szybką panterą” czy „mądrym wilkiem”, charakter jego zwierzęcego opiekuna miał inspirować go i dodawać mu sił we wszelkich życiowych zmaganiach. Nie muszę być szamanem ani magiem, żeby umieć porozumieć się z czymś, co wiruje ponad nami i czasem muśnie nas skrzydłem. Wystarczy, że wsłucham się w siebie. Kiedy przychodził do mnie wilk, nie stałam się opętana. Doświadczałam jego obecności podczas trudnych spotkań w pracy, kiedy mówiłam sobie w głowie „dasz radę, przecież jesteś silna jak wilk”. Jak odnaleźć swoje zwierzę mocy?

Najpiękniejsze pomysły rodzą się w ciszy. Kiedy już odbędzie się setki rozmów z przyjaciółmi, przeczyta kolejne książki, zobaczy nowe miejsca, wtedy potrzeba ciszy, żeby umysł mógł przepuścić wszystko przez wewnętrzne sito poznania. Oddzieli ziarna od plew, a w sercu zostaną słowa, które ułożą się na kształt mapy. Tak naprawdę duch opiekuńczy sam znajdzie ciebie. Przywołasz go myślami. Zastanów się, czy w twoim życiu pojawia się czasami jakieś zwierzę, a jeżeli tak, jakie ono jest? Pochowaj w bezpiecznej odległości kojoty, a przygarnij niechciane dziecko duszy. Niech nikt ci nie wmówi, że pierwotna świadomość oraz wewnętrzne czucie i intuicja są nieprzydatne w obecnych czasach. One były, są i będą, więc pozwól im rozgościć się w twoim domu na dłużej. Zbudują stan harmonii, który ochroni cię przed najgwałtowniejszym huraganem.



\* Legendę w języku angielskim przeczytałam na stronie <http://www.firstpeople.us> i dokonałam własnego, amatorskiego tłumaczenia. Strona jest poświęcona pierwszym rdzennym mieszkańcom Ameryki Północnej (Turtle Island; Native American Legends).

\*\* W. Jagielski, *Wieże z kamienia*, Warszawa 2005, s. 130.

\*\*\* H. Grimaud, *Dziki wariacje*, Warszawa 2007, s. 169.

# Doradca duchowy

Miałam takie święta, jak chciałam. Dom pełen życzliwych ludzi, żadnych kłótni, piękne rozmowy i nowe doświadczenia. Kiedy Zosia wyjeżdżała, chciałam ją tu zatrzymać na dłużej, ale obowiązki i praca wzywały do powrotu. Zostałam więc w pachnącym domu z córką i zwierzętami. Bezowa kotka oczyściła się z brudu zaskakująco szybko. Jej puchata śnieżnobiała sierść przypominała już teraz mieszankę persa z dachowcem. Włoski miała dłuższe i bardziej miękkie niż u innych kotów. Była zupełnie inna niż moje koty. Reagowała na gwizdanie tak samo jak pies. Mogłam być w łazience na pierwszym piętrze, a ona na parterze i zanim zdążałam się odwrócić, już siedziała za plecami, wpatrując się we mnie jak w jedyną prawdziwą miłość swojego życia. Potrafiła pół dnia chodzić za mną krok w krok. Nie oczekiwała pieszczot, tylko sprawdzała, co robię i gdzie jestem. Jeśli się znudziła, szła spać. Najczęściej jej legowiskiem było moje łóżko albo kuchenny parapet. Żaden inny jej tak nie pasował jak ten zastawiony lampionami, książkami kucharskimi, ziołami i kwiatkami w doniczkach. Była tam jedynie odrobina miejsca, w którą wpasowywała się idealnie. Była najczulsza ze wszystkich moich czworonogów i zawsze spała ze mną w pokoju. Uspokajałam się, kiedy zatapiałam rękę w jej ciepłej sierści. Patrząc w te cudne tajemnicze oczy, wiedziałam, że zostanie moja i nie ucieknie. Był tylko jeden problem. Oddalałam od siebie dzień wizyty u weterynarza. Podejrzywałam, że nosi pod sercem jeszcze kilka istnień i kiedy usłyszałam: „Tak, proszę pani, oooo tu. To są przynajmniej trzy kocie serduszka”, wcale mnie to nie zdziwiło. Zastanawiałam się tylko, komu je oddam, jak będą wyglądały oraz ile ich będzie...

Marysia chodziła do przedszkola, a ja całe dni spędzałam na pisaniu książki i delectowaniu się spokojem. Kiedy moje herbaciane zapasy znikły, jeździłam do naszej szczytnickiej Herbacianej Wróżki – pani Eli, której pachnące stoisko w Kauflandzie znają wszyscy miłośnicy tych naparów. To był właśnie jeden z tych dni, kiedy śnieg topniał, a na dworze zaczęła się robić błotnista breja. Wiatr zrywał czapki z głów i jedynymi zapewne marzeniami przeciętnego śmiertelnika były dobra książka i kubek aromatycznej herbaty. Stojąc przy herbacianym stoisku, nigdy nie mogłam się zdecydować, czy wolę zieloną, czarną, a może rooibos albo mieszankę ziołową? Zawsze kupowałam kilka celofanowych, starannie zapakowanych woreczków, pełnych kolorowych kwiatków, migdałów, goździków, czekoladowych gwiazdek albo srebrnych kuleczek z cukru. I to był właśnie jeden z tych dni, kiedy jadąc po Marysię do przedszkola, zajechałam do Eli po jej uśmiech, życzliwość i herbatkę

idealną na dzisiejszą randkę z książką.

Po powrocie zajęłam się dzieckiem i domem, a kiedy nastał wieczór, całkowicie spokojna, że wypełniłam ten dzień tak jak należy, usiadałam w mojej sypialni i czytałam powoli, delektując się ciepłym naparem z kwiecistego kubka. Mijały minuty, a ja byłam wdzięczna światu za to, co mam, przede wszystkim za spokój, który nareszcie spłynął na ten dom. Aż w pewnym momencie poczułam jakiś smród. Jakby ktoś nie zamknął drzwiczek od pieca albo palił śmieci. Najpierw był delikatny, ale po pewnym czasie przybrał na sile. Wstałam i uchyliłam drzwi, swąd był nie do zniesienia rozchodził się już po całym domu. Zeszłam na dół, ale tam już kłębiło się od dymu. Bezowa Maryjka szła obok mnie, krok w krok.

Otworzyłam drzwi od dużego pokoju, a mój mąż siedział rozwalony w fotelu i z miną niewiniątka odpalał jednego papierosa od drugiego. Śmierdziało już w całym domu.

– Joachim! Co ty wyprawiasz?! Otwórz okno! Jak możesz palić w domu! Zwariowałeś! – Byłam czerwona ze złości.

– Myślałem, że ci nie będzie przeszkadzać. Chciałem coś pooglądać. Mój telewizor się popsuł – odpowiedział zupełnie spokojny, z poczciwym uśmiechem na twarzy.

– Co?! Mi nie będzie przeszkadzać?! Dobrze wiesz, jak tego nie cierpię! Przecież możesz sobie zapalić na podwórku, daleko nie masz. Nie wstyd ci przed dzieckiem? Cały dom będzie śmierdział. Jak tu teraz wywietrzysz?! Przecież wiem, że zrobiłeś to specjalnie, żeby mnie wkurzyć! Jak tak możesz?

Pracowicie jak mrówka wypuszczał jeden dymek za drugim i patrzył mi prosto w oczy. Wśród kłębow dymu przypominał dużego psa ze spuchniętą twarzą. Zdawał się mówić: „I co? I co mi teraz zrobisz? Nic!”.

– Jaśmina, uspokój się. Ty nie cierpisz papierosów, a ja twoich śmierdzących kotów, których niedługo będzie tu całe stado. – Wskazał papierosem na Bezę ocierającą się o moje nogi. – To jest też moje mieszkanie – dokończył ze stoickim spokojem i wypuścił kolejną chmurę.

A ja zieleniałam z gniewu. Dym szczypał w gardło. Już nie krzyczałam, darłam się, jakbym chciała wydrapać mu serce i oczy. Krew szumiała w nabrzmiąłych z wściekłości żyłach.

– Ale co ci przeszkadzają moje koty! Nie sprzątasz im w kuwetach, jedzenia też im nie dajesz, to się od nich odwal! Lepiej zrób porządek w swoim pokoju, bo śmierdzi z niego gorzej niż od tych papierosów! Nie rób mi z domu stodoły!

Przerwał mi:

– No właśnie. Chciałem cię poinformować, że nie będę jak pies mieszkał w tej kanciapie nad garażem. Będę spał tu, w dużym pokoju.

Teraz to już zalała mnie krew.

– Joachim, ale jak ty sobie to wyobrażasz, że ja codziennie będę sprzątać po tobie, te twoje ubrania

z pracy, skarpety, koszule? Przecież ty nawet nie jesteś w stanie wrzucić tego do kosza na brudną bieliznę, tylko rzucasz tam, gdzie usiądziesz!

– Niektórych rzeczy nie trzeba sprzątać, bo się jeszcze nadają do noszenia, to tylko tobie przeszkadza, mi nie... – odwrócił się do telewizora, kończąc zdanie – ...już skończyłem palić, nie wściekaj się, bo ci żyłka na czole pęknie.

Byłam wściekła. Ta rozmowa prowadziła donikąd. Musiałam stąd wyjść, w ogóle nie wyobrażałam sobie mieszkania z nim pod jednym dachem, na zasadach, które przed chwilą przedstawił. To był jakiś absurd. Zamknę drzwi od dużego pokoju i nie będę tam wchodzić. Mogę nie korzystać z salonu, ale znając życie, zaśmiec go w ciągu kilku tygodni i potem powie, że przenosi się do sypialni. Przecież to jakieś błędne koło! Może jutro się opamięta. Dom jest mój, w papierach tylko ja jestem jego dziedziczką, ale zgodnie z prawem każdy majątek małżeński jest dzielony na połowę. Intercyzy żadnej nie podpisywaliśmy, kto o tym myśli przed ślubem? Co się z ludźmi dzieje po ślubie? Za dobrze im? Nie potrafię tego zrozumieć, Joachim zmienił się nie do poznania.

Poszłam spać, raczej próbowałam zasnąć. Jak tylko zamykałam powieki, miałam przed sobą jego nabrzmiałą twarz. Nie mogłam znaleźć sobie miejsca w łóżku. Beza przytulała się, kładła swoje puchate łapki na mój brzuch, była taka urocza. Jak można tak powiedzieć własnej żonie? Przecież dobrze wie, jak kocham swoje zwierzaki. Może za dużo od niego wymagam? Nie, nie będę starała się tego zrozumieć, to już i tak jest skończone. Teraz trzeba się rozstać, tylko jak?

Myślałam, że oszaleję. Tak naelektryzowana chyba emanowałam napięciem, bo gdy Marysia się obudziła i przysłała do mnie, zapytała, dlaczego jestem taka zła.

Dziś w nocy była wichura i ulewny deszcz, temperatura powyżej zera nie pozwala nawet marzyć o śniegu. Wszędzie unosi się wilgoć. Widać to po moich włosach, które od razu zaczynają się kręcić. Zeszłam czym prędzej do kuchni, otworzyłam okna, żeby jeszcze wywietrzyć. Zajrzałam do dużego pokoju. I było dokładnie tak, jak myślałam: Joachim spał i zdążył zrobić wkoło siebie prawdziwy chlew. Przełknęłam tylko ślinę i zamknęłam drzwi. Wypiłam pospiesznie kawę, przygotowałam dziecko i jak zwykle zawiozłam ją do przedszkola.

Po powrocie nikogo nie zastałam w domu, za to wszędzie piętrzyły się brudne ubrania, a w dużym pokoju szklanki, talerze i tym podobne. Żeby się uspokoić, zaparzyłam herbatę i usiadłam w fotelu. Po chwili wzięłam się do sprzątania. Wściekłość już we mnie rosła, czułam ją każdym porem skóry. Sama siebie nie lubiłam za brak umiejętności opanowania tego uczucia, ale czasami to było silniejsze. Zbierałam te skarpety i wyobrażałam sobie daleką przyszłość. To było nie do zniesienia. Powinnam teraz pisać, wykorzystując każdą minutę na dokończenie mojej książki, a nie chodzić po domu i wечно sprzątać. Porozrzucane przedmioty należące do mnie nie denerwowały mnie tak bardzo jak widok jego rzeczy. Ta świadomość zaczynała przerażać. Już nie potrafiłam żyć z nim pod jednym dachem. Całymi dniami starałam się wypracować w duszy spokój, a potem wystarczył jeden wstrząs,

jedna rzecz, żeby wyprowadzić mnie całkowicie z równowagi. Nie mam wyjścia, muszę się wyprowadzić. Jeżeli jego zachowanie się nie zmieni, to wybuchnę. Zamienię się w kulę zła i pewnego dnia eksploduję z takim hukiem, że nie będzie czego zbierać. On działa na mnie jak czerwona płachta na byka. Musiałam coś z tym zrobić.

Kolejne dni nie wyglądały lepiej. W ogóle się do niego nie odzywałam, tylko zbierałam, prałam i szorowałam. Nie chciałam, żeby Marysia widziała mieszkanie w takim stanie. Jemu nie było wcale wstyd, chyba nawet przyzwyczał się do tego. Ja go przyzwyczałam, co do tego nie miałam żadnych wątpliwości. Pisanie w ogóle mi nie szło. Niestety atmosfera w domu nie sprzyjała miłośnym uniesieniom bohaterów mojej debiutanckiej powieści, wręcz przeciwnie. Z nastaniem nocy lubiłam czasami rozłożyć w kuchni materiały i pisać przy skąpym świetle lampki. Joachim prawie zawsze wtedy mnie krytykował, mówiąc, że „jak już rozwiążemy ten cyrk, to będę musiała znaleźć sobie nowego sponsora na te książki”. Te słowa bolały bardziej niż bałagan, który rozsiewał wokół siebie. Dostawałam z pracy co miesiąc pensję, co prawda pomniejszoną, ale rzeczywiście Joachim zarabiał więcej. Powoli zaczęliśmy myśleć nad rozdzieleniem konta bankowego. Do tej pory było wspólne. Nawet nie wiedziałam, jak porozmawiać z nim o alimentach na dziecko. Boże! Co to jest w ogóle za słowo „alimenty”! Nie wiem, jak się będę utrzymywać. Mam jakieś oszczędności, ale to i tak jest stanowczo za mało. Nie wiedziałam, co mam zrobić. Zostać w tym domu czy zmusić go do wyprowadzki? Wieczorami popłakiwałam sobie w poduszkę, modląc się do Anioła Stróża przywiezionego ze Świętej Góry Grabarki. Zamykałam oczy i prosiłam moją wilczą przewodniczkę, żeby coś szepnęła mi do ucha, dała jakiś znak. I podczas jednego z tych wieczornych lamentów zadzwonił telefon:

– Jaśmina! A ty co? Znowu płakałaś? Nie wiesz, co masz zrobić? A nie możesz przeprowadzić się do mnie na jakiś czas? Pomieszkaś trochę w wielkim mieście, przecież nie musisz zostawać tu na stałe, no jakoś się pomieścimy. Mówisz, że Beza jest ciężarna? Nie możesz jej zostawić, aha, rozumiem. No to weź ją ze sobą! Będzie prawdziwa komuna w tych moich trzech pokojach, ha, ha, ha! Troje dzieci i tuzin kotów, tego jeszcze nie było! Bierz samochód i przyjeżdżaj, a potem się zobaczy, co dalej! – Taką propozycję złożyła mi Zośka i ta oferta była chyba nie do odrzucenia.

Rano obudziłam się lżejsza, jakbym schudła z pięć kilogramów. Nie byłam pewna, czy mogę zostawić dom na taki nieokreślony czas. Przecież Joachim się tu kompletnie niczym nie zajmie. Kiedy wrócił z pracy, znowu rozłożył się przed telewizorem. Patrzyłam na niego ukradkiem przez szparę w drzwiach i już wiedziałam, że tu nic się nie zmieni, albo ja podejmę decyzję, albo nikt. Nie było na co czekać, poprosiłam go o rozmowę. Wyłączył to grające pudło, oczywiście od niechcienia.

– Joachim. Nie możemy tak żyć. Nie wiem jak ty, ale mnie strasznie męczy ta sytuacja. Cały czas bałaganisz, dogryzasz mi, nie mogę już tego słuchać. Albo ty się gdzieś musisz wyprowadzić, albo ja z Marysią.

– Ja się nigdzie nie ruszam, to jest też mój dom – odpowiedział oschle, jakby mu już nawet nie zależało na Marysi.

– Byłam tego więcej niż pewna. W takim razie wyprowadzam się na jakiś czas do Warszawy. Będę mieszkała u Zosi. Wezmę ze sobą Bezę, ale proszę cię, zajmij się resztą zwierząt.

– No chyba zwariowałaś! I co, mam im gotować, sprzątać kupy i wyprowadzać na spacer? – Poczzerwieniał ze złości.

– Joachim, ty i tak nic w tym domu nie robisz, to mógłbyś się chociaż zająć zwierzętami. Proszę cię o to jak człowieka, albo weź torby, spakuj się i wynocha! Jeżeli wszystko jest dla ciebie problemem! I tak sam tu niczego nie zrobisz! Wynajmij sobie kawalerkę! To ja zostaję z dzieckiem, a nie ty! I tak bym ci nie oddała Marysi! Chociaż nie rób nam już większych problemów niż mamy!

Roześmiał się, wziął pilota i włączył telewizor, zupełnie mnie ignorując.

– Jaśmina, chcesz, to sobie stąd wyjeżdżaj, ale ja zwierzętami się nie zajmę.

– Nie będzie ci wstyd, jak poproszę naszego sąsiada Mietka, żeby je karmił? Człowieku, na litość boską, co się z tobą stało?! Nie będzie ci wstyd? – Byłam zaskoczona.

– Żaden sąsiad nie będzie mi tu przychodził. Jak chcesz, to oddaj je do schroniska albo niech się wyprowadzą razem z tobą.

Byłam załamana. Nic do niego nie docierało, jakby jego serce całkowicie skamieniało. Nie obchodziło go nic poza leżeniem na kanapie i chodzeniem do pracy. Nic. Nawet jakbym chciała go wyrzucić z domu, to nie mam jak. Przecież na siłę tego nie zrobię. Już widzę oczyma wyobraźni sprawę rozwodową i podział majątku, kłócenie się o najdrobniejsze rzeczy. To jakiś koszmar. Nie chciałam zgnić przy nim tak jak wiele innych kobiet przy byłych mężach. Boją się zostać same, a już chyba najbardziej martwią się o finanse. Nie byłam jeszcze stara, mogłam wszystko zmienić, a przynajmniej chciałam. Dla mnie czegoś takiego jak starość nie ma. Istnieje tylko energia, którą się ma albo nie. Moja jeszcze się tliła, buntowała, chciała zmian, ale tych na lepsze. Nie byłam pewna, czy dobrze robię.

Któregoś dnia poszłam do Mietka prosić o pomoc. Oczywiście zgodził się bez najmniejszego sprzeciwu. Zwierzęta miały zostać u niego na stałe. Gdy się z nimi żegnałam, nie mogłam przestać płakać. Zawsze miały takie ufne oczy, kochały nas bezgranicznie. Zjadłyby wszystko z mojej ręki. Koty pewnie i tak będą wracać pod dom, ale z czasem pokochają tego, kto je karmi. Dorobiłam klucz od domu i dałam sąsiadowi, będę też przelewała co miesiąc pieniądze na wyżywienie zwierzątek. Opowiedziałam Mietkowi o swoich planach. Poszliśmy jeszcze popatrzeć na jego kury. Tak bardzo lubiłam słuchać ich gdakania. Często budziły mnie pianiem, melodia wsi to głosy zwierząt.

Pożegnaliśmy się z Joachimem dość oschle. Marysi nakłamałam, że jedziemy do cioci Zosi na ferie zimowe, co nie było prawdą, bo nie wiedziałam, kiedy stamtąd wrócę. W przedszkolu powiedziałam, że za miesiąc... Wzięłam torby, zapakowałam do samochodu. Bezę z trudem

wcisnęłam do transportera (rosła w oczach), miauczała, nie wiedząc, co się dzieje. Było mi tak przykro, że muszę cały ten swój dobytek zostawić, że nie mogłam powstrzymać łez. Jeszcze raz spojrzałam na mój dom i poczułam, że i tak kiedyś tu wrócę, ale już jako inny człowiek. Ścisnęłam w dłoniach woreczek z wilczymi kłami i pomyślałam, że tam jest dom, gdzie serce.

Droga była okropna. Wszędzie korki, wściekli kierowcy i takie panusie jak ja, co bez nawigacji nigdzie nie dojadą. Musiałam robić co jakiś czas przystanki, żeby rozprostować skurczone nogi i zaciśnięte ręce. Byłam mocno zestresowana tą jazdą. Beza wyraźnie nie lubiła klatek. Zdążyła dwa razy zwymiotować, więc kiedy wysiadłam już pod blokiem, zakręciło mi się w głowie od świeżego powietrza. Byłam przerażona. W tym mieście wszędzie był hałas. Zosi blok mieścił się przy dwóch dosyć ruchliwych ulicach, ale cały czas powtarzałam sobie „Tam dom, gdzie serce twoje”.

Po minach chłopców widziałam, że nie byli zadowoleni. Wojtuś, jako że młodszy, od razu się ze mną przywitał i wyciągnął Bezę z klatki. Starszy był bardziej powściągliwy w okazywaniu uczuć. W związku z tym, że przyjechaliśmy, musieli zamieszkać w jednym pokoju. Wojtkowi bardzo się to podobało, ale starszemu już nie. Łóżko i biurko młodszego Zosia umiejętnie ustawiła w pokoju Piotrka. Nam w przydziale został niewielki pokoik. Miałyśmy z Marysią do dyspozycji duży pompowany materac. Lepsze to niż nic. Po długiej podróży marzyłam tylko, żeby pójść spać, więc najadłam się do syta i przytuliwszy do córki, zasnęłam.

Rano, kiedy wstałyśmy, nikogo już w mieszkaniu nie było. Chłopcy w szkołach. Zośka w pracy. W mieszkaniu było brudno. Zaraz po śniadaniu wzięłam się do sprzątanego i gotowania. Taki miałyśmy układ: ja tu mieszkam i pomagam, ale również dokładam się do czynszu. Obliczyłam sobie wszelkie koszty, odjęłam to, co wysyłałam Mietkowi i Joachimowi (oczywiście musiałam dokładać się do opłat), i zostało mi niewiele. A przynajmniej nie tyle, żeby móc spokojnie spać i jeszcze coś odłożyć. Zośka mówiła, że w Warszawie można szybko znaleźć pracę na czarno. Mnie odpowiadałaby praca zdalna: pisanie tekstów do czasopism albo obsługa portali społecznościowych. Posłanie Marysi w tym mieście do przedszkola w ogóle nie wchodziło w grę. Musiałabym tu płacić podatki, żeby dostała się do państwowego, a prywatne kosztowało tyle, ile mi akurat zostawało... Przeglądałam oferty pracy, ale nie wyglądało to najlepiej. Wszędzie oczekiwano pełnej dyspozycji czasowej. Załamałam się, dopiero kiedy poszłam do osiedlowego sklepiku po zakupy. Masło kosztowało dwa razy więcej niż w Szczytnie, a mięso chyba trzy razy. Łącznie za siedem produktów, z których chciałam przygotować obiad dla nas wszystkich, zapłaciłam siedemdziesiąt złotych. Oczy wyszły mi na wierzch już przy kasie. Musiałam koniecznie znaleźć pracę, albo będę się nieustannie martwić o finanse.

Wieczorem rozplanowałyśmy z Zosią kolejne dni. Zakupy miałam robić w dużych supermarketach, jest dużo taniej. Po mięso miałam chodzić na rynecek. Następnego dnia zastosowałam się do jej wytycznych. Zrobienie wszystkich sprawunków, o których rozmawiałyśmy poprzedniego wieczora, zajęło mi ponad pół dnia! Wróciłyśmy z Marysią do domu dopiero o trzeciej po południu! Na rynek pojechałyśmy tramwajem, podobno miało być szybciej niż samochodem.

Potem wróciłyśmy, wzięłyśmy auto i do najbliższego supermarketu, po którym błąkałam się dobre dwie godziny, a kolejne pół stałam w kolejce do kasy. Jak już wróciłyśmy, padłam zmęczona na fotel. Podobno tak to wszystko w tym mieście wygląda. Chcesz zaoszczędzić, to tracisz cenny czas. Kiedy już lekko ochłonełam i wzięłam się do przygotowania obiadu, tuż pod naszym blokiem powstał gigantyczny korek. Otwierając kuchenne okno, żeby wywietrzyć, nie słyszałam nic poza ulicznym hałasem. Poszłam do naszego pokoju, usiadłam na materacu, zamknęłam oczy i wyobraziłam sobie, że jestem w moim mazurskim lesie. Zastanawiałam się, jak ludzie mogą tu żyć? Podobno więcej się zarabia, ale z tego, co już zdążyłam zauważyć, również więcej się wydaje. Wieczorem byłam tak zmęczona, że położyłam się z silnym bólem głowy. Kolejnego dnia znów musiałam pojechać samochodem do weterynarza. Do rozwiązania kociej ciąży zostały tylko dwa tygodnie.

Weterynarz powiedział, że ciąża przebiega prawidłowo i żeby się odpowiednio przygotować, muszę pożyczyć skądś dużą klatkę i tuż przed porodem umieścić w niej kotkę. Mogłam też wykorzystać duży karton. Jakoś nie bardzo wyobrażałam sobie, żeby włożyć do Bezę do klatki, ale weterynarz mówił, że tak jest najbezpieczniej. Kotka będzie pod moją kontrolą i nie schowa nigdzie maluchów, a gdyby coś mnie niepokoiło, to zawsze można zadzwonić po weterynarza. Skąd wezmę dużą klatkę? W drodze powrotnej zatrzymałyśmy się przy sklepie OBI. Wsadziłam Marysię do dużego wózka i pojechałyśmy.

Sklep był naprawdę duży. W moim mieście takich nie ma. Nie wiedziałam, w którą stronę patrzeć. Zewsząd otaczały nas lampy, stroiki, świecidełka, meble. Wobec takiej różnorodności towarów wcale się nie dziwię, że ludzie pragną cały czas kupować. Żyjemy w świecie konsumpcjonizmu, ale kiedy się ma pełen portfel, to jak tu się oprzeć? Nie chciałam dać się zwariować. W końcu nie mieszkałam u siebie, a Zosia należała do tych bardziej „nowoczesnych” i miała zupełnie inny gust niż ja. Ale kiedy weszłam w alejkę pełną kwiatów, krzaczków i drzewek, odurzył mnie ich świeży zapach. Nie mogłam się oprzeć, po prostu nie mogłam! Dobrze wiedziałam, że jest środek zimy oraz że te rośliny na pewno są nawożone i spryskane odpowiednimi preparatami i nie przetrwają w bloku dłużej niż dwa tygodnie, ale moje oczy tęskniły za wszystkim, co zielone. Wzięłam więc pełen kosz jakichś białych i różowych kwiatków. Nawet nie wiedziałam, jak się nazywają, po prostu były przepiękne! Na dnie kosza położyłam jeszcze dwie drewniane skrzynki, które zamierzałam pomalować na biało. U nas w takich drewnianych pojemnikach przewoziło się jabłka. Gospodarze najczęściej kupowali je w hurtowych ilościach, a kto miał małe gospodarstwo, ten sam sobie zbijał z kilku deseczek. W tym sklepie cena jednej wynosiła czterdzieści złotych! Świat na głowę upadł! Ale nie mogłam z tym walczyć, to było silniejsze ode mnie. Nawet zapomniałam o tym, że przyjechałam po klatkę dla Bezy. Kiedy w końcu ją znalazłam, okazało się, że jej cena przewyższa kwotę, którą miałam na koncie. Roześmiałam się w duchu i skończyło się na darmowym kartonie.

Już w domu nakarmiłam Marysię i delektując się chwilowym spokojem, zabrałam się do przesadzania. Znalazłam na balkonie jakieś zmarznięte stare doniczki, a kiedy je umyłam, okazało się,



że wcale nie są takie brzydkie. U siebie w domu też się często na tym łąpałam, że zamiast przejrzeć wszystkie szafy łatwiej coś kupić i niepotrzebnie wydać pieniądze. Często zdarzało się tak, że nawet nie wiedziałam, że mam w domu potrzebną rzecz. Najczęściej znajdowałam je podczas robienia zimowych albo wiosennych porządków. Teraz marzyłam tylko o tym, żeby udekorować kwiatami pokój, w którym spałyśmy, oraz zostawić kilka dla Zosi.

Wsadziłam wszystko do wanny (w swoim domu zrobiłabym to w garażu, tu nawet nie było piwnicy) i zaczęłam grzebać w ziemi (którą również kupiłam). Dotykałam liści, wąchałam je, wrywałam te uschnięte. Meszek porastający łodygi pieścił opuszki palców tak, że zamykając oczy, czułam się jak u siebie w ogrodzie. Delikatne płatki kwiatów przy mocniejszym podlaniu wodą opadały, zostawały tylko te silniejsze albo jeszcze nierozwinięte. Przysypując korzenie ziemią, zobaczyłam swoje czarne od brudu ręce i paznokcie i znowu się rozpłakałam. „Co ja tu robię?“, pytałam samą siebie w duchu. Ale naraz słyszałam odpowiedź płynącą prosto z mojego wilczego serca „Tam dom, gdzie serce twoje”. Przecież mój dom jest teraz tu. Nie mogę cały czas narzekać i utyskiwać. Gdyby nie Zosia, nie miałabym gdzie uciec, przecież nie będę mieszkała tu całe życie. Muszę potraktować ten pobyt jako przygodę, która na pewno czegoś ma mnie nauczyć. Przecież do tej pory w moim życiu nie było przypadków. Z perspektywy czasu widzę, że wszystko działa się w nim z idealną precyzją, każdy problem prowadził do głębszego zrozumienia i poznania. Wszystko działa się po coś. To ja organizuję przestrzeń, w której żyję, ja jestem twórcą domowego chaosu albo porządku. Chciałabym tak umieć patrzeć na życie, żeby wszędzie widzieć tylko dobro. Codzienny lament niczego nie zmienia, a tylko pogłębi tęsknotę. Muszę przestać się mazać i stworzyć taki obszar, w którym będzie się chciało żyć i do którego będę chciała wracać. Przecież wszystko zależy ode mnie. Pieniądze nie mają chyba aż takiego znaczenia. Moja dusza chce być silna i wolna tak jak ja, więc chcę jej słuchać, a do tego akurat potrzebna mi jest zieleni. Zakasałam rękawy, otarłam policzki i dalej przesadzałam.

Kwiaty wyglądały prześlicznie w tych starych donicach. Niektóre misy były ręcznie zdobione i przypominały naczynia z Bolesławca. Kolor innych pod wpływem czasu zmienił się z białego na ecru. Różowe kwiaty wyglądały w nich fenomenalnie. Na koniec pomalowałam skrzynie na białe, a kiedy już wyschły, włożyłam do nich drzewka i kwiaty. Efekt był nadzwyczajny, jak z wnętrzarskiego czasopisma. Jedną misę z roślinami umieściłam w pokoju Zosi. Drugą wstawiłam do naszego pokoju, a pozostałe donice poustawiałam w kuchni. Aby uczcić swoją pracę, zaparzyłam kawę i wygodnie usiadłam w fotelu, podziwiając efekt. Gdzieś tam w środku zrobiło mi się lepiej, jakby jaśniej. Zośka nie mogła wyjść z podziwu, że zwykłe kwiaty mogły tak zmienić duży pokój, nadając wnętrzu bardziej przytulny charakter. Z wrażenia aż ucałowała mnie w policzki i mocno przytuliła, mówiąc:

– Aaa, zapomniałam ci powiedzieć! Władek zaraz do nas przyjedzie. Pamiętasz go w ogóle? Miał przyjechać już dawno po mój popsuty komputer, ale jak się dowiedział, że jesteś, to szybciej

przyjdzie, chętnie się z tobą zobaczy.

Na sam dźwięk jego imienia filiżanka z kawą wypadła mi z rąk, brudząc białe dywany. Zośka mało mi oczu nie wydłubała, podobno są prawdziwe perskie. Chwyciłam szybko szmatkę i ukryłam swoje przerażenie, tępo gapiąc się w podłogę. Przeszło mi przez gardło tylko:

– Tak, pamiętam go.

Gdzie by tu uciec? Przecież nigdzie nie wyjdę pod byle pretekstem, nikogo w tym mieście nie znam. Ze strachu czułam już pot na plecach. Trudno, trzeba będzie się i z tym zmierzyć. Od razu pomyślałam o miksturze, którą kiedyś wspólnie z szeptuchą przygotowywałam dla niego. Zanim tu przyjechałam, przypadkiem przeszło mi przez myśl, że może się z nim spotkam, i wzięłam ją ze sobą. Tylko żeby się nie wygadał przed Zośką! Boże, przecież on był w moim mieszkaniu i dostał w twarz od Joachima! Od tego czasu nasz kontakt się urwał, może się przestraszył? A może to jest tak, że chłop z chłopem muszą dać sobie po gębie, żeby ustalić hierarchię w stadzie?

Szybko poszłam do łazienki. Zamknęłam się w niej i spojrzałam w lusterko. Jak ja wyglądam? Włosów z premedytacją nie farbowałam już od bardzo dawna, brwi niewyregulowane, cera stała się przesuszona w tych zimowych warunkach, a ubranie? Gdy codziennie musiałam chodzić do pracy, zwracałam uwagę, jak się ubieram. Dobierałam kolory, kolczyki. Bardzo lubiłam pachnieć dobrymi perfumami. Te prawdziwe pozostawiały zapach na skórze aż do wieczora. Wystarczyło przejść się szkolnym korytarzem, żeby zostawić za sobą aromatyczną smugę. Najbardziej lubiłam mocne herbaciane zapachy albo orientalne indyjskie. A teraz nie wzięłam ze sobą żadnego flakonika. Nawet o nim nie pomyślałam, pakując się do wyjazdu. Oczu nie malowałam już chyba pół roku. Wystarczyłaby delikatna, brązowa kreska na powiekach, żeby wydobyć ich zielonkawy odcień. Nie pamiętam, kiedy ostatni raz kładłam maseczkę na twarz, a co dopiero mówić o wizycie u kosmetyczki. Dobrze, że chociaż próbowałam nieudolnie ćwiczyć rano i wieczorem. Chyba tylko to trzymało moje ciało w jako takiej formie. Związałam włosy w kok, włożyłam czarny dres (ostatnio w takim stroju czułam się najlepiej), ochlapałam twarz zimną wodą i wyszłam. Nie będę się dla niego stroić, może jeśli uda mi się zrobić na nim wrażenie mało atrakcyjnej, to odzepi się ode mnie na dobre. Wygrzebałam jeszcze z torebki niewielką buteleczkę z miksturą. Ciecz była brunatna, przypominała dobrze sfermentowany syrop wiśniowy albo krew. Odkręciłam zakrętkę i mało nie zemdlałam. Wydzielala obrzydliwy zapach. Jak ja mu to podam?

Nie zdążyłam się nad tym dobrze zastanowić, gdy usłyszałam dzwonek domofonu. Serce zamarło mi w piersi. Z drugiej strony pomyślałam: „Czego ja, głupia, się boję? Przecież ma żonę i dzieci, na pewno nie zdradzi się przed Zośką. Za dużo ryzykuje. Ale może to jego kolejna gra wstępna. Teraz będzie przychodził pod byle pretekstem coraz częściej i znowu zacznie nękać mailami i telefonami”.

Jest! Właśnie wszedł do mieszkania. Wita się z Zosią. Głos mu się nie zmienił, a może jeszcze więcej w nim basu? Czuję ciarki na rękach, a nogi mam jak z waty. Przecież muszę wyjść z tego

pokoju z podniesioną głową!

– Cześć, Władek! – Ze sztucznym uśmiechem, wyprostowana jak nigdy dotąd, stanęłam przed nim w maleńkim przedpokoju.

– Witaj, Jaśmino! Co u ciebie słychać? Nie widzieliśmy się już chyba z rok?

Wydawało się, że jego oczy nie mają dna. Znowu poczułam, jak hipnotyzują swoją głębią. W przeciwieństwie do mnie był świetnym aktorem. Od razu się odwrócił i skierował do salonu. Jakbym w ogóle nie zrobiła na nim żadnego wrażenia. A ja? Tak się bałam, że nie mogłam wydusić ani jednego słowa! Nic się nie zmienił, jak zwykle był świetnie ubrany, a ja stałam w tym dresie oniemiała. zaproponowałam herbatę, ale nie chciał, kawy też odmówił. Rozłożył komputer i zaczął przy nim grzebać. W ogóle mnie nie zauważał. Zupełnie nie wiedziałam, jak mam zagaic rozmowę, kiedy nagle oschle rzucił, że możemy go jednak poczęstować herbatą. Od razu wzięłam się do zaparzania. Zośka coś mu tłumaczyła, że urządzenie jest już stare, może twardy dysk się popsuł i tak dalej. Ale Władek jakby jej nie słuchał, tylko od czasu do czasu spoglądał w stronę kuchni. Widziałam go przez szparę w drzwiach. Odkręciłam flakonik i wlałam kilka kropel do naparu, od razu posłodziłam dwiema łyżeczkami cukru.

– Proszę, twoja herbata! – rzuciłam w przestrzeń.

– Dziękuję, ale nie słodź! – odezwał się Władek.

– Już za późno...! – Ostentacyjnie mieszając czaj, dzwoniłam łyżeczką w szklanke, gdy usłyszałam Zoche:

– Jaśmina, to zaparz drugą!

– Nie, nie, już zostaw, taką też wypiję.

Podalam mu drżącymi rękoma. O mały włos znowu wylałabym wszystko na Zosine perskie dywany. Spojrzał na mnie spode łba i znów skupił się na komputerze. Usiadłam na kanapie pod ścianą i patrzyłam, jak łyżeczek po łyżeczku wypija herbatę, delikatnie się przy tym krzywiąc. Musiała być za słodka, ale nie marudził.

– Mam trzy wejściówki na jutro do teatru. Jak chcecie, mogę wam zostawić. Miałem iść z żoną do Och-Teatru na *One Mqz Show* Szymona Majewskiego, ale musi iść wieczorem do pracy – powiedział, jakby od niechcienia, a ja od razu wyczułam, o co chodzi.

Chciał pogadać bez świadków, a ja byłam mu winna tę rozmowę i jeszcze tematyka spektaklu... Przecież dobrze wiedziałam, że Majewski prowadzi monolog na podstawie własnych doświadczeń małżeńskich, więc od razu się wyrwałam:

– Och, bardzo chętnie zobaczyłabym Szymona! – Mój głos wyraźnie zmienił barwę, nigdy nie umiałam kłamać.

Zośka coś szepnęła, że może zająć się dziećmi, że jej się nigdzie nie chce iść, a Władek, o dziwo, nerwowo zaczął przestępować z nogi na nogę, jakby się czymś mocno zdenerwował. Wyszło

na to, że jeszcze ma z nami iść jego kolega, ale ja dobrze wiedziałam, o co chodzi. Zaczął się kręcić i wiercić na krześle, nie mógł na nim wysiedzieć, a potem nagle pognął czym prędzej do łazienki. Zośka zaczęła się głośno śmiać, że to po tej mojej herbacie będzie miał problem z żołądkiem, a ja w ogóle na to nie wpadłam. A jeśli go otrułam? A co, jeśli ta mieszanka ziołowa była przeterminowana? Szeptucha nie mówiła nic o dacie przydatności.

Władek wrócił do nas nieco skrępowany i blady, powiedział, że źle się czuje, zabiera komputer i jakby jutro nie dał rady przyjść, to zostawia nam te trzy wejściówki. Schował urządzenie do torby i wyszedł, trzaskając drzwiami.

– Co go ugryzło? Nigdy się tak nie zachowywał – szepnęła Zośka, a ja od razu schowałam się w pokoju, żeby ułożyć Marysię do snu.

Miałam poważne wyrzuty sumienia, że potraktowałam go tą mieszanką. Naprawdę nie chciałam, żeby przypłacił to zdrowiem. Nie zachowywał się jak psychopata, jak podczas naszego pierwszego spotkania w Olsztynie, a może udawał?

Przed snem zajrzałam jeszcze na swoje konto bankowe. Pieniądze topniały jak śnieg za oknem. Znowu zaczęłam przeglądać oferty pracy. Zośka kazała się uzbroić w cierpliwość, podobno mogą oddzwonić nawet po dwóch miesiącach po wysłaniu *curriculum vitae*. Byłam tu zaledwie kilka dni, a już chciało mi się wracać do Wałpusza. Przecież nie mogę. Nie teraz, jeszcze nie teraz. Cały czas myślałam o Władku. Co robił do tej pory? Jak mu się układało z żoną, z dziećmi? Dobrze, że dziś przyszedł. Choć nie zamieniliśmy ze sobą zbyt wielu słów, to widziałam w jego oczach życzliwość. Przecież tyle mu zawdzięczam. Kiedy już myślałam, że nic nie może mnie nowego i dobrego spotkać, kiedy zaszyłam się ze zgryzoty w domu, kiedy zaczynałam swoją własną wojnę domową z Joachimem, pojawił się on i rozbudził na nowo moją kobiecość. Nie chcę już wracać do tej fizyczności, która spadła na nas zupełnie nieoczekiwanie, do tego uniesienia. Powinnam mu podziękować za ten czas, który od niego dostałam.

Coś mnie podkusiło i zajrzałam na stronę firmy, w której pracował. W zakładce „nasz zespół” widniało jego zdjęcie i służbowy adres mailowy. Skopiowałam go i natychmiast wysłałam wiadomość, „Proszę o jutrzejsze spotkanie, we dwoje. Musimy w końcu porozmawiać i wszystko sobie wyjaśnić”. Potem znowu zabrałam się do wysyłania CV. Ze zmęczenia powieki już mi same opadały, aż nagle zauważyłam w sieci ogłoszenie o bardzo dziwnej treści: „Doradca duchowy na wizji tv”. Co to w ogóle miało znaczyć? Nie potrafiłam odgadnąć, o jaką pracę może tu chodzić, dopóki nie przeczytałam zakresu obowiązków: znajomość kart anielskich, tarota, run oraz innych form wróżbiarstwa, umiejętność obcowania ze sferą ducha, podtrzymywanie relacji z klientem, miła aparycja. Warunek konieczny: doświadczenia mistyczne, mile widziana wiedza z zakresu onreironautyki. Kolejnym warunkiem było wysłanie listu motywacyjnego i odpowiedzenie w nim na pytanie „Czym jest dla Ciebie wróżbiarstwo?”. Zanim cokolwiek napisałam, najpierw sprawdziłam

w Internecie, co to za firma ta Maga TV. Było tak jak myślałam. Poszukiwano osób, które potrafią posługiwać się wiedzą tajemną w pracy na wizji albo podczas rozmów telefonicznych. Postukałam się w głowę, zamknęłam komputer i poszłam spać.

Mijały minuty, a sen wciąż nie przychodził, pod powiekami nadal widziałam ogłoszenie o pracę i formularz listu motywacyjnego. O co oni mogą zapytać na rozmowie rekrutacyjnej? Jaką formę zatrudnienia zapisują w umowie o pracę, pełnoetatowa wróżka? Czy w ogóle coś takiego istnieje? Zrobiłam to ze zwykłej ciekawości: wstałam, napisałam list motywacyjny i wysłałam na podany adres mailowy.

Rano dostałam maile od Władka i Bojana. Pierwszy uprzedzał, żebym przyszła do teatru wcześniej, abyśmy mogli spokojnie wypić gorącą czekoladę w bufecie i porozmawiać. Drugi pisał, że kilkakrotnie przejeżdżał obok mojego domu i trochę się zaniepokoił, bo we wszystkich oknach było ciemno, a niedomknięta furtka kołocze się z piskiem słyszalnym w całej okolicy. Zwierząt nigdzie nie ma. Natychmiast mu odpisałam, gdzie jestem i co się dzieje w moim życiu.

Poranek był spokojny i deszczowy. Wszędzie na ulicach i chodnikach leżała szara maź. Po śniegu nie było śladu. Zastanawiałam się, jak teraz wyglądają moje Mazury? Czy są równie szare? W centrum Polski zawsze było cieplej, nie to co u nas. Od wschodnich sąsiadów zawsze wiały zimniejsze wiatry, a ludzie ubierali się dużo cieplej. Kolejny raz pomyślałam, że tam dom, gdzie serce. To powiedzenie bardzo mi pomagało, nie czułam się tu zbyt komfortowo, choć Zosia cały czas powtarzała, jak bardzo jej pomagam chociażby samym sprzątaniami i przygotowywaniem posiłków. Ona wracała z pracy tuż po piątej, a wychodziła rano koło siódmej. Nie było jej w domu cały dzień. Wojtka czasem ja odbierałam ze szkoły, która mieściła się bardzo blisko naszego bloku, a Piotrek wracał sam. Patrząc na jej życie, nie wyobrażałam sobie, że mogłabym egzystować w taki sposób. A przecież prawie pół Polski tak właśnie funkcjonuje. Życie w wielkich miastach nie jest wcale takie łatwe, jak się wydaje nam, mieszkającym na pięknej prowincji. Wszędzie daleko, a czasu niestety nie można wydłużyć, ale cóż poradzić? Tam serce, gdzie dom.

Wysłałam jeszcze kilka CV i podlałam wszystkie kwiaty w domu. Z nimi naprawdę było przyjemniej. Następnie zawołałam Marysię, żeby razem ze mną poćwiczyła. Robiłam to codziennie. Rozciągałam się, ćwiczyłam kręgosłup i nogi. Czasami siadałam z książką i próbowałam ćwiczyć jogę. Będąc jeszcze na Mazurach, rozglądałam się za klubem bądź instruktorem, ale niestety nie znalazłam. Pewnie w grupie byłoby różnie wykonywać ćwiczenia. Czułam, że potrzebuję zmian żywieniowych i ćwiczeń fizycznych, że powinnam jeść więcej warzyw, owoców, zrezygnować z mięsa i słodczy, a mocniej przyłożyć się do kształtowania sylwetki i ciała. Niestety nie ćwiczyłam regularnie. Codziennie postanawiałam sobie, że „od dziś to zmienię”, ale kończyło się tylko na piętnastominutowej gimnastyce. Potrzebowałam mobilizacji, a bardzo dobrze wiedziałam, że powinnam znaleźć ją tylko i wyłącznie w sobie.

Ćwiczyłyśmy dość nieudolnie, ale za to z promiennymi buziami. Beza skutecznie nam przeszkadzała, wskakując na plecy i łasząc się u stóp. Trzeba było na nią uważać. Jej brzusek z dnia na dzień stawał się większy. Wyglądała prześlicznie. Długa, biała sierść do połowy przysłaniała łapki, istna kula słodyczy, tylko kłaść na kolana i głaskać. Jak można jej nie kochać? I od razu pomyślałam o Joachimie i jego niemiłych słowach. Ciekawe, jak sobie radził. Nie dzwonił, nie mailował, jakby nigdy go nie było. Bardzo dziwne uczucie po tylu wspólnych latach. Ale przecież nie mogę udawać miłości na siłę, nie tylko to uczucie zmienia nas z biegiem lat. Dochodzą do tego inne relacje: te z pracy i te wynikające również z zupełnie innych doświadczeń. To wszystko zmienia naszą naturę. Podobnie jak rzeka, choć cały czas ta sama to każdego dnia zupełnie inna. Może się rozlewać, meandrować między drzewami, miastami, nie chcę jedynie, żeby wyschła.

Czasami kobiety usychają. Nie umieją przerwać pępowiny tęsknoty za dzieckiem, mężczyzną, młodością, rodzicami, a przede wszystkim za niezrealizowanymi marzeniami, które wypełniają głowy po brzegi. Zabija rutyna i gonitwa za utrzymaniem się na powierzchni życia, ale gdyby tak robić przez kilka minut dziennie coś tylko i wyłącznie dla siebie? Czemu tak trudno jest zrezygnować z innych na rzecz siebie? To nie jest egoizm, tu chodzi o pozbycie się maski męczennicy na rzecz miłości i dobra zarezerwowanego tylko dla siebie. Nie chciałam siebie o wszystko obwiniać, nie chciałam w ogóle o tym myśleć. Jedyne, czego pragnęłam, to znaleźć w sobie spokój, który umiałabym zatrzymać na dłużej. Czasem wydawało się, że potrafię go złapać. Rozlewało się wtedy we mnie przyjemne poczucie harmonii i wydawało mi się, że odpływam. Jednak przychodziły dni i słowa, które burzyły wszystko. A gdyby tak odciąć się od wszystkich blokad i schematów i zacząć żyć w zgodzie z własnym sercem? Serce jest miłością nie zna restrykcyjnych zasad kościelnych, moralnych, finansowych, wychowawczych, ta sfera jest zarezerwowana dla rozumu, serce jest WOLNE. Człowiek jest wolny i kierując się wewnętrznym dobrem, zawsze przyciągnie do siebie dobro.

Nie muszę żyć z mężem i męczyć się każdego dnia. Żaden mężczyzna nie musi też męczyć się ze sfrustrowaną, wiecznie złą i zmęczoną żoną. To jest kwestia wyboru. Minął czas, który zarezerwowałam na pojednanie i zrozumienie, a jeżeli nie wyszło, to trudno. Nie będę się kajać. Rozgrzeszam się sama przed sobą, to chyba jest najważniejsze.

Takie myśli przychodziły mi do głowy zawsze po wyczerpanych ćwiczeniach. Tuż po wysiłku spływało na mnie oczyszczające zmęczenie. Wtedy rozum jednoczy się z sercem i dokładnie wiadomo, czego się chce.

Wzięłam szybki prysznic i czułam się jak nowo narodzona. Po ćwiczeniach zabrałam się do robienia nalewek. Przywiozłam z Mazur dwa litry spirytusu, już wcześniej postanowiłam zrobić cytrynowkę. Jest bardzo dobra do herbat i na wieczorne rozgrzanie, a do tego zdrowa. Nie można jej wypić za dużo, bo jest zbyt słodka. W zeszłym roku zrobiłam nalewkę z czarnej porzeczki i zupełnie o niej zapomniałam! Ciekawe, czy jeszcze stoi w piwnicy.

Nagle usłyszałam sygnał telefonu. Nie mogłam znaleźć torebki. Kiedy już trzymałam go w dłoni wyświetlił się jakiś nieznany numer. Odebrałam:

– Halo! Dzień dobry, czy rozmawiam z Jaśminą Szeretuchą?

– Tak – odpowiedziałam dość niepewnie, zastanawiając się, kto dzwoni. Nie znałam tego głosu.

– Z tej strony Małgorzata Gryzipiórek. Dzwonię z firmy Maga TV w związku z nadesłanym CV.

Czy jest pani nadal zainteresowana pracą? – Głos brzmiał już teraz bardziej poważnie.

– Yyy, tak, tak. Wczoraj wysyłałam do państwa dokumenty. Jestem zainteresowana, ale od razu zaznaczam, że nie mogę pracować na pełnym etacie zgodnie z... – tu przerwała mi w pół zdania.

– Proszę pani, z całym szacunkiem, ale o szczegółach powinno się rozmawiać bezpośrednio, prawda?

Byłam zupełnie zdezorientowana, czułam się, jak wywołana do odpowiedzi na lekcji matematyki. Ze strachem odpowiadałam:

– Tak, oczywiście.

– To zapraszam na rozmowę rekrutacyjną jutro na ulicę Magnificenta 6. Czy godzina piąta po południu pani pasuje?

– Yyy, tak, pasuje.

– Wspaniale, w takim razie czekam na panią w pokoju numer 666, na 10 piętrze biurowca. Do zobaczenia.

– Do widzenia. – Kliknęłam „zakończ rozmowę” i odłożyłam telefon.

Nie mogłam uwierzyć, że ktoś do mnie oddzwonił! Tylko czego oni mogą oczekiwać od „doradcy duchowego na wizji tv”? Dokładnie pamiętałam zakres obowiązków wypisany w formularzu. A niech tam! Trudno! Przecież nie muszę podejmować tej pracy od razu. Pojadę, zobaczę, jak wygląda budynek, ludzie i przede wszystkim poznam warunki współpracy. Natychmiast zadzwoniłam do Zosi, żeby obwieścić tę radosną nowinę. Pogratulowała mi, ale od razu zaznaczyła, że zanim ona znalazła swoją pracę, była chyba na piętnastu rozmowach i dopiero przy szesnastej się udało. Ale przecież ja nie oczekiwałam stałego zatrudnienia. Byłam przeszczęśliwa. Dziwna praca, ale za to jakie doświadczenie. Będzie się z czego śmiać i opowiadać wnukom w przyszłości.

Cały dzień nie mogłam się skupić. Kiedy wróciła Zosia, uświadomiłam sobie, że przecież muszę się odpowiednio ubrać do teatru! Nie wzięłam z domu żadnych eleganckich strojów. Przyjaciółka wyciągnęła kilka swoich sukienek. Najlepsza okazała się jak zwykle mała czarna plus kolorowy sutasz na szyję. Bardzo lubiłam indyjską biżuterię, stroniłam od drogich dodatków. Wolałam szykowne, klasyczne stroje, ale do tego nietuzinkowe ozdoby, takie robione na zamówienie albo kupione od rękodzielników. Miały w sobie dużo więcej uroku, niż te oferowane przez wielkie komercyjne sieci. Niedaleko naszego bloku znajdowała się hurtownia koralików i pasmanterii. Często tam zaglądałam, kupowałam przepiękne ozdoby, kryształki Swarovskiego, zawieszki, cyrkonie czy kamienie

pószlachetne i potem sama robiłam z nich bransoletki oraz wisior. Wychodziło dużo taniej niż w zwykłym sklepie jubilerskim, a efekt był prawie ten sam. Dlatego przystroiłam swoją rękę w ozdobne bransolety, a na szyi zawiesiłam wisior. Delikatnie podkręciłam końcówki włosów na grubej lokówce, do tego dyskretny makijaż, brązową konturówką podkreśliłam powieki, rzęsy pomalowałam czarnym tuszem. Spojrzałam w lusterko i zobaczyłam w nim interesującą kobietę o przenikliwym spojrzeniu. Jeszcze tylko odrobina Zosinych perfum i już byłam gotowa.

Do teatru miałam bardzo blisko, kilka przystanków tramwajem. Byłam tu raz podczas ostatniego pobytu u przyjaciółki. Wystarczyło, żeby zakochać się w tym miejscu. Wejście oświetlały lampy wiszące nad afiszem przedstawienia, mieniły się kolorami. Bałam się tego spotkania, ale dobrze wiedziałam, że kiedyś musiało nadejść. Mieliśmy sobie wiele do wyjaśnienia.

Zobaczył mnie już z daleka. Natychmiast wstał od stolika w teatralnej kawiarni, miał rozpromienione oczy i wyglądał jak zwykle bardzo atrakcyjnie. Dobrze skrojony garnitur, trzydniowy zarost i eleganckie buty zawsze robią wrażenie. Oblał mnie zimny pot i serce załomotało mocniej niż zwykle. Przez ten krótki czas tyle nas połączyło słów, gestów, listów i spojrzeń. Nie zdążyłam zdjąć kurtki, od razu chciałam się jakoś wytłumaczyć. Kiedy był natarczywy, czułam do niego niechęć, ale teraz wystarczyło, że na niego spojrzałam i od razu przypomniałam sobie, jak dużo mu zawdzięczam. Również dzięki niemu odnalazłam drogę do siebie.

– Władek, przepraszam, nie chciałam, żeby tak wyszło. Bardzo dużo ci zawdzięczam. Przeprowadziłeś mnie przez trudną drogę i pomogłeś mi, ale oprócz sentymentu ja zupełnie nic do ciebie nie czuję. Tu zupełnie nie chodzi o tę hotelową noc. Mam wrażenie, że ktoś z innego świata maczał w tym palce, i szczerze ci powiem, że cieszę się, że tak wyszło, bo gdyby potoczyło się inaczej... za dużo możesz stracić, rozumiesz mnie? A mój mąż? Co on ci zrobił? Po co ty w ogóle do mnie przyjechałeś?

Słowa same ze mnie wypływały, jakby ktoś odkręcił kurek. Płynęły wartkim strumieniem, robiło mi się coraz cieplej, w końcu Władek wstał i pomógł mi zdjąć palto, mówiąc:

– Spokojnie, Jaśmina, rozbierz się najpierw, ja też nie jestem bez winy. Te pierwsze dni bez ciebie to był jakiś koszmar. Sam chyba nie mogłem sobie darować tej niewykorzystanej okazji, ale to nie zależało ode mnie. Chciałem, żeby wszystko potoczyło się zupełnie inaczej. Nie mogłem sobie darować i ta urażona duma, a przede wszystkim męskość kierowały mną bardziej niż cokolwiek innego. Chciałem ci udowodnić, że możemy spróbować jeszcze raz. Byłem pewien, że ty też tego chcesz, tylko się ukrywasz przede mną, nie chcąc na nowo rozbudzić uczucia. Potem był Olsztyn, a ty mnie tam naprawdę nie chciałaś. Nie mogłem w to uwierzyć, więc cię śledziłem i w końcu trafiłem do twojego domu. Twój mąż mnie tak naprawdę obudził, porządnie mi przywalił, he, he – zaśmiał się jakby od niechcenia. – Ale należało mi się. Jak zobaczyłem twój dom, poczułem jego ciepło, to zrozumiałem, że ty naprawdę kochasz ich, a nie mnie. Joachim postawił tylko kropkę na końcu tej



telenoweli. Z perspektywy czasu nie wiem, co mną kierowało, żeby do ciebie przyjechać. To ja cię przepraszam, mam nadzieję, że nie rozbiłem twojego małżeństwa, nie chciałem, to było silniejsze ode mnie. Strasznie mi wstyd, proszę, wybacz mi.

Wziął moje ręce w swoje dłonie, kelner przyniósł mi kawę z dużą ilością mleka oraz kieliszek wina. Widocznie Władek zamówił ten zestaw już wcześniej. On naprawdę żałował. Widziałam to po jego twarzy.

– Władek, żebyś nie myślał, że to jest twoja wina, ale ja już rozeszłam się z mężem.

– Co? – Jeszcze wyżej uniósł brwi z wyrazem niedowierzania. Obruszył się do tego stopnia, że prawie wstał od stolika, teraz to ja chwyciłam jego dłoń.

– Władek, spokojnie. To była moja decyzja. To nie twoja wina. Okazało się, że mój mąż też coś ma na sumieniu. Tak właściwie to ja do tej pory nie wiem, co się u mnie w domu wydarzyło – powiedziałam sama do siebie, patrząc tępo w kawę. – Nakłamałam, że jesteś moim byłym kolegą i platonicznie się zakochałeś, w sumie to nawet mu podziękowałam, że cię uderzył... On nie drażył tematu, bo nie chciał, bo mnie już chyba nie kochał. Nie wiem, jak to się stało, ale ja już z nim nie jestem i wiem, że nie będę. Mieszkam teraz u Zośki, bo muszę od niego odpocząć, dopóki nie zadecydujemy, co z domem. Sam widziałeś, że jest piękny.

– Jaśmina, ale, ale – nie mógł wydusić słowa – ale jak to możliwe? Przecież wy byliście udanym małżeństwem, ten nasz incydent, to nie może mieć wpływu...

Od razu mu przerwałam:

– To nie jest twoja wina! A twoja żona, zorientowała się?

– Nie.

– To się ciesz. Kochasz ją?

– Tak, cały czas ją kocham, ciebie też kochałem.

– No właśnie, sam użyłeś czasu przeszłego. Wybaczmy sobie. Widocznie tak miało być, w tym przypadku los zdecydował za nas. Nie obwiniaj się o moje życie, muszę sama się z tym zmierzyć, nie mogę też siebie okłamywać, że wszystko w małżeństwie było w porządku. Nie chcę do tego wracać. Czy ty coś nadal do mnie czujesz, proszę, powiedz szczerze?

– Jaśmina, chciałbym. Jesteś taka piękna...

Znowu mu przerwałam:

– Czujesz czy nie!

– Z męskiego punktu widzenia to chętnie bym się z tobą przespał, ale z racjonalnego to jest niemożliwe, bo muszę, a raczej chcę być z żoną. Ta nasza przygoda kosztowała mnie zbyt wiele. To wieczne życie w kłamstwie rujnowało mnie psychicznie. To jest chyba gorsze niż powiedzenie prawdy, bo nadal nosisz w sobie ten kamień – mówił zupełnie poważnie.

Lekko się zaśmiałam, ale byliśmy na dobrej drodze do pojednania. Widziałam, że nie był już

zaślepiiony namiętnością, myślał racjonalnie. Można było swobodnie rozmawiać. Nie rozbierał mnie wzrokiem tak jak dawniej. A może to zasługa mikstury? Był naprawdę świetnym facetem. Patrząc na jego wygląd, gesty, mimikę i zaangażowanie, wcale się sobie nie dziwiłam, że się w nim zakochałam. Dobrze, że tak wyszło. Ktoś nad tym wszystkim czuwał.

Wypiłam kawę i wino. Wszystko było pyszne i jeszcze do tego ta teatralna sceneria. Spektakl był rewelacyjny. Oboje śmialiśmy się do rozpuku, cała sala była zapełniona. Niestety na swojej prowincji nie zobaczyłabym takiego przedstawienia. Dobrze jest czasem wyjechać i spojrzeć na życie innych. Wraca wtedy pamięć tych zagubionych zdarzeń i dni. Człowiek choć wzrokiem może dotknąć wielkiego świata i ze spokojem wrócić do siebie, podejmując nowe decyzje.

Dobrze było mi w jego towarzystwie. Dawno z nikim nie rozmawiałam na temat sztuki, książek i muzyki. Znowu poczułam delikatny skurcz w podbrzuszu, ale dobrze wiedziałam, że nie wchodzi się dwa razy do tej samej rzeki. To, co wspólnie przeżyliśmy, było widocznie potrzebne nam obojgu. Mnie teraz doskwierała samotność, uświadomiłam sobie to tuż po naszym rozstaniu, kiedy podwiózł mnie pod blok i życzył dobrej nocy. Nie potrzebowałam fizycznej uciechy, moje ciało jakby zapadło w zimowy sen. Miałam wrażenie, że przykrył je mazurski śnieg. Może obudzi się z nastaniem wiosny. Chciałam rozmowy, bliskości przyjaciela, zrozumienia, zaangażowania i zwyczajnego pogłaskania po głowie. Władek mi to wszystko dawał zawsze, odkąd pamiętam. Słuchał i pomagał. Nie mogę prosić o więcej, nie teraz, kiedy rzeka wybrała inny nurt. Jest ta sama, ale płynie inną drogą, nie zmacę jej spokojnego brzegu. Nie mogę.

W domu panowała cisza, księżyc zaglądał bezczelnie w okna. Jego bladoniebieska poświata oświetlała mieszkanie. Pod oknami jacyś ludzie w miłosnym uścisku spieszenie podążali na przystanek autobusowy, a ja łaknęłam tej jasności z kosmosu. Otworzyłam okno i wystawiłam twarz ku księżycowi. Przyjmowałam jego jasność na siebie, ktoś z boku mógłby pomyśleć, że się opalam, tylko nie promieniami pochodzącymi od słońca. Była pełnia. Miasto wcale nie spało, słychać było stukot tramwajów, a łuna unosząca się nad centrum wyglądała niczym niebiańska aureola. Zawsze wierzyłam, że podczas takich nocy na ziemię spływa silne pole energetyczne. Chciałam je uchwycić, wysyłając intencje w świat. Dobro zaklęte w pragnienia realizuje się szybciej. Nieważne, jaki zawód wykonuję, czy jestem najbogatszym człowiekiem na świecie, czy tylko zwykłą nauczycielką z prowincji, ważne jest czynienie dobra bez względu na wszystko. Moja etyka i styl życia mają być zgodne ze mną. Nie będę zasilala energią tych, którzy generują tylko problemy. Energia zawsze podąża za uwagą. Każda chwila, którą poświęcam na zamartwianie się, pozwala jedynie zmanifestować się przyszłym problemom. Wszechświatem rządzi prawo kreacji. Zgodnie z nim sama decyduję, na co pożytkuję energię. Władek jest dobrym człowiekiem, podobnie jak Joachim. Jednak z tym drugim już nic mnie nie łączy. Nie będę inwestowała w niego całej swojej mocy, bo go nie kocham. Muszę wesprzeć się dobrą myślą i kreowaniem dobra.

Zamknęłam oczy. Robiło się coraz zimniej. Spakowałam do torebki karty tarota, być może

przydadzą się na jutrzejszym spotkaniu. Zupełnie nie wiedziałam, czego mogę się spodziewać na rozmowie rekrutacyjnej. Nagle usłyszałam dźwięk telefonu. Dzwonił jakiś nieznany numer, nie miałam go zapisanego w książce telefonicznej. Kto, u licha, o tej godzinie? Może Władek?

– Tak, słucham? – zapytałam dość niepewnie.

– Jaśmina? Z tej strony Joachim, zmieniłem numer telefonu. Tamtego już nie będę używał. Wyjeżdżam do Anglii na pół roku. Nie wiedziałem, czy uda się to wszystko zorganizować, dlatego nic ci wcześniej nie mówiłem. Z tego powodu też nie chciałem zajmować się zwierzętami. Sama rozumiesz. Jesteś tam...?

– Tak, ale skąd taki pomysł? Czemu dopiero teraz mi mówisz? Co z domem?

– No, dom stoi, możesz tu wrócić. Lada dzień przyjdą do ciebie papiery rozwodowe, więc się nie zdziw. Nie ma na co czekać. Nie będę tu mieszkał i pracował za takie marne pieniądze. Zakładam warsztat, ale na angielskich papierach. Darek wyjeżdża ze mną.

– Ale co z Marysią, co mam jej powiedzieć? Przecież to jest twoje dziecko, nie sądzisz, że sam powinieneś z nią porozmawiać?

– Daj spokój, jest jeszcze mała. Jak przyjadę na rozprawę, to z nią porozmawiam, ale do tego jeszcze sporo czasu. Zawsze mi powtarzałaś, że sama sobie poradzisz, no to masz okazję się wykazać. Nie będę ci w tym przeszkadzał. Zapisz ten numer. Jutro wyjeżdżam. To jest dla nas najlepsze rozwiązanie. Będę ci przysyłał pieniądze na dziecko i dzwonił. Zostało w mieszkaniu trochę moich rzeczy, kiedyś po nie przyjadę. Zrozumiałaś wszystko?

– Tak, ale w jakim mieście będziesz dokładnie? Powiedz coś więcej.

– Nie muszę ci się z czegokolwiek tłumaczyć. Następnym razem, jak przyjadę do Marysi, to więcej powiem. Zresztą... jak będę chciał. Dobranoc.

Nie zdążyłam o nic więcej zapytać. Zamurowało mnie. Rozpłakałam się, ale uświadomiłam sobie, że przecież i tak kiedyś doszłoby do rozstania. Teraz już naprawdę zostałam sama. Zupełnie sama. Mogę tu zostać, mogę wrócić, mogę być, z kim chcę, na nowo się zakochać, mieć więcej problemów (ale nie muszę), mogę się tego bać albo nie. Jestem ja i Marysia. Nikt więcej. Czy ktoś mnie z tego rozgrzeszy?

Tak potoczyło się życie. Nie chcę o nim zapominać, bo ta pamięć i tak kiedyś wróci w postaci niedbale rozrzuconych drobiazgów od niego, schowanych obrączek, mokrych chusteczek. Żeby porządek we wszechświecie został zachowany muszę go wypłakać z siebie. Takie łzy to nic strasznego, mogą oczyścić. Będę rozwódką, trudno.

Jednostajny szum miasta dochodził z zewnątrz, a mnie się wydawało, jakbym miała przeszło sto lat albo i więcej. Byłam zmęczona myśleniem co dalej. Wyobrażałam sobie najgorsze scenariusze, a wszystko rozwiązało się samo. Od mojego serca wiało chłodem, od myśli wiatrem zmian. Niepokoiłam się też o przyszłość córki. Przecież to wszystko musi się jakoś poukładać, nie umrę

z głodu, nie w tych czasach – myślałam, głaszcząc ciężarną Bezę. Patrzyła na mnie, jakby wszystko rozumiała. Teraz leżała już obok mnie na materacu. Położyłam rękę na jej dużym brzuszku, czułam, jak się poruszają kociątka. Ona została sama i ja sama. Musimy sobie jakoś poradzić. Mam teraz wracać do Wałpusza, do Szczytna? Teraz, kiedy mam iść na rozmowę o pracę? Może z tego będą większe pieniądze niż te zarobione w szkole? Co robić? Jeżeli propozycja pracy okaże się ciekawa, to ją przyjmę i zostanę na dłużej. Jeżeli nie, to pomieszkać tutaj jeszcze kilka dni i wrócę do siebie.

Tak postanowiłam i zamknęłam oczy. Sen przychodził powoli, kiedy nagle Beza wskoczyła pomiędzy mnie i Marysię, zaczęła się kręcić i pomiaukiwać. Delikatnie zdjęłam ją z materaca i postawiłam na dywan. Od razu schowała się za niedawno wymalowaną skrzynkę z kwiatami. Zaczęła rodzić! Wyciągnęłam ją szybciotko, wsadziłam do kartonu i wyszłam z pokoju. Wszystkie inne pomieszczenia były zajęte, została nam tylko kuchnia. Umieściłam karton pomiędzy kaloryferem i szafką, zapaliłam lampkę, zamknęłam drzwi i czekałam razem z nią na rozwój wydarzeń.

Dziś pojednałam się z Władkiem, dziś wybaczam światu i sobie wszystko... a może dziś jest początkiem nowej nieznannej przygody? Nowego rozdania? Bezowa Maryjka przysłała do mnie w wigilijną noc. Dałam jej miłość, opiekę i szczęście. Pomyślałam, że jeszcze kiedyś wróci do mnie ta karma. Zaczekam.

# Legenda o Matce Boskiej od Wilków

Zimną nocą nad wiejskim niebem pojawił się księżyc. Świecił metalicznym blaskiem i przypominał koło od wozu. Był wyszczerbiony po lewej stronie, jakby nadgryzła go polna myszka. Luty był. Skostniałej ziemi nawet szpadlem nie można było rozkopać, to i ludzie pochowali się w swoich domach przed tym dziwnym księżycem i jego światłem, przytuleni do kaflowych pieców. Kobiety gotowały mleko, a mężczyźni pilnowali obejścia i bydła. Śniegu nie odgarniali, bo i po co, jak zaraz nowe muldy tworzyły się dookoła. Sypało już kolejny dzień. W śniegu odbijały się miliardy gwiazd, a gałęzie drzew przypominały koronki. Mróz z jednej ciemnej godziny przechodził w drugą i tęzał, od jego siły pękały drzewa i coraz mocniej skrzypiały drzwi. Znów zaczęło sypać.

Ruta, wyglądając przez okno, dostrzegła, jak wygłodniałe leśne zwierzęta podchodzą pod gospodarstwo. Szukały schronienia i pożywienia. W jej ciepłej oborze spokojnie spała jedyna krowa dająca mleko, a w kurniku czekały wiosny ostatnie trzy kury. Koguta zeszłej nocy porwał lis. Nie zdążyła dobiec. Najbardziej obawiała się wilków, ludzie we wsi mówili, że już je widzieli. Teraz przeczuwała to samo. „Za cicho świat śpi, Josefa nie ma, coś musi się wydarzyć. Chroń nas przed tym mrozem. Przenajświętsza Panienko” – pomyślała i poszła sprawdzić, czy drzwi są zamknięte na skobel. Jeszcze raz odstłoniła kwiecistą zasłonę, aby spojrzeć w niebo, i poczuła ciarki na skórze. Sprawdziła, czy dzieci śpią, wyciągnęła z szafy gromnicę i zapalając przedostatnią zapałką knot, postawiła ją w oknie. „Niech odgania złe duchy, byle do wiosny, Przenajświętsza Panienko, byle do słońca”.

Na Mazurach trzaskający mróz nie należy do rzadkości. Ale ta zima nie była taka jak inne, mróz nie zelżał już chyba od miesiąca. Najstarsze babki we wsi mówiły, że to wszystko przez ludzkie grzechy. Domy gospodarskie zasypane, nawet nie ma jak siana ze stodoły nosić. Ruta codziennie drążyła w śniegu wąskie tunele i nosiła zwierzętom worek za workiem. Najbardziej obawiała się o krowę, że w końcu przyjdą wilki i ją zabiją. Wcale im się nie dziwiła, niedługo i ona nie będzie miała co jeść. Ale przed ich stadem nie da się obronić. Budziły w niej strach i wielki szacunek. Widziała kiedyś rozpędzoną młodą watahę, wyglądały jak rabusie. Biegły przez ośnieżone pole.

Zrobiło jej się wtedy żal, bo ostatnio chłopci z triumfem samice z wnyków przynieśli. Pewnie szukały matki. Kury jutro do domu przyniesie, oddzielną izbę im robi. Kur też szkoda. Pewnie i tak zdechną. Byle do wiosny, i Josef wróci, byle do rana.

Nagle coś zaskrzypiało pod oknem, jakby ktoś przebiegł po śniegu. Ruta podeszła do zamarznętej szyby i ogrzewając ręce nad płomieniem, rozejrzała się po obejściu i okolicy. Nie zobaczyła niczego niezwykłego, ale wyraźnie słyszała groźne warczenie. Gdy tylko odeszła od okna, znów je usłyszała, ale teraz już głośniej. Chwyciła świecę i przytuliła do serca. W myślach odmawiała różaniec. Gdy usłyszała donośny ryk krowy, wiedziała, że musi coś zrobić. Najczęściej nocą chodził Josef, ale teraz ona musi.

Chwyciła ciepły kozuch, włożyła gumiaki wyłożone futrem z królika, wzięła strzelbę Josefa, do kieszeni schowała święty obrazek i ruszyła z modlitwą na ustach. Wystarczyło, że tylko otworzyła drzwi, a mróz od razu schłodził jej policzki. Spojrzała na tunel w śniegu, był dobrze oświetlony przez księżyc. „Jeszcze świeca! Od gromnic wilcy stadem odchodzą!” – powiedziała do siebie. Zawróciła i przyniosła ją, osłaniając płomień ręką. Krowa ryczała, jakby się cielila. Ruta z duszą na ramieniu prawie biegła. Gdy stanęła u drzwi obory, trzy razy się przeżegnała i weszła... a w środku pusto, ani śladu po zbrodni. Ruta przeczuwała najgorsze, że siedzą gdzieś za murem i przyczajone czekają na jej potknięcie. Trzymała kurczowo w kieszeni obrazek, w drugiej broń. Szeptła: „Gdy w noc miesięczną wilki na polach wyją, ludzie się ze snu budzą z wielkim strachem, i słyszą szept pod słomianym dachem: w Twoją opiekę weźmij nas, Maryjo, w twoją opiekę weźmij nas, Maryjo, w Twoją...\*.”. Powtarzała kilka razy, aż upewniła się, że złego tu nie ma. Podeszła bliżej do niespokojnego zwierzęcia i pogłaskała czule, uspokajając mleczne serce, lecz zwierzę dalej porykiwało. Ruta spojrzała głęboko w czarne krowie oczy, w których odbijało się światło. Nikły płomień świecy, a nad nim biała smuga. Obejrzała się za siebie – przez dziurę w okiennicy wpadał niewielki snop światła. Ruta podeszła bliżej i spojrzała przez dziurawą okiennicę. Ze zdziwienia mało nie wyzionęła ducha, oto oczom jej ukazała się postać w przybrudzonym welonie, który spowijał całe kruche ciało niczym śnieg przydrożną brzoźkę. Nad głową Śnieżnej Pani mienił się srebrzysty brokat, a może to gwiazdy z mlecznej drogi ścieżkę oświetlały? Kobieta w jednym ręku trzymała woskową świecę, której blask był silniejszy od miesięcznego, a drugą rozpościerała płachtę stalowej szaty. Ruta widziała tylko fragment jej twarzy, jasnej niczym woda z górskiej studni. Spod królewskiej płachty wilczy łeb wystawał i zielone ze wściekłości oczyska się szklily. Nieznajoma pani odchodziła ku ciemnym lasom, a śnieg się pod nią roztopiał, aby po chwili zamarznąć, tworząc lodową dróżkę. Gdy zniknęła w granatowym borze, wilki zawyły łagodnie, a ich śpiew był zupełnie inny niż wycie wygłodniałego pyska. Długie przeciągłe tony wypełniły zimową przestrzeń w świetle księżyca. Ruta przytuliła się do ciepłej krowy i ze zmęczenia zasnęła przy niej.

Ciemnym rankiem obudziło ją gdakanie. Spojrzała po sobie i nie mogła uwierzyć, że znalazła się w obejściu. Pognała do chaty, ale dzieci spały pod osłoną nocy. Zaparzywszy herbaty, usiadła cichutko

w kąci przy oknie i patrząc na ten sam księżyc, wiedziała, że to Matka Boska Gromniczna uratowała jej dobytek. Jej szczęście w sercu było ogromne, przysłoniło wszystkie bolączki i niepokoje. Jej życie zgodne z porami roku i ziemią nie należało do łatwych, ale zobaczyć Matkę Boską nie każdy ma zaszczyt. Ruta nie wątpiła, że to nie był tylko sen. U niej we wsi nikt nie poddawał logice wiary, ludzie tylko nadzieją i miłością wypełniali swój świat, zgodnie z przykazaniami danymi od Boga. Zapaliła więc tę samą świecę, żeby mroki rozgonić, przeżegnała się trzy razy i sama do siebie rzekła: „Jak dzisiejszy dzień słoneczny będzie, a kryształowe sopte będą zwisać z dachu, to i niezwykły urodzaj marchwi w tym roku, ino szron się na szybie z pierwszym brzaskiem rozpościera, a i na drzewach jego sporo, to obfite będą sady nasze. Jak mróz na rozstaje, to rzadkie będą urodzaje, a jak słońce jasno świeci na gromnicę, to przyjdą większe mrozy i śnieżyce. Ale co ja bać bym się miała, jak Panienkę Niebieską widziała. Co Bóg da, to i na siebie wezmę, a od najgorszego łajdactwa, od burz i nawałnic, od śniegu zimnego Panienska obroni”.

Potem dzieciom kaszy nagotowała, a gdy Josef wrócił, opowiedziała mu całą historię. Drugiego lutego mąż kazał całej rodzinie do kościoła ze świecą pognać w podzięce. A po powrocie do domu zapalono gromnicę i płomykiem świecy Josef zaznaczył krzyż na drewnianym suficie chaty, by Matka Boża była przy nich aż do ostatniego tchnienia\*\*. W ciemne wieczory chował się w szopie i żłobiąc całymi tygodniami w drewnie, wyrzeźbił postać Matki Boskiej. Za wzór Panienci posłużyła mu żona. Gdy już skończył i majowym porankiem poszedł na rozstaje dróg, by kapliczkę z cegły układać, cała wioska się ku niemu zleciała, a on dumny opowiadał, jak to Gromniczna Pani od złej mocy ich ocaliła. Postawił drewnianą kobietę na ceglach, a nad jej głową zbudował daszek, który pokrył strzechą.

Pod płachtą spływającą z rzeźbionych ramion szukały schronienia trzy wilki, na stopach siedziało skulone dziecko. W jednej ręce trzymała świecę, drugą głaskała zwierzęta, a wzrok kierowała ku maleńkiemu dziecku.

Po dziś dzień strzeże pól i sadów, rozpościerając nad nimi swoją szatę. Chroni rośliny od gradobicia i upałów, a gospodarskie zwierzęta przed niecnym intruzem. Niejeden gospodarz na Mazurach opowiadał, że widział latem bądź zimą samotną kobietę idącą z wilkami przez pola.

A kto ją zobaczy, niech nie śmie przeganiać, tylko cichutko uklęknie i myślą odda zawikłane serca rozterki pod zwiewną szatę Przenajświętszej Panienci.



## *Niebieski opiekun z dzieciństwa*

Duchowi przewodnicy byli obecni w moim życiu już od dzieciństwa. Chodząc do kościoła, bałam się wizerunków Chrystusa, szczególnie umęczonego na krzyżu, dlatego bardzo często, gdy siedziałam blisko ołtarza podczas nabożeństwa, zamykałam oczy. Czasem szturchnęła mnie łokciem jakaś starsza

pani, a ja przestraszona otwierałam oczy tylko po to, żeby zaraz znów zamknąć. Na początku robiłam to, żeby bronić się przed budzącymi lęk przedstawieniami, które potem wracały w moich dziecięcych snach. Po kilkudziesięciu takich „niewidzianych” nabożeństwach ta zabawa zaczęła mi się szczególnie podobać, bo nie widząc ludzi i połączanych rzeźb, słyszałam wszystko znacznie wyraźniej. Bardzo często starałam się usłyszeć, o co proszą starsze kobiety siedzące obok mnie. Zawsze na końcu wypowiedzianej regułki dodawały jeszcze coś od siebie. Zastanawiałam się, co musiały przeżyć, żeby z taką gorliwością oddawać hołd Najwyższemu. Wyostrzyłam swój zmysł słuchu do tego stopnia, że potrafiłam wychwycić grzechy spowiadających się ludzi, oczywiście musiałam siedzieć w dość bliskiej odległości od konfesjonału, i zdawałam sobie sprawę, że to, co robię, jest naganne. Najbardziej przykuwały moją uwagę osoby, które odchodziły po spowiedzi, a na ich policzkach pozostawały smugi od łez. Zastanawiałam się, co musi się dziać za tymi drewnianymi kratkami, że oni tak płaczą?

Najbardziej podobały mi się modły zbiorowe, kiedy wszyscy modlili się chórem, a każdy głos był zupełnie inny.

Na pewno te kościelne sytuacje nauczyły mnie słuchać i być ze sobą w milczeniu, a wysłuchiwanie pod konfesjonałem grzechów pokazało, że każdy z nas jest inny, ma zupełnie odmienne potrzeby, ale jedną wspólną i uniwersalną prawdą jest bezgraniczna potrzeba wybaczenia i miłości. Tego potrzebuje każdy, bez względu na wyznawaną religię i kolor skóry.

To, co robiłam w kościele jako dziecko, było próbą zrozumienia, po co tu jestem i o co w ogóle w religii chodzi.

Duchowi opiekunowie przychodzą po cichu i dają nieme znaki. Pojawiają się na stronicach ksiązek, w wierszach, podmuchach wiatru, tafli jeziora, w uśmiechu dziecka, zdrowych plonach, mruczeniu kota, a nade wszystko rozświetlają nam serce i wypełniają bezgraniczną ufnością, że to, co nas spotyka, przychodzi gdzieś spoza materialnego świata. Jak każde dziecko powinno mieć matkę, tak każdy z nas powinien znaleźć klucz do swojej duszy, powinien znać i wiedzieć, co ma na niego dobry, a co zły wpływ, z kim można się przyjaźnić, a kogo lepiej sobie odpuścić.

Bohaterce legendy – Rucie – pomogła nadzieja, wiara i miłość do Matki Boskiej, a ilu jest ludzi na świecie, tyle różnych potrzeb i opiekunów. Można ich spotkać w lesie, na polnej drodze, medytując albo czyniąc dobro. Dobrze jest mieć swojego mentora. A jeśli jeszcze go nie masz, nic straconego. Tyle czasu przed tobą.

---

\* M. Gawalewicz, P. Stachiewicz, *Legandy o Matce Boskiej*, Warszawa 1895.

\*\* Jeden z najstarszych polskich zwyczajów ludowych, praktykowany 2 lutego w święto Matki Boskiej Gromnicznej. Tuż po mszy i święceniu gromnic w kościele ludzie znaczyli krzyżem domostwa, aby Matka Boska chroniła ich zwierzęta przed dzikimi i przynosiła urodzajny plon na najbliższy rok. Świece zawsze były wykonywane z wosku pszczelego, więc ich zapach już miał



dobroczynny wpływ na zdrowie i nerwy. Niestety ten piękny zwyczaj odchodzi w zapomnienie.

# Zakończenie

Wilki przychodzą i odchodzą, kiedy już wypełnią swoją misję. Zostawiają za sobą ślad albo próbują go zatrzeć, przemieszczając się w inne miejsce. Ich życie to nieustanna wędrówka. Poruszają się bezszelestnie, a jak przychodzi intruz, to obserwują go ze wzmożoną uwagą, albo od razu się bronią.

W przywołanych w tej książce legendach przewija się motyw wilka, który może być metaforą zła. Ale wilki nie muszą budzić strachu, wręcz przeciwnie, mogą być źródłem siły i porządku w świecie człowieka.

Niektórzy mówią, że u źródeł wszelkiego dobra leży sztuka, która pozwala oczyścić wnętrze, zapomnieć o problemach, dać ukojenie, wyrazić siebie. Dlatego ja piszę książki, a Ty zrób coś dla siebie.

Nie zbawię całego świata, nie sprawię, że znikną wojny, że ludzie przestaną umierać, ale mam wybór. Będąc w Tu i Teraz, mogę zbawić siebie samą poprzez ofiarowanie jałmużny, przygarnięcie bezpańskiego zwierzęcia, gorącą modlitwę za tych, którym jest dużo ciężiej na sercu niż mnie. Resztą świata przejmuję się tyle, na ile starczy mi tchu, na ile mam sił. Dlatego piszę książki, a Ty zrób coś dla siebie.



*Zapal w sobie kolorowe światło*

*Niebieskiej Panienci, Dzikiej Wilczycy, Spokojnego Buddy*

*Na przekór światu*

*Bądź szczęśliwa*

*Dbaj o dobro*

*W zamku z brzoźowej kory*

*Mieszka*

*JESTEM*

—

*Ta, której*

*Nie można zniszczyć*